MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 09 (201) Wrzesień 2021

Stulecie Lema

Wolne słowo

Władza-artyści: prof. Krzysztof Zajas i Ziemowit Szczerek

9 771733 045101 08

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

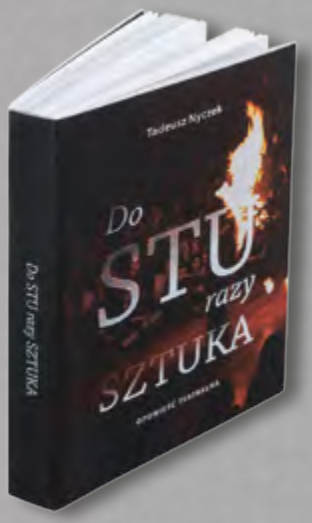

Kto pragnie pewności – niech studiuje księgę Tadeusza Nyczka „Do STU razy sztuka. Opowieść teatralna”. Prawie 300 stronic sporych rozmiarów, mrowie zdjęć, plakaty i afisze, projekty. Jest w tej księdze WSZYSTKO.

(Paweł Głowacki, miesięcznik „Kraków”)

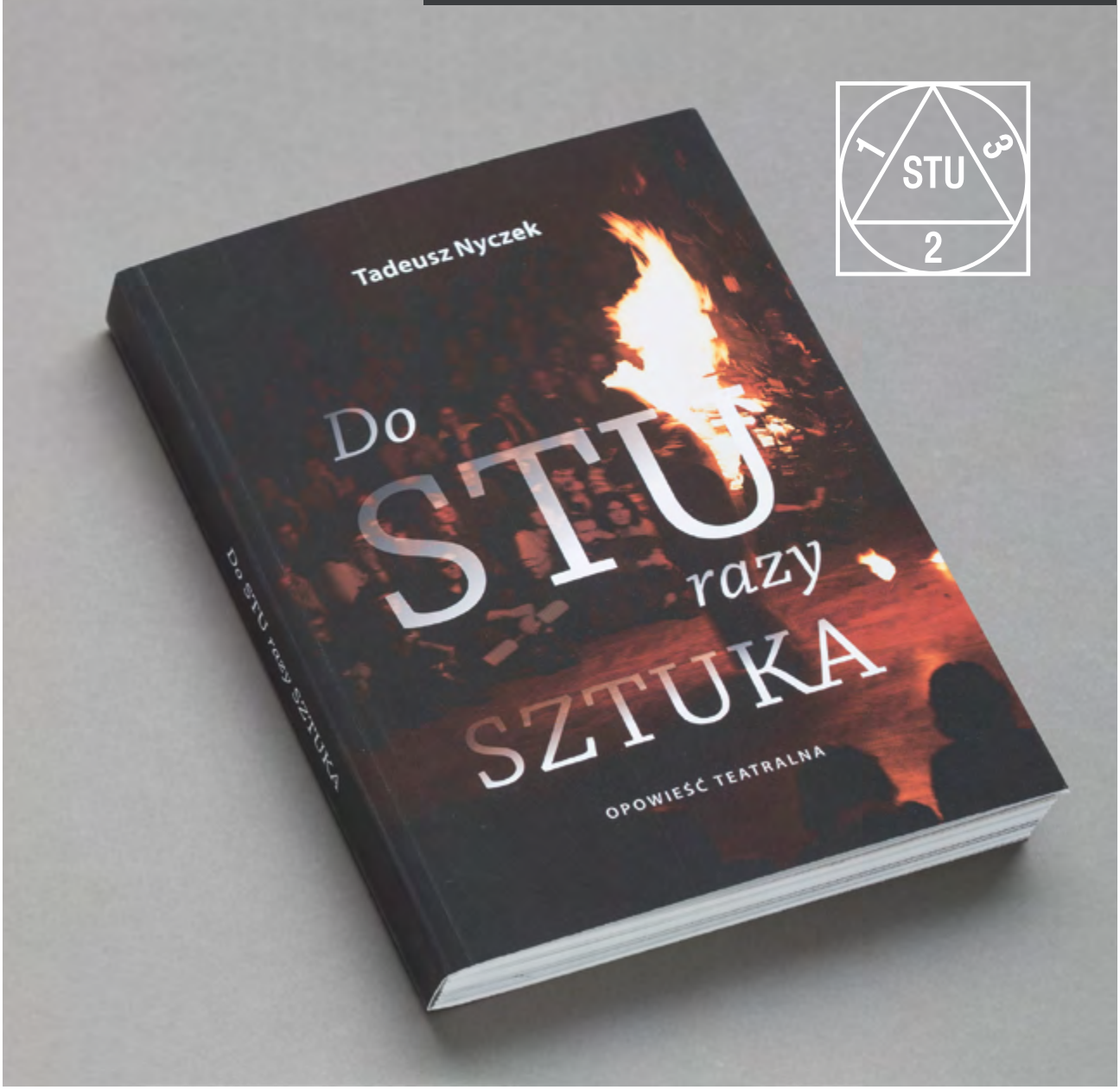

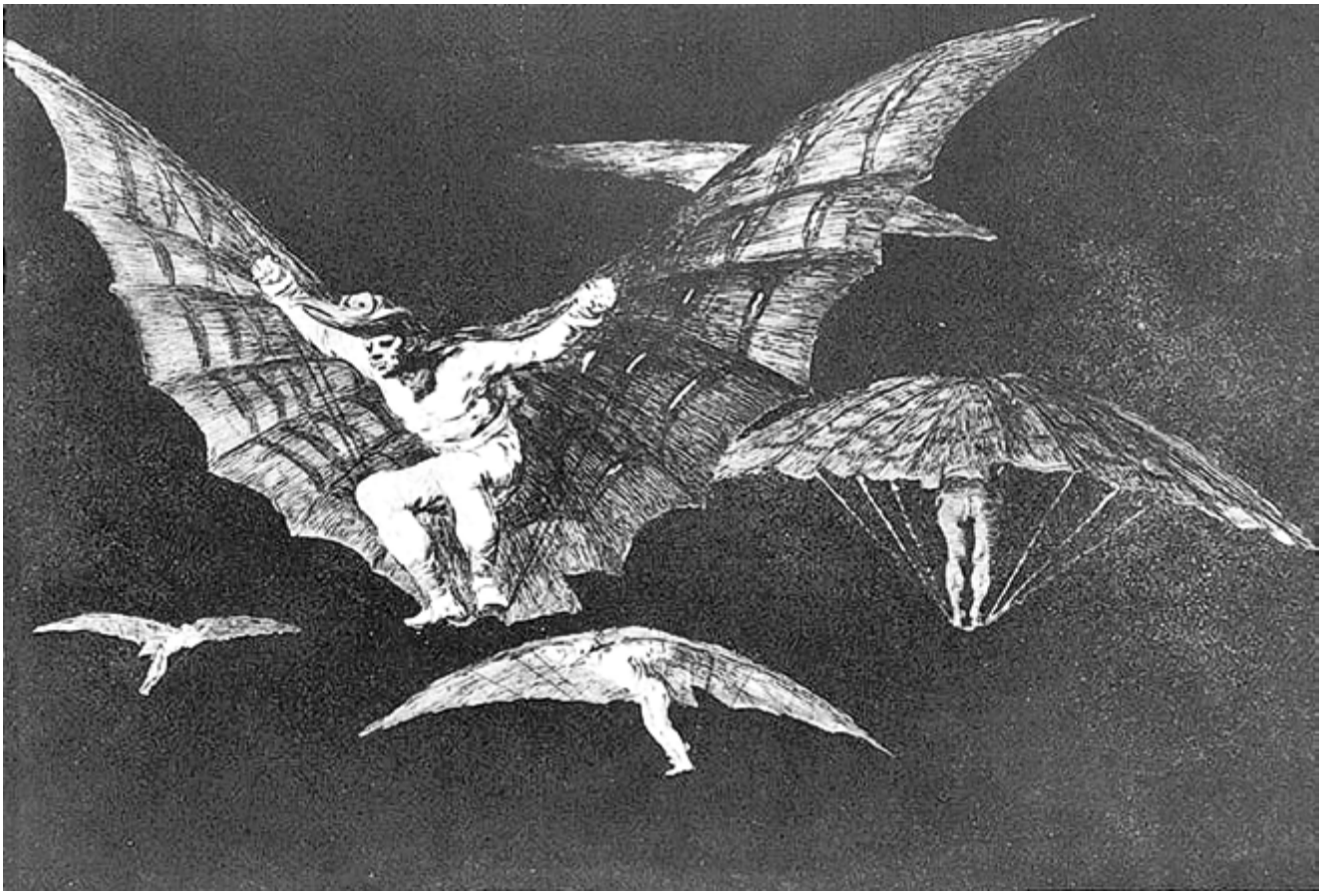

Francisco Goya, *Sposób na latanie* (cykl: *Szaleństwa – Disparates*, 1815–1823), za: Wikimedia Commons

Zemsta ręki śmiertelnej

Tekst: Krzysztof Zajas

Ta bezradność. Widzisz, co się dokoła ciebie dzieje, i nic nie możesz zrobić. Powszechna inwigilacja i donosicielstwo likwidują normalną rozmowę. Szerzy się partyjniactwo i gorliwa służalczość. Przywileje rozdawane w zamian za popieranie władzy sieją spustoszenie w moralności urzędników każdego szczebla.

Mistrz nienawidzi swojej powieści. Miała być dziełem życia, a stała się przekleństwem i źródłem choroby. Zrodziła się z prawdy i miłości, a przyniosła fałsz i nienawiść. Nikt nie zadał sobie trudu zrozumienia jego intencji, krytycy zgodnie uznali ją za dzieło poronione i niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Mistrz z wściekłością rzuca rękopis do ognia. Jest zmęczony i nie widzi sensownego powodu, by dalej żyć. Ma dosyć wszystkiego i chciałby po prostu odpocząć.

Trudno sobie wyobrazić dobre zakończenie dla tak poprowadzonej opowieści o związkach pomiędzy literaturą i życiem. A jednak ono jest. Mistrza ratuje Małgorzata, która go kocha i porzuca dla niego dotychczasowe życie. Zachwyca się powieścią, uważa ją za genialną. Sens pisania zostaje ocalony. Opuszczają ten świat we dwoje.

Zawsze się zastanawiałem, dlaczego w *Mistrzu i Małgorzacie* tak ważne jest napisanie powieści właśnie o Poncjuszu Piłacie. Piąty prokurator Judei, każący się nazywać Hegemonem, w kaźni Chrystusa pełni rolę ponurą i dwuznaczną, niby w jakimś sensie decydującą, ale to przecież nie jego losami powinniśmy się w tej historii przejmować. Mimo to biblijna część powieści Bułhakowa prowadzona jest z perspektywy Piłata – patrzymy jego oczami, śledzimy jego

myśli i odczucia, dzielimy jego wątpliwości co do dziejących się wydarzeń. Wydarzeń, dodajmy, które zmienią oblicze świata. Piłat z bliska dotknął czegoś, czego nie pojął, ale czego wielkość przeczuwał. I nabrał respektu, z którym nie miał co począć, więc pozostało mu wieczne cierpienie i nadzieja na dokończenie rozmowy przerwanej śmiercią Jeszui. Męczy go, że coś jeszcze miało być dopowiedziane, ale nie wie co. Jego migrena nigdy się nie kończy.

Trochę podobnie jest z mieszkańcami Moskwy ogłupiałymi od nadprzyrodzonych wydarzeń, jakie spadły na miasto wraz z nagłą wizytą Szatana i jego świty. W latach 30. XX wieku w Związku Radzieckim panuje komunizm, który wyklucza zjawiska irracjonalne, w tym Boga i diabła. Na takie przesądy w nowoczesnym społeczeństwie zwyczajnie nie ma miejsca. Pisanie – zwłaszcza realistyczne! – o Chrystusie czy Szatanie jest po prostu niedozwolone. Rzecz w tym, że już napisane zostało. Oliwa się rozlała i zaraz dojdzie do katastrofy, bez względu na takie czy inne ustalenia sowieckich ideologów. Opowieść o diable, który ze świtą nawiedził radziecką stolicę w środku stalinowskich czasów, została już napisana i dzięki niej coś, co nie miało prawa zaistnieć, zaistniało jak najbardziej. Doświadczeni tą opowieścią mieszkańcy Moskwy czują, że coś się wydarzyło, ale nie wiedzą co.

Kultura w bezpośrednim starciu z polityką nie ma szans. W walce na pięści prostak u władzy zawsze pokona słabszego fizycznie artystę, pozostawiając temu ostatniemu słabą pociechę, że wskutek mordobicia hierarchia intelektu nie ulega zmianie.

Mistrz pisze powieść nie o samym Chrystusie, ale o człowieku, który z nim rozmawiał i który wobec przebiegu i treści tej rozmowy jest bezradny. Nie chodzi o perspektywę boską, lecz ludzką. W rozmowie Piłata z Jeszuą spotkały się dwa różne światy, wskutek czego świat człowieka uległ zakłóceniu i nigdy już nie wrócił do poprzedniego kształtu. Bohaterem biblijnej powieści Mistrza jest człowiek mądry i niewierzący, znakomity polityk i sceptyczny racjonalista, na którym nic już nie robi wrażenia. Jego świat został uporządkowany, przeniknięty rozumem i nazwany po imieniu, a dojmującym odczuciem jest nuda i obrzydzenie. Zetknięcie z czymś kompletnie innym nie zmienia zasadniczo podejścia, ale wytrąca z równowagi. Można to samo widzieć całkiem inaczej, wystarczy zmienić sposób patrzenia. Bo Jeszua to właśnie robi z Piłatem – zmienia jego sposób patrzenia.

Ilekroć czytam *Mistrza i Małgorzatę*, mam przed oczyma samego Michaiła Bułhakowa patrzącego na ówczesną Moskwę. Obłęd stalinizmu rozlewa się jak zaraza, komunistyczna ideologia niszczy tkankę społeczną, ludzie głupieją ze strachu i upodlenia, terror odbiera resztki nadziei, panoszy się zło i beznadzieja – a on patrzy i myśli. Może i Boga nie ma, ale diabeł? Jak można negować jego istnienie, skoro widać go na każdym kroku? Gdzie nie spojrzysz, dzieło szatańskie kwitnie, tymczasem jego główni teoretycy i inżynierowie zapewniają, że szatana nie ma. Tych, którzy w imię zdrowego rozsądku i trzymania się rzeczywistości próbują oponować, skutecznie się eliminuje. Puchnie zbrodniczy pozór, a prawda – cóż jest prawda?

Zaraza nie omija również środowisk inteligenckich i twórczych, powszechnie przyjmujących postawę, którą Czesław Miłosz w *Zniewolonym umyśle* nazwał ketmanem. Kariery robią usłużne miernoty i zwykli dranie. Ludzi uczciwych wyrzuca się jak śmieci. Jeszcze niedawno działałeś w gronie zaufanych przyjaciół, solidnych fachowców i niezawodnych mistrzów, a teraz nagle orientujesz się, że dookoła robi się pusto. Jakieś ludziopodobne stwory jeszcze chodzą, mówią, wykonują jakieś gesty i udają, że wszystko zostało po staremu, ale wśród nich – mówiąc językiem Ionesco – coraz więcej nosorożców i coraz mniej ludzi. A ty ciągle jeszcze jesteś sobą. W końcu zostajesz sam. I nic nie możesz zrobić.

Możesz napisać powieść.

Nieraz wyobrażałem sobie Bułhakowa, jak siedzi na parapecie okna w mieszkaniu numer 50 przy ulicy Wielkiej Sadowej 10 (w powieści Sadowa 302a) i obmyśla prywatną zemstę na stalinowskiej Moskwie. Nad miastem zapada zmierzch, w tysiącach świateł mrowi się obca, nieprzyjazna ludzkość, w porządku ziemskim wszystko zdaje się działać, jak należy, jakby się nic nie stało. Powiedzmy to słowami Bułhakowa: „Ciemność, która nadciągała znad Morza Śródziemnego, okryła znienawidzone przez prokuratora miasto". Świat kręci się na ogromnym diabelskim młynie, tymczasem nikt nie uznaje za stosowne choćby mrugnięciem oka dać do zrozumienia, że tę diabelskość widzi. Zasłona ciemności jest zmową milczenia. Nic nie można zrobić. Ale można napisać powieść.

Szelest skrzydeł w ciemności. Dotknięcie metafizyki. Wszechobecność dobra łatwo negować i nawet wykpiwać, ale niełatwo zanegować działanie zła. Jego skutki są aż nadto widoczne i bolesne.

My znamy te dowody z naszego podwórka, ponieważ tak należy czytać rozbudowane sceny z senatorem Nowosilcowem i jego świtą służalców w *Dziadach* Mickiewicza. Ktoś kiedyś wspomniał, że Prezes lubi czytać Mickiewicza. Zapewne sceny z Nowosilcowem darzy szczególną sympatią, stanowią dla niego coś w rodzaju instrukcji obsługi. Diabelstwo brudnej polityki stanowi niepodważalny dowód, że odwieczna walka o duszę ludzką ma swoje jak najbardziej realne wymiary. I ciągle trwa.

*

Kultura w bezpośrednim starciu z polityką nie ma szans. W walce na pięści prostak u władzy zawsze pokona słabszego fizycznie artystę, pozostawiając temu ostatniemu słabą pociechę, że wskutek mordobicia hierarchia intelektu nie ulega zmianie. Prostak nie przyzna dotacji z budżetu, który traktuje jak własne pieniądze, i zagłodzi teatr albo czasopismo literackie. Prostak zmieni dyrektora świetnie prosperującej instytucji, czym doprowadzi ją do ruiny. Prostak będzie sobie dowolnie zmieniał prawo dla własnych potrzeb, a na protestujących przeciw bezprawiu wyśle – w imię prawa – policję. Diabły w *Mistrzu i Małgorzacie* doskonale chwytają tę konwencję zwyrodniałej władzy i zwielokrotniają absurd, ponieważ według niej nie istnieją. I na tym polega jeden z cudownie zjadliwych pomysłów powieści Bułhakowa: ponieważ pisarz jest nikim i jego pisanina nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość, to może sobie pisać, o czym chce. Na przykład o przygodach nieistniejącego diabła w stalinowskiej Moskwie.

Rzecz w tym, że autorytarna władza doskonale zdaje sobie sprawę z prawdziwej siły słabeusza artysty i dlatego z zapałem niszczy niezależność kultury. Biedny, wyczerpany procesem twórczym i sponiewierany prasową nagonką Mistrz wcale nie przegrywa swojej walki. Ma dosyć i niszczy manuskrypt powieści o Poncjuszu Piłacie, ale w ostatecznym rachunku zwycięża – dzięki pomocy diabła. Jak dobrze wiemy, prawdziwa sztuka również powstaje na fundamencie paktu z diabłem. Z tym że szatan artysty jest potężniejszy od diabełka na usługach chama u władzy.

To również kwestia dystansu. Pisarz nie tworzy dla siebie, dla bliskiej korzyści, jednodniowej chwały i legitymacji związku literatów uprawniającej do zjedzenia wykwintnego obiadu po przystępnej cenie. Jego zamiar obliczony jest na wiele lat do przodu, na czas, kiedy już przeminą doraźne okoliczności polityczne i dla następnych pokoleń zostanie tylko świadectwo literatury. Ona jest właśnie drugim, równoległym światem, który działa według innych reguł i w którym wartości mierzy się trochę innymi miarami. W czasach komfortu politycznego i twórczej swobody brzmi to może banalnie, wręcz kiczowato. Ale te czasy właśnie mijają i nadchodzą tamte drugie. Nadciąga ciemność, której nic nie zatrzyma. Pisarz na parapecie okna przygląda się, ważąc w ręku bezsilność i siłę swego pióra. Chciałby umrzeć, ale musi zaświadczyć o tym, co się naprawdę dzieje.

*

Podobno Bułhakow poprawiał swoją powieść do końca. Nie postawił ostatniej kropki. Powieść o diable w Moskwie nadal się pisze, zło nadal się dzieje, a życie podsuwa pomysły na następne rozdziały. Właśnie znowu muska nas czarne skrzydło ciemności i patrzymy bezradnie w okna. Wisława Szymborska nazywała pisanie „zemstą ręki śmiertelnej" i to jest dobra odpowiedź na problem naszej bezradności. Podobnie Czesław Miłosz, który „ważąc w dłoni pióro, obmyśla zemstę". Ceniony przez obecną władzę Zbigniew Herbert również zaleca, by w tej sytuacji „wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo/choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała/głowa". Zaledwie tyle i aż tyle. Wystarczy zmienić perspektywę.

*

A sam Poncjusz Piłat? Dlaczego powieść Mistrza miała być właśnie o nim? Widzę starego, zmęczonego władzą człowieka, któremu rozmowa z Jeszuą przewróciła życie do góry nogami i już nigdy nie odzyska swojej pewności. Świat zdawał się poukładany, wszystko już zrozumiane i przegadane, tylko głupia migrena psuła dobre samopoczucie. A potem przyszedł ktoś i powiedział kilka słów, których nie miał prawa powiedzieć, i cały tamten świat runął. Kilka słów. Drobna opowiastka. Literatura.

Krzysztof Zajas – pisarz, badacz literatury, kulturoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; wielbiciel kultury wysokiej i pokątny wyznawca kultury popularnej; kiedy ma dość pisania i czytania, włóczy się z psem po łąkach.

TEMAT MIESIĄCA:

Zemsta ręki śmiertelnej
Krzysztof Zajas **s. 1**

Kultura w bezpośrednim starciu z polityką nie ma szans. W walce na pięści prostak u władzy zawsze pokona słabszego fizycznie artystę, pozostawiając temu ostatniemu słabą pociechę, że wskutek mordobicia hierarchia intelektu nie ulega zmianie.

KRAKÓW MÓWI

Polska bez immunitetu
Ziemowit Szczerek/Paweł Stachnik **s. 26**
Dyrygentka to nie okaz egzotyczny
Justyna Kwarcińska/Miwa Maruyama **s. 50**

OBŁOK LEMA

Lem a System Witold Bereś **s. 12**
Podróż MMCXXXVII Marcin Świątkowski **s. 58**

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Pomnik prezydenta Dietla
Krzysztof Jakubowski **s. 10**
PORTRETY pod Wawelem
Magda Huzarska-Szumiec **s. 21**
Lwów zaszumiał nam w głowie
Magda Huzarska-Szumiec **s. 31**
Dźwiękowa mapa krakowskiego getta
Marcin Dymiter **s. 40**
Wolność słowa – Kraków jest za!
Weronika Mirowska/Witold Bereś, Krzysztof Burnetko **s. 44**
Miłośnik zdjęć, twórca *Venus*
Aleksander B. Skotnicki **s. 54**
Agnieszka Holland: Szanujmy Syzyfów **s. 86**
Kronika kulturalna **s. 87, 89**
Krakowski łącznik **s. 90**
Kraków (Główny) **s. 91**
Linia A–B **s. 92**

REKOMENDACJE

Słowne piruety, czyli listy poetów
Magda Huzarska-Szumiec **s. 39**

OBYWATELE KRAKOWA

Z nią zadbasz o formę (Dominika Waksmundzka)
Marta Gruszecka **s. 8**

PORTRETY 2021

***Balagan* Pawła Smoleńskiego** **s. 25**

HISTORIA

Prasa sprzed stu lat Krzysztof Jakubowski **s. 63**

TEATR

Daleka rozmowa w Rzymie Paweł Głowacki **s. 67**

FILM

Moja piękna utopia Maria Malatyńska **s. 74**
Najmro Łukasz Maciejewski **s. 78**

PROZA

Tęcza nad Marienplatz Zbigniew Mentzel **s. 70**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOWA”

Tomasz Kawecki Magda Huzarska-Szumiec **s. 46**

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**
POZA KRAKOWEM
Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDECKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska **s. 96**

OKŁADKA

Rys. Piotr Błachut

Z ostatnich wiadomości: podobno Izba Dyscyplinarna zamieniona zostanie na Izbę Pamięci, powstanie nowe Ministerstwo Dziewictwa Narodowego, a Porozumienie J. Gowina przepisze swoje ultimatum na żonę Zjednoczonej Prawicy.

Ewa Lipska – poetka. Studiowała na ASP w Krakowie. Wieloletni redaktor Wydawnictwa Literackiego, w początkach III RP wicedyrektor i dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu. Członek Polskiej Akademii Umiejętności i Pen Clubu.

Rys. Piotr Błachut

Myśl, słowo i wybór = wolność

Tekst: Witold Bereś

Upieram się, by najnowsze dzieje określać jako Złe Czasy, i to pisane wielkimi literami. I nie chodzi tylko o to, co jest w Warszawie, ale i o to, że cały świat wolności ostatkiem sił broni się przed brutalnym populizmem.

Są puryści, którzy twierdzą, że to błąd – za mną jednak stoi słownik PWN („Wielką literą piszemy również przenośne, opisowe bądź poetyckie nazwy wydarzeń lub procesów historycznych, na przykład Cud nad Wisłą"). Są politolodzy, którzy odmawiają mi racji, bo nie wolno naddawać znaczenia łajdactwu („Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało"?), a poza tym to się dzieje wszędzie. Tyle że jeśli szaleństwo intelektualne dzieje się „wszędzie" to dopiero strach! Tym bardziej że Polska ma wkład w budzenie demonów idiotyzmu. W USA Donald Trump zapowiadał Wielki Mur przeciwko Obcym, a w Polsce lider prawicy straszył chorobami roznoszonymi przez przybyszy, których nie było. Dziś antyszczepionkowcy nie wierzą w covid, nawet gdy w męczarniach umierają w szpitalach, a nadwiślański prezydent się chwali, jak on to nigdy się na grypę nie szczepił. Za chwilę przyjdą fachowcy od Ziemi jak naleśnik – ale przecież to w Polsce została wcześniej założona religia smoleńska na podstawie eksperymentu z parówkami i gniecionymi puszkami po coca-coli.

Najostateczniejszym wkładem Polski w dorobek głupoty jest walka Polaków z wolnością słowa. Tak, Polaków, bo przestańmy zwalać wszystko na władzę – ktoś jej, kurczę, co chwilę w wyborach daje prawo do łajdactw.

*

Mądrość dawał nam człowiek, który zabiłby dziś antyszczepionkowców drwiną, a dla światowej rozpoznawalności polskiej marki był kamieniem milowym jak Szopen, Wajda i Wałęsa. Ale żaden z nich nie był najpopularniejszym polskim pisarzem świata, tylko on – Stanisław Lem, którego stulecie urodzin obchodzimy. On nie miał wątpliwości co do kondycji ludzkiego intelektu: „Dopóki nie skorzystałem z Internetu, nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów". Po prawdzie nie są to jego słowa, ale nie odbiegają od jego przekonań. Od siebie mogę prawie dosłownie zacytować jego zdanie wagi podobnej: „Rosnąca liczba dostępnych informacji powoduje, że w świecie rośnie również liczba idiotów". Powiedział tak w rozmowie ze mną, czyli z Beresiem, Witoldem Beresiem – a nie, uwaga, w rozmowie ze Stanisławem Beresiem, kuzynem moim dalekim, który na Lemie zjadł zęby.

Mówił mi na przykład przed trzydziestu laty tak, jakby opisywał świat dzisiejszy: „Ludzie malują sobie różne flagi i tatuaże, jak Maorysi nie Maorysi, i w ogóle jednak można mówić – ja to przynajmniej tak nazywam – o ponownej barbaryzacji. (...) Myślę, że próby odwrócenia tych trendów są daremne, a nauka staje się jakimś odizolowanym zakonem, fortecą zwariowanych mnichów, którzy tylko latają po całym świecie i zbierają informacje. A tymczasem już ilość informacji naukowych jest taka, że właściwie jestem nimi na śmierć przygwożdżony i czuję się jak człowiek, który stoi na peronie i chce gonić sześć pociągów odjeżdżających na raz, a każdy w inną stronę. Więc skończyć się to dobrze nie może".

*

Najostateczniejszym wkładem Polski w dorobek głupoty jest walka Polaków z wolnością słowa. Tak, Polaków, bo przestańmy zwalać wszystko na władzę – ktoś jej, kurczę, co chwilę w wyborach daje prawo do łajdactw.

Wojtek Fusek, były wicenaczelny „Gazety Wyborczej", pisał niedawno, oddając ducha wielu: „Bezradnie zrozpaczony szukam przyczyn utraty resztki sił. Z trudem wstaję, pracuję. Pierwszy raz od 30 lat nie słucham radia, nie oglądam telewizji, próbuję nie otwierać serwisów informacyjnych, z przyzwyczajenia kupuję tygodniki, ale ich nie czytam. Bo gdy to zrobię, dostaję bólu brzucha, dopada mnie niemoc, pocę się, skacze ciśnienie. Świat, który znam od ponad 50 lat, jeszcze nigdy nie był mi tak wstrętny, szczególnie ten od Odry i Nysy po Bug. (...) Wierzyłem, że będę tym pokoleniem Polaków, które zasieje normalność, spokój, doceni uczciwą pracę, zmieni kraj w mlekiem i miodem płynący. Byłem naiwny. Tej przeklętej ziemi nie da się zaorać i posiać ziarnem rozsądku i dobroci".

Więc jesteśmy zmęczeni. Nie dziwota. Ale tym bardziej się cieszę, że miesięcznik „Kraków", za przykładem prezydenta Majchrowskiego, stanął w szeregu tych, którzy wspierają ideę Medalu Wolności Słowa w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

Ale aby na medalach się nie skończyło, musimy już dzisiaj się nad tym zastanawiać, jakiej Polski chcemy. Dlatego, wspólnie z pisarzem Ziemowitem Szczerkiem i profesorem Krzysztofem Zajasem (znakomity „Czas Literatury"!) zastanawiamy się, czego państwo może oczekiwać od kultury, a co kultura może dać państwu.

I wiecie co? Złe Czasy sczezną, a karta się odwróci i demony przegnamy.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Trójmiasto i Kraków: media to wspólna sprawa

Tekst: Krzysztof Burnetko

„O, to jest duży honor dziennikarza: on ci ta nigdy na słabsego nie hipnie, ino na mocniejszego”. Ks. prof. Józef Tischner

Jest 9 sierpnia 2001 roku, samo południe. Na wizji pokazuje się Anita Werner. Czyta wiadomości. Ogląda ją 3 tys. widzów. Program nie idzie jeszcze na żywo – nagrano go pół godziny wcześniej. W studiu są szefowie koncernu ITI. Nie bez powodu: TVN24, bo tak nazywać się ma nowy kanał, to przedsięwzięcie pionierskie w całej postkomunistycznej Europie. Fachowcy od mediów nie wróżą mu powodzenia, przekonują, że program telewizyjny, który miałby przez okrągłą dobę nadawać informacje niczym CNN, to w Polsce ryzykowny pomysł – zbyt mały rynek. Mimo to 20 milionów dolarów wykładają polscy właściciele ITI – w tym pomysłodawca Mariusz Walter. Firma, która sprzedała TVN24 polisę na wypadek porażki, wykorzystuje sytuację do reklamowania swoich usług sloganem: »To my ubezpieczamy najbardziej ryzykowną inwestycję w Europie Środkowo-Wschodniej«”.

Kiedy w 2014 roku w książce *Nasza historia. Opowieść o wolnej Polsce* opisywaliśmy z Witoldem Beresiem fenomen TVN24, uznaliśmy to – jako przejaw wolnego słowa – za jeden z kamieni milowych RP. Okazuje się – zasadnie. Paradoksalnie rację mieli jednak także cytowani analitycy. Z tą różnicą, że – wbrew temu, co sugerowali – problemem nie stały się kwestie biznesowe czy brak chętnych na informację. Zagrożeniem są politycy, którzy wiedzą, że wolne słowo zawsze ogranicza władzę, a oni akurat mają plan na korzystanie z niej bez ograniczeń. Postanowili zatem stację zniszczyć i to wszelkimi sposobami – z gwałceniem procedur sejmowych włącznie (niedawna bezpodstawna reasumpcja głosowania skłania skądinąd do pytania, czy po podobny zamach ekipa ta nie będzie chciała sięgnąć w razie porażki wyborczej?).

*

Medal Wolności Słowa miesięcznika „Press” i Fundacji Grand Press jest inicjatywą nową. Jak jednak dowodzi bitwa o TVN – ale również historia bezpardonowego przejęcia prasy lokalnej przez hunwejbinów obecnej władzy – nie ma wcale wymiaru, by tak rzec, czysto laurkowego. Dodatkowej wagi nabiera i to, że miejscem wręczenia laurów jest Europejskie Centrum Solidarności. Wymowna wreszcie jest data uroczystości, nawiązująca do trójmiejskich strajków roku 1980 – to one były przecież punktem zwrotnym w wyzwalaniu się od systemu, który też za jednego z głównych wrogów uważał wolne słowo, zaś zapalnikiem ówczesnych protestów okazały się gazetki wydrukowane przez mieszkającego wtedy w Sopocie Bogdana Borusewicza (dziś wicemarszałka senatu) i jego przyjaciela z Gdańska Piotra Kapczyńskiego.

Ten opowiadał mi swego czasu: „W niedzielę 10 sierpnia wróciłem do domu po kilku dniach i nocach drukowania. Powielaliśmy wtedy raport Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość *Jak z tego wyjść?*, analizę sytuacji polityczno-społecznej w PRL, napisaną przez niezależnych ekspertów. Wymowa była tak ponura, że zastanawialiśmy się półżartem, kiedy ktoś napisze poradnik *Jak stąd wyjechać*? (...) Nielegalne drukowanie w PRL wyglądało zwykle tak, że paru ludzi zamykało się na kilka dni w mieszkaniu, w którym był powielacz (lub ramka czy sito), odpowiednia ilość zorganizowanego wcześniej papieru (w sklepach – o ile w ogóle był – sprzedawano najwyżej kilka ryz, więc trzeba go było zdobyć, najczęściej dając łapówkę) i farby (kupowanej nielegalnie w państwowych drukarniach). Gromadziło się też zapas jedzenia. Chodziło o to, by nie wychodzić z lokalu, nim nie skończy się roboty. Im szybciej powieliło się planowany nakład, tym mniejsze były szanse na to, że ktoś doniesie bezpiece. (...) Kiedy więc wróciłem, chciałem tylko spać. Ale wieczorem przyszedł Bogdan i kazał przerzucić sprzęt pod wskazany adres we Wrzeszczu. Powiedział, że będziemy tam drukować pilne ulotki. Byłem załamany, bo liczyłem na przynajmniej dwa tygodnie spokoju. Wyjaśnił, że chodzi o wywołanie strajku. To były dwa krótkie teksty. Pierwszy dotyczył zwolnienia pani Ani Walentynowicz, Zacząłem drukować we dwójkę z Bogdanem. Skończyliśmy we wtorek nad ranem i trochę się przespaliśmy. Przy śniadaniu naszło mnie na dowcipkowanie. Zapytałem Bogdana, co będzie robił, jak już obali ten komunizm. To była oczywiście absolutna abstrakcja. Nie pamiętam, co odpowiedział. A w czwartek usłyszałem, że strajk wybuchł”.

*

Medalowi Wolności Słowa patronuje także Kraków. Nie przez przypadek. Jak wykazał Józef Retinger w pracy *Polacy w cywilizacjach świata*, już z końcem XV wieku miasto było ważnym ośrodkiem wolnego słowa. Akademia Krakowska rodziła zapotrzebowanie na książki, ale też kształciła drukarzy i wydawców, którzy potem służyli umiejętnościami całej niemal Europie. Z kolei w ostatnim piętnastoleciu PRL-u Kraków był drugim – po Warszawie – ośrodkiem wydawniczego podziemia w kraju. W tym okresie w mieście wyszło poza cenzurą około pięćset pism i 800-900 książek! I wreszcie – o czym pewnie mało już kto (może poza Edwardem Miszczakiem i Jarosławem Potaszem) pamięta, kolebką TVN był poniekąd właśnie Kraków.

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

adidas
adidas

Z nią zadbasz o „Formę na lata”

Tekst: Marta Gruszecka **Zdjęcie:** archiwum Dominiki Waksmundzkiej

Zamiast kursu na prawo jazdy wybrała na osiemnastkę certyfikat instruktorki zumby. Odtąd sportową pasją zaczęła dzielić się z innymi. Osób, które zaufały młodej dziewczynie, było tak wiele, że jej styl życia stał się pracą. 25-letnia Dominika Waksmundzka zachęca krakowianki (ale nie tylko) do zrobienia „Formy na lata”.

Z aktywnością fizyczną zaprzyjaźniła się w dzieciństwie. Była ruchliwym dzieckiem, nie potrafiła usiedzieć długo w jednym miejscu. Pływała i tańczyła, ale nie czuła się dobrze w swoim ciele. W wieku szesnastu lat postanowiła: chcę wymodelować sylwetkę. Zapisała się na siłownię i zajęcia zumby. – Uwielbiałam ten taniec, przez dwa lata liceum, tuż po zakończonych lekcjach jeździłam w różne strony Krakowa, byleby tylko potańczyć. I tak codziennie! – przyznaje Dominika Waksmundzka, trenerka personalna, instruktorka fitness, pomysłodawczyni „Formy na lata”, jedna z ulubionych i najskuteczniejszych w Krakowie motywatorek do wstania z łóżka.

Uzależnienie? Owszem, ale zdrowe. – Szybko zauważyłam efekty: schudłam, w wyniku czego świetnie się czułam, dobrze wyglądałam i byłam bardziej pewna siebie. Wiedziałam już, że nie wystarczą mi zajęcia, na których ćwiczę w roli uczestnika – wspomina trenerka.

Ambitna i zdeterminowana nie czekała na propozycje z zewnątrz. Zaczęła działać sama. – Na osiemnastkę zwykle dostaje się od rodziny pieniądze na prawo jazdy. Mnie licencja kierowcy nie była potrzebna. Postanowiłam, że prezent urodzinowy przeznaczę na kurs zumby. Miesiąc po otrzymaniu dyplomu pierwszy raz poprowadziłam własne zajęcia. I z misją ich popularyzowania wyruszyłam poza Kraków: do Bochni, Liszek, Niepołomic i Wieliczki – opowiada.

Ludzie lubili ją i ona lubiła ludzi. Dlatego zapisywała się na kolejne kursy – animatora czasu wolnego, instruktora fitness i trenera personalnego. Zapoczątkowała własne treningi w myśl hasła „forma na lata”. – Aktywność fizyczna jest moim życiem i już. Źle się czuję, kiedy nie trenuję. Owszem, sport męczy, ale wolę być zmęczona fizycznie niż psychicznie. Właśnie do takiego podejścia przekonuję moich podopiecznych. Mam misję: chcę budować formę na całe życie, a nie na chwilę w ramach odchudzania czy mody. Zwiększać świadomość kobiet dotyczącą ich ciała i trybu życia, pomagać w osiągnięciu upragnionej sylwetki. Przypominać, że aktywność fizyczna to zdrowie – jeśli się nie ruszasz, skazujesz swoje ciało i umysł na trudne chwile – podkreśla trenerka.

Czując potencjał i mając oddane grono „swoich dziewczyn”, jak nazywa trenujące razem z nią kobiety, postanowiła „pójść na swoje”. Stworzyła platformę internetową, rozwinęła social media i grupę #RobięFormęNaLata, zatrudniła dietetyczkę, PR-owca i założyła firmę „Forma na lata”. Niedługo później wybuchła pandemia. – Jak dziś pamiętam rodzinny obiad, który miał przypieczętować mój sukces. Jeszcze lepiej pamiętam siebie dwa tygodnie później. Zapłakaną, leżącą w łóżku...

Siłę na przetrwanie dało jej wsparcie kobiet z grupy. – Kiedy zamknięto siłownie, dostałam wiele wiadomości o podobnej treści. „Dominika, chyba nas nie zostawisz?!”, „Nadal będziemy razem ćwiczyć, prawda?”, „Nie przerywajmy treningów, to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogę być sama ze sobą”

> Dominika Waksmundzka: Mam misję – chcę budować formę na całe życie, a nie na chwilę w ramach odchudzania czy mody. Jeśli się nie ruszasz, skazujesz swoje ciało i umysł na trudne chwile.

– pisały moje dziewczyny, a mnie serce rosło. Nie miałam wyboru – zaczęłam prowadzić treningi *online*. Byłam wzruszona, widząc, ile osób ze mną ćwiczy. W pierwszych wirtualnych zajęciach wzięło udział prawie dwieście! – wspomina.

Jej społeczność #RobięFormęNaLata liczy ponad tysiąc czterysta osób i nadal rośnie. Treningi z Dominiką odbywają się regularnie na Facebooku i w plenerze (w zależności od pogody).

Dominika Waksmundzka – fitness coach, instruktorka, trenerka personalna posiadająca siedmioletnie doświadczenie w branży. Założycielka firmy „Forma na lata” oferującej treningi personalne, zajęcia fitness na sali treningowej i *online*, porady dietetyczne i masaże fizjoterapeutyczne.

Facebook: www.facebook.com/formanalatadominikawaksmundzka
Strona internetowa: www.formanalata.pl

Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Placyk przed magistratem, widokówka, ok. 1935, archiwum autora

Pomnik prezydenta Dietla

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Klęski wojenne Austrii wymusiły przeobrażenia polityczne i transformację monarchii w duchu konstytucyjnym. Beneficjentem tych przemian była Galicja, która uzyskała w roku 1866 daleko idącą autonomię. Dzięki temu możliwe stało się wyłonienie w wyborach Rady Miejskiej Krakowa, a następnie – prezydenta miasta. Pewnym mankamentem było ograniczenie czynnego prawa wyborczego do stosunkowo wąskiej grupy obywateli – głównie kupców, przemysłowców, właścicieli nieruchomości, a także nielicznych posiadaczy dyplomu szkoły wyższej. Sześćdziesięciu radnych wyłaniało następnie z własnego grona (bądź z grona wyborców) prezydenta, na sześcioletnią kadencję. Ponieważ zakupiony z przeznaczeniem na magistrat pałac Wielopolskich był jeszcze remontowany, pierwsze wybory odbyły się w sali redutowej hotelu Saskiego.

Na tajnym posiedzeniu 13 września 1866 roku na prezydenta miasta niemal jednomyślnie wybrano lekarza balneologa, byłego rektora UJ, dr. Józefa Dietla. Okazał się niezwykle sprawnym organizatorem i zarządcą gminnego majątku. Jego zasługą było opracowanie prekursorskiej inwentaryzacji stanu miasta wraz z perspektywicznym programem najpilniejszych inwestycji. Plan uporządkowania i unowocześnienia Krakowa

Pomnik prezydenta Dietla, fot. K. Jakubowski

był tak wszechstronny i dalekowzroczny, że pracy starczyło dla kilku następców prezydenta Dietla.

Podczas jednego z pierwszych wystąpień Dietl poruszył kwestię równouprawnienia Żydów z pozostałymi obywatelami miasta. Uważał, że „należy zabezpieczyć Izraelitom wychowanie narodowe w szkołach ku temu urządzonych i przyznać im równocześnie z nami prawa, połączyć się z ludnością izraelicką szczerze i trwale w jedną gminę, nie paragrafami statutu, lecz duchem czasu, duchem ludzkości i sprawiedliwości".

Priorytetem Dietla było porządkowanie Rynku Głównego, który otrzymał wreszcie solidne bruki. Wyburzono też między innymi Kramy Bogate i budynek Wagi Wielkiej, stojący u wylotu ul. Brackiej.

Do końca życia prezydent mieszkał przy Rynku, w czteropokojowym mieszkaniu na I piętrze kamienicy Hetmańskiej. Zrezygnował z funkcji w trakcie trwania drugiej kadencji, tłumacząc to chęcią powrotu do pracy naukowej.

*

W II RP postanowiono w Krakowie w 60. rocznicę śmierci prezydenta uczcić go pomnikiem. Zdecydowano, że stanie na placyku pomiędzy magistratem a kościołem Franciszkanów, w miejscu wysepki zieleni z dorodnym grabem pendula, co widać na pocztówce z połowy lat 30. ubiegłego wieku. Autorem statuy – uznawanej za jeden z najznakomitszych polskich monumentów – był Ksawery Dunikowski. Posadowioną na wysokim granitowym cokole spiżową sylwetkę prezydenta – w todze i z berłem rektorskim w ręku – odsłonięto uroczyście 8 października 1938 roku.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Stanisław Lem a System (w stulecie urodzin)

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Światopogląd Stanisława Lema był bezsprzecznie antytotalitarny. Zaś jego książki fantastycznonaukowe to literatura przez wielkie „L". Ambitna, ale także popularna. I niegdyś zaczytywana przez młodych. Nic dziwnego – przypominamy to od kilku miesięcy na łamach „Krakowa" – że Lem był i jest inspiracją dla wielu. Tym bardziej warto przyjrzeć się jego twórczości w czasach mrocznych, patrząc na nią z perspektywy nacisków Systemu. Nie po to, by z tego czynić zarzut, ale raczej aby pokazać wszechobecność i presję tamtej Wielkiej Indoktrynacji. Zwłaszcza że wielki pisarz później na poważnie swoich potknięć nie analizował.

Kiedy w styczniu 1945 roku komunizm obejmował we władanie Polskę, Lem, po przeżyciu w rodzinnym Lwowie okupacji sowieckiej, a potem hitlerowskiej, miał już niespełna 24 lata i pozbawiony był mrzonek wobec nadchodzącego systemu.

Autorowi tego tekstu mówił kiedyś: „Nigdy nie byłem ideowo zaangażowany w komunizm. Po części wyniosłem to z domu – mój ojciec, oficer armii austriackiej, przebijał się w czasie rewolucji bolszewickiej do kraju i nigdy nie miał żadnych złudzeń co do tego, co się tam dzieje. Tak więc po wejściu Rosjan w 1939 od roku spodziewaliśmy się tego, co nastąpi.

Pamiętam, że zakwaterowano u nas oficera NKWD. Kiedy tylko zauważałem, że ubiera wieczorem tę swoją czapkę z niebieskim otokiem i wychodzi, to biegłem do wszystkich znanych mi bieżeńców, żeby się ukryli. Bowiem Sowieci działali w ten sposób, że jeśli nie wywieźli kogoś jednej nocy, to potem przez jakiś czas zostawiali go w spokoju. Ale oczywiście to, co robiłem, nie brało się z mych przekonań, ale z młodzieńczej chęci wyżycia się. W czasie moich studiów pod sowiecką okupacją we Lwowskim Instytucie Medycznym pewnego dnia zebrano *otliczników*, do których i ja się zaliczałem, i chciano wcielić ich do Komsomołu. Odpowiedziałem wtedy, że owszem, całe życie marzyłem o tym, żeby do tego Komsomołu należeć, ale nie jestem jeszcze ideologicznie przygotowany i chciałbym najpierw jeszcze przeczytać i Marksa, i Engelsa, i Lenina, i Stalina. Oni próbowali coś tam mówić, że po co, że niepotrzebnie, ale ja na to jak mur – nie jestem godzien jeszcze przystąpić do tych ołtarzy.

I od tego czasu zawsze to powtarzałem.

Tak więc nie jest prawdą, że musiało się zapisać do partii".

Po wojnie, gdy Lem wylądował w Krakowie, jak wielu młodych przymierał głodem. Najpierw starał się budować swą karierę naukową. Ale i tu szybko zderzył się z Systemem.

„Kiedyś przyjechał do nas na spotkanie sowiecki naukowiec, prawa ręka Łysenki, i wyciągnął pomidor wielkości piłki futbolowej. Wszyscy oniemieli i ja pytam: »A można tego dotknąć?«. A on na to, że to tylko imitacja i oryginał jest w Moskwie.

Potem zrobiłem dla naszego pisma naukowego przegląd prasy, który polegał na tym, że cytowałem tylko przeciwników Łysenki. Pismo zostało po tym oczywiście rozwiązane, ale ja byłem z tego bardzo zadowolony, bo wcześniej chciałem iść na biologię, a teraz już wiedziałem, że tam panuje tylko hochsztaplerstwo".

*

Pomimo wiedzy o systemie i niechęci do niego Lem debiutuje w szczycie polskiego stalinizmu (*Astronauci*, wiosna 1951). Książka była sprawnie skonstruowana, rynek wyczekiwał tego gatunku i skończyło się bestsellerem. Ba, sukces był tak potężny, że młody autor natychmiast został przyjęty do Związku Literatów Polskich i wygrał konkurs na współczesną sztukę atakującą imperializm. Tak powstał napisany wspólnie z Romanem Hussarskim *Jacht Paradise* (1951). Potem, w 1954 roku, Lem publikuje tom opowiadań *Sezam* z pierwszymi utworami z cyklu *Dzienniki gwiazdowe*. Wreszcie w 1955 zostaje wydany *Obłok Magellana* – powieść o wyprawie do najbliższego Ziemi układu gwiazd Alfa Centauri.

Wszystkie te tytuły, choć w różnym stopniu, skażone są jednak nutą indoktrynacji.

*

Oto tom opowiadań *Sezam* i w nim opowiadanie *Kryształowa kula*. Okazuje się, że

entomolog francuski profesor Chardin odkrył sposoby doprowadzenia do symbiozy mrówek z licznymi szczepami bakterii i jest to wręcz doskonały pomysł na broń masowej zagłady. Tak mówią o tym amerykańscy generałowie i naukowcy im służący:

„– Stworzyliśmy kordon sanitarny przeciw czerwonej epidemii – rzekł jowialnie uśmiechając się profesor. Spoważniał. – Więc, panie generale, poznanie wyników Chardina miałoby dla nas bardzo wielkie znaczenie. Bardzo wielkie. Nawet te ogólnikowe dane, które opublikował, pozwalają liczyć na 70... Ba, co mówię, na 80 procent śmiertelności. Wśród dzieci, być może, do stu nawet...

– Marzyciel z pana – przerwał generał nieco sceptycznie".

Jeśli ktoś powie, że tak grubą kreską rysowany szwarccharakter, który chce mordować dzieci w stu procentach, to tylko wypadek przy pracy, niech zerknie dalej.

Opowiadanie *Hormon agatopropowy*. Oto przypadkiem na Ziemi, dokładniej na wyspie, którą chcą opanować żądni władzy Amerykanie, znalazła się roślina – kaktus, która wytwarza sok pod nazwą „Zielony Kieł", oparty na hormonach pozytywnego myślenia. Picie tego soku – czy choćby zetknięcie się z kroplą takiego specyfiku niespodziewanie sprowadza na człowieka dobro. Co ciekawe, są w katalogu dobra oczywiste, jak rezygnacja z agresywności. Ale są i pachnące propagandą tamtych czasów, jak domaganie się zniszczenia dolara i giełdy nowojorskiej („Jeśli zginie ukochanie dolara, to czym będziemy się różnić od zwierząt?! Zagrożona jest nasza najdroższa waluta, podkopana świątynia błogostanu – giełda, śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad prywatną inicjatywą – fundamentem rodziny i państwa!").

Oczywiście siła soku – czytaj: „zdrowej miłości i pragnienia pokoju" zwycięża. Najpierw oddziały Military Police przywożą na wybrzeże wielką beczkę płynu, na której wymalowany został napis „Green Cactus Coctail", a po jego wypiciu oficerowie zrywają patki z gwiazdkami, „całują się z Murzynami" i piją z nimi bruderszaft. A oddział marines, który ma to uspokoić, też bierze udział w libacji, niszczy broń i nie można im nawet dać podwyżki, bo wrzucają dolary do morza. Nawet wiceszef FBI, prawa ręka Johna Fostera Dullesa (słynnego wroga sowieckiej propagandy), napił się soku, rozpalił ognisko i krzyknął „Palimy tajne kartoteki i akta czerwonych! (...) Wszyscy ludzie są braćmi!!!

– A ja lubię tylko banany! – zaśpiewał w odpowiedzi chór funkcjonariuszy FBI" (to akurat, jak i wiele innych zwrotów, jest w tym opowiadaniu bezsprzecznie śmieszne).

Szybko staje się jasne, że podanie tego specyfiku bezwzględnym rekinom z Wall Street powoduje megakatastrofę giełdową, dzięki czemu skończy się krzywda ludzi pracy. A gdy już z Zachodem będzie naprawdę źle, to w finale krwiożerczy kapitaliści wyślą przeciwko buntownikom dywizję spadochronową... nowo utworzonego Wehrmachtu pod dowództwem marszałka Guderiana. Lecz i to na darmo – w końcu spadochroniarze składają broń, a sam Guderian zostaje wegetarianinem.

W sumie, powiedzmy szczerze, nie literatura to, a raczej opowiadanko niczym z sowieckiego pisma satyrycznego „Krokodił", o którym powiedzieć, że przeciwników komunizmu rysowano w nim grubą kreską – to nic nie powiedzieć.

*

Gorzej, że szczyt propagandowy osiąga pisarz w pierwszych rozdziałach przyszłych słynnych *Dzienników gwiazdowych* Ijona Tichego.

Oto *Podróż 26* – potem (z woli pisarza) niewznawiana. W czasie jej trwania Ijon Tichy ląduje w USA. „Gdy pozostałem sam, raz jeszcze przeszedłem myślą niezwykłe wypadki, jakie zdążyłem przeżyć w tak krótkim czasie; nic podobnego nie zdarzyło mi się na żadnej z tysiąca planet, jakie zwiedziłem. Po obiedzie wpadło nagle na salę kilkunastu rosłych Merkanów. Obstąpili łóżka i wypytywali nas o wrażenia. Jeden dowiedziawszy się, że jestem cudzoziemcem, zainteresował się mną; stawialiśmy sobie nawzajem rozmaite pytania. Dopiero od niego dowiedziałem się, że to, co wziąłem za obrzęd religijny, było tylko próbnym atakiem atomowym.

– Co, toczycie wojnę z inną planetą? – spytałem.

Nie.

– Więc po co te ćwiczenia?

– Bo jesteśmy zagrożeni.

– Ach wiem – przypomniałem sobie słowa doka – zagraża wam Rasza, prawda?

– Tak.

– Okropne. To Rasza stworzyła tę broń, co?

– Nie, to myśmy ją wynaleźli.

– Ach tak? – rzekłem – ale Rasza wam zagraża? A czy nie możecie się jakoś z nią

Sam Lem przez lata wstydził się zarówno *Astronautów*, jak i *Obłoku Magellana*, opowiadania z tomu *Sezam* zniknęły, a część *Dzienników gwiazdowych* sam wyrzucał z kolejnych wydań (nie mówiąc o przypadku sztuki teatralnej *Jacht Paradise*, którego wydanie całkowicie zablokował). Po prostu – uznał, że nie były to wartościowe i dojrzałe pozycje.

porozumieć? Na przykład zażądać zakazu użycia tej broni?

– Była już taka propozycja.

– No i co?

– Została odrzucona.

– Rozumiem, Rasza nie zgodziła się na nią?

– Nie, to myśmy ją odrzucili.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy zagrożeni.

– Rozumiem – rzekłem po zastanowieniu. – Rasza użyła już przeciw komuś tej broni i boicie się, że teraz...

– Nie, to myśmy jej pierwsi użyli. Zniszczyliśmy dwa miasta Dżepów.

– Tak? Ale teraz Rasza grozi zapewne, że użyje jej przeciw wam?

– Nie. Głosi, że pragnie pokoju.

– Pokoju...? To nieco dziwne – rzekłem. – Zaraz... Już chyba wiem: ona powiada, że chce pokoju, ale równocześnie masowo przeprowadza takie próbne ćwiczenia przeciwatomowe we wszystkich miastach, co?

– Nie – odparł Merkan. – Byłem tam miesiąc temu; oni nie urządzają żadnych ćwiczeń.

– Nie urządzają?

– Nie.

– Więc czemu wy je urządzacie?

– Bo jesteśmy zagrożeni.

– Przez kogo?

– Przecież mówiłem już. Zagraża nam Rasza.

– Tak? – odparłem. – Muszę przyznać, że zupełnie tego nie rozumiem. Widocznie logika, jakiej używacie, jest inna od ziemskiej. (...)

W tym momencie jakby mi łuski spadły z oczu. Od spotkania pierwszej istoty nękało mnie, że w żaden sposób nie mogę sobie uświadomić, co mi przypomina język tubylców. Teraz zaświtało mi w głowie: ależ oczywiście, to był zniekształcony i wykoślawiony język angielski. Padłem ofiarą pomyłki spowodowanej w dużej mierze różnicami wymowy: Merka – to była America. Rasza – Russia, Czajna – China, Ejbom – A-Bomb i tak dalej.

Włosy stanęły mi dęba; nigdy jeszcze nie znajdowałem się w takiej opresji. Przeczuwałem, że los mój będzie opłakany, i nie myliłem się; albowiem słowa te piszę w więzieniu śledczym Nowego Jorku, gdzie przebywam już czwarty miesiąc".

Co można rzec... Że doskonale wpisujące się w miękką indoktrynację. I że nielemowskie – bo nielogiczne (kwestia prawdy i fałszu, rzecz fundamentalna dla późniejszego Lema, tu nie istnieje, choć doskonale wie, co warte są obietnice „Raszy"). Ale i – że dowcipne.

Czy przez to jednak szkodliwe mniej czy bardziej?

*

Jeszcze dziwaczniejszą wpadką jest *Jacht Paradise*. Sztuka w czterech aktach – tekst Stanisława Lema i Romana Hussarskiego, wydana w 1951 roku przez oficynę Czytelnik

Akcja dzieje się na luksusowym jachcie Paradise przemierzającym Pacyfik na początku lat 50. XX wieku, gdzie sympatyzująca z komunistami załoga jachtu udaremnia spisek Przemysłowca z branży militarystycznej, Generała armii USA oraz Profesora fizyki nuklearnej, którzy zamierzają wzbogacić się na atomowej wojnie światowej.

OK – odpuśćmy: ostatecznie nie jest to czyste *science fiction* (może co najwyżej – futureska przygodowa, taki James Bond à *rebours*), nie jest przeznaczone dla młodzieży, no i Lem nie jest tu jedynym autorem.

*

Jasne, nic innego wtedy pewnie nie mogłoby się ukazać, a Lem po prostu chciał żyć z pisania. Potem jednak wstydził się tego tamtego okresu:

„To sprawa bardziej skomplikowana. W 1948 roku napisałem »Szpital przemienienia«, swoją pierwszą książkę, która potem przez siedem lat nie mogła się ukazać, bo nie spełniała wymogów socrealizmu. W latach 1953–54 napisałem »Dialogi«, i w jednym z ich rozdziałów wyraźnie mówię, że ten system musi się rozpaść. Ale to jest napisane językiem cybernetycznym – mowa tam o systemie centralistycznym, planowaniu i blokowaniu informacji.

Owszem, i mnie zdarzyło się potknięcie – »Obłok Magellana«, w który starałem się przedstawić utopię komunistyczną. Może wynikało to z tego, że byliśmy rzeczywiście odcięci od Zachodu i historii, a może i z innych powodów... Trudno, przydarzyło się, nie mam zamiaru tego ukrywać, ale też nigdy nie zgodzę się na przykład na ponowne wydanie tej książki. (...) Jednak ogólnie rzecz biorąc, myślę, że moja twórczość jest zaprzeczeniem totalitaryzmu, zawsze starałem się zachować intelektualną i twórczą uczciwość".

To prawda i to ostatnie zdanie pisarza jest tu szczególnie ważne. Nawet wspominany przez Lema *Obłok Magellana* – o czym za chwilę – nie musi być w czambuł potępiany...

*

Dziś krytycy wspominają przede wszystkim owe dwa pierwsze, główne tytuły z Lemowskiego okresu socrealizmu: *Astronautów* (1951) oraz *Obłok Magellana* (1955), które zbudowały jego sławę pisarza jako niebanalnego twórcy literatury fantastycznonaukowej, ale i niestety obciążone są propagandą. Ale od razu uprzedźmy – choć ta perswazyjność jest chwilami irytująca – utwory te są o co najmniej półkę wyżej niż produkcyjniaki z tamtych czasów.

Astronauci to pierwsza polska powieść *science fiction* po 1945 roku, napisana sprawnie i zgodnie z wymogami gatunku (człowiek eksploruje kosmos, a obce cywilizacje chcą ludzkość wykończyć), więc nic

dziwnego, że cieszyła się sporym zainteresowaniem czytelników wygłodniałych normalnej, masowej rozrywki.

Jej treść jest wyjątkowo przesiąknięta propagandą sowieckiego komunizmu – nie przez przypadek zresztą wraz z wydaniem książkowym nakładem Czytelnika równolegle drukowana była w odcinkach w „Sztandarze Młodych".

Akcja dzieje się w roku 2003 w świecie, w którym komunizm już dawno zwyciężył, choć opowieść milczy o tym, jakimi metodami doszło do tego triumfu. Jednak nie to jest najistotniejsze – poważniejsze jest ideologiczne zabarwienie neutralnych treści.

Oto upadkowi ostatniego państwa kapitalistycznego towarzyszy nie tylko powszechny pokój, likwidacja głodu i ubóstwa, ale też, na przykład, w oczywisty sposób zmienia się na wielką skalę środowisko: nawadnia się Saharę, buduje elektrownie w cieśninie gibraltarskiej i sztuczne słońca topiące czapy lodowe na biegunach (*sic!*). Pominąwszy już absurdalność przyspieszania tego, co nazywamy dziś „globalnym ociepleniem" (swoją drogą – jak taki idiotyzm mogła napisać Lemowska głowa, która, co jak co, ale naukę rozumiała?!?), te pomysły są ewidentnie propagandowym odwzorowaniem zapowiadanych wówczas stalinowskich projektów przewidujących odwrócenie biegu wielkich syberyjskich rzek.

Niechęci Lema do politycznej ostentacji, ale i jednocześnie niechęci do wszelakiego projektowania świata, do prowadzenia go pod jedną sztancę i przestrogi przed totalitarnymi utopiami nie mogą zamaskować nawet rygory surowej cenzury. I tę niechęć pisarza do intelektualnego centralizmu widać właściwie we wszystkich jego najważniejszych tytułach.

Tymczasem w wyprawie na Wenus biorą udział – jak chciała propaganda – ludzie różnych ras zjednoczeni jedną ideologią. Jest więc obywatel ZSRR – ale i Amerykanin (lecz tylko czarnoskóry!). Jest matematyk z Indii. Jest fizyk z Chin. Jest Niemiec, chemik (to nie dziwi, bo NRD właśnie powstało). Jest drugi nawigator z Jugosławii (to błąd lub opóźnienie cenzury – Jugosławia zerwała definitywnie relacje ze Stalinem w czerwcu roku 1948). No i Polak, inżynier, noszący nazwisko Sołtyk – jak polski konstruktor samolotowy tamtych czasów.

Jednak nawet dziś, czytając niektóre irytująco perswazyjne fragmenty książki, trzeba oddać jej, że napisana jest wartko i ma w sobie to coś, co decyduje o wysokiej klasie SF: opisuje wyzwania stające przed cywilizacją, bohaterów mierzących się z oporem świata, a przede wszystkim – zagadkę i obcość innych cywilizacji i kultur. Do tego mamy klarowny język, narracja jest przejrzysta, a bohaterowie poukładani.

W jakiejś niewielkiej mierze można zrozumieć też wiarę w naukę i jej dobroczynny wpływ na ludzkość.

Ale kontekst książki jest niefajny. U Lema okazuje się, że Wenus wymarła, bo jej cywilizacja, podzielona na zwalczające się państwa i rasy, doprowadziła do własnej zagłady. To właśnie to, co formalnie głosili Sowieci – Ziemia upadnie, jeśli Ziemianie nie zaprzestaną wzajemnych wojen. Jedyną gwarancją pokoju miało być oczywiście zjednoczenie się pod sowieckimi regułami.

Lem po latach opowiadał niżej podpisanemu, jak to skrajni komuniści atakowali go za *Astronautów*. „Ktoś stwierdził, że *Astronauci* są nieprawdziwi, bo gdyby na Wenus istniała cywilizacja, to na pewno byłaby tam również KPW (Komunistyczna Partia Wenus), która nie dopuściłaby do inwazji na Ziemię. Ale wtedy Słonimski bardzo zręcznie wykpił tego krytyka, co dla mnie, nie ukrywam, było wielkim honorem".

Może i idiotyczna krytyka z lewej strony istniała, nie zmienia to jednak faktu, że książka wpisywała się w zapotrzebowanie władz.

*

Obłok Magellana to druga powieść SF Lema wydana w czasach mroźnego komunizmu.

Tym razem Lem zwycięski komunizm umieścił bezpiecznie w dużo odleglejszej przyszłości niż *Astronautów* – a mianowicie na początku wieku XXXI.

Ale w jakimś sensie to kontynuacja *Astronautów* – zarówno merytorycznie, jak i propagandowo-ideologicznie. Jednak myślowo jest to rzecz dużo ciekawsza i bogatsza.

Warstwa pierwsza to udany opis zmagania się człowieka z samym sobą. Oto trwa pierwsza ziemska wyprawa międzygwiezdna na megastatku kosmicznym „Gea" do układu Alfa Centauri – a ponieważ podróż w jedną stronę trwa ponad osiem lat, więc głównym przeciwnikiem pierwszych eksplorerów są ich własne umysły otoczone jedynie kosmiczną próżnią.

Ale jest i warstwa druga, indoktrynacyjna. Tu, powiedzmy szczerze, dużo jest propagandowego bełkotu, zaklejającego niezłą narrację i mądre przesłanie o zasadniczej niemożliwości nawiązania kontaktu z Innymi, o obcości cywilizacyjnej Ziemi. Ba – wiele fragmentów to peany na cześć komunizmu.

Na Ziemi jest nie tylko pokój, ale i dobrobyt, równowaga i rozwój technologiczny. Układ Słoneczny jest pod kontrolą, lekcje przyrodnicze przeprowadzane dla szkół są na Marsie, nie ma państw, nie ma chorób, nie ma również religii.

Ludzie nie patrzą w przeszłość, wiek dwudziesty jest dla nich starożytnością, o której sobie opowiadają anegdotki w rodzaju: „– Czy wiesz, że w dwudziestym wieku ludzie chcieli mieć wszystko na własność?" – pyta mężczyzna kobietę, a ta wdzięcznie odpowiada: „– A co to znaczy, mieć coś na własność?"

Słowem – znana to utopia.

Ale szczytów propagandy sięga pisarz, gdy powieściowa wyprawa dociera w okolice Alfa Centauri i z przerażeniem konstatuje, że przed nimi dotarli tam Ziemianie właśnie w wieku XX. I to nie byle jacy ziemianie: Amerykanie zbudowali tu wojskową bazę kosmiczną przenoszącą rakiety atomowe oraz broń biologiczną.

Pokojowo nastawiona ekipa z wieku komunizmu oczywiście niszczy stację wraz z jej całym uzbrojeniem i wysyła do pobliskiego układu planetarnego na zwiad 31 wahadłowców. Mieszkańcy Alfa Centauri traktują je jednak jako element agresji i część z nich zostaje zniszczona.

Na szczęście komuniści z XXXI stulecia są jakoś mądrzejsi (od tych komunistów – chciałoby się dodać zjadliwie – z epoki stalinizmu XX wieku) i pokojowo zażegnują konflikt.

*

Z perspektywy czasu i niemal pełnej wiedzy o postawie Lema wydaje się, że jego potknięcia propagandowe lat 1951–54 wypływały bardziej z presji chwili niż – choć i to niewykluczone – z konformizmu.

Nic więc dziwnego, że sam Lem później przez lata wstydził się zarówno *Astronautów*, jak i *Obłoku Magellana*, że opowiadania z tomu *Sezam* zniknęły, a część *Dzienników gwiazdowych* sam wyrzucał z kolejnych wydań (nie mówiąc o przypadku sztuki teatralnej *Jacht Paradise*, którego wydanie całkowicie zablokował). Po prostu uznał, że nie były to wartościowe i dojrzałe pozycje, choć na przykład w *Sezamie* znajduje się pięć pierwszych (doskonałych!) podróży Ijona Tichego. Z drugiej strony to właśnie nieoczekiwany sukces wydawniczy *Astronautów* skłonił go do napisania kolejnych książek SF.

I już nigdy indoktrynacyjnych dzieł nie popełnił. A to, co powstało bez presji, stało się klasyką literatury popularnej i mądrej. Dlatego w pewnym momencie cały świat – Lem był wtedy najbardziej poczytnym współczesnym nieanglojęzycznym pisarzem świata – znał go jako autora błyskotliwych powieści fantastycznonaukowych. Dowcip w opowiadaniach o przygodach Ijona Tichego w *Dziennikach gwiazdowych* czy w *Bajkach robotów* ścigał się z przenikliwą analizą społeczną w *Edenie*, opis inteligentnego oceanu w *Solaris* kazał się zastanawiać, czego nie wiemy o wszechświecie, i szedł w parze z odważnym opisem konsekwencji ograniczania ludzkiej natury w *Powrocie z gwiazd*.

Tomasz Fiałkowski, jeden z najlepszych znawców twórczości pisarza, zauważał, że: „Lem starał się za Peerelu zachować dystans do bieżących wydarzeń politycznych, pod koniec lat 70. jednak coraz trudniej to było czynić. Pisarz – co wiemy z dzienników Artura Międzyrzeckiego – sygnuje w 1976 roku jeden z protestów przeciw zmianom w Konstytucji, wprowadzającym zapis o kierowniczej roli PZPR i sojuszu z ZSRR. Potem wprawdzie odmawia podpisania deklaracji niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych, ale za pośrednictwem Jana Józefa Szczepańskiego nawiązuje współpracę z Polskim Porozumieniem Niepodległościowym i pisze dla niego anonimowo analizy; jedna z nich, zatytułowana *Prognozy Chochoła*, otworzy jeden z numerów paryskiej »Kultury«".

Lem więcej powiedział o tym w roku 1990 w rozmowie z autorem tego tekstu.

„Dlaczego właśnie PPN, Polskie Porozumienie Niepodległościowe? Z jednej strony zadecydował przypadek – po prostu takie miałem kontakty. Z drugiej – istotny był polityczny profil PPN, w którym ani na chwilę nie pojawiał się »socjalizm«. Ale w czasach »Solidarności« te moje PPN-owskie kontakty się rozluźniły... Potem, po 13 grudnia, kiedy wydawało się, że już na nic nie będzie szansy, wyjechałem najpierw do Berlina Zachodniego, a po roku do Wiednia, skąd nawiązałem kontakt z Jerzym Giedroyciem. I tak zaczęły się moje teksty w »Kulturze«.

Kilka z nich udało mi się, ale też popełniłem kilka błędów. Twierdziłem, na przykład, że Związek Sowiecki musi się rozpaść, bo nie wystarcza wykradanie zachodnich technologii, jeśli się nie posiada otoczenia cywilizacyjnego i umysłowego. Nie przypuszczałem jednak, że to nastąpi tak szybko, a pierestrojka pójdzie do końca, aż do zaprzeczenia ideologicznych podstaw państwa, niemal aż do tego, że jedynym mandatem istnienia komunistów będzie obrona posad. (...)

Poza tym ani moi przyjaciele, ani ja nie zajmowaliśmy się specjalnie polityką. Pochłaniałem całą zachodnią literaturę naukową i choć komunizmu nie lubiłem, to zajmowałem się pisaniem książek, a nie podważaniem systemu. Trudno było mi też polemizować z jakimiś zatwardziałymi komunistami, bo ich po prostu w moim środowisku nie było. (...)

Czynniej zaangażowałem się w politykę dopiero w latach 70., kiedy to podpisałem list protestujący przeciwko zmianom w konstytucji. Ale później już takich działań nie powtarzałem, bo uważałem, że to się dewaluuje. W końcu – i tego nie ukrywam – nie byłem zwolennikiem metodologii rejtanowskiej".

I jeśli przyjrzeć się tym właśnie książkom, to Lemowa niechęć do centralizmu/komu-

nizmu jest jedną z najbardziej niezwykłych rzeczy, a okres socrealizmu – mało istotnym etapem.

*

Tej niechęci pisarza do politycznej ostentacji, ale i jednocześnie niechęci do wszelakiego projektowania świata, do prowadzenia go pod jedną sztancę i przestrogi przed totalitarnymi utopiami – wynikającej również z jego uwielbienia wolnej, swobodnej myśli naukowej – nie mogą przykryć nawet rygory surowej cenzury PRL. A niechęć pisarza do intelektualnego centralizmu widać właściwie we wszystkich jego najważniejszych tytułach.

A jest ich mnóstwo.

Tylko w ciągu dziesięciu lat 1959–69 ukazuje się 15 (piętnaście!) tytułów! Najpierw, niemal równocześnie, aż trzy książki: powieści *Eden* i *Śledztwo* oraz opowiadania *Inwazja z Aldebarana*. W 1961 – arcydzieła: *Pamiętnik znaleziony w wannie* i *Solaris*

Główne przesłanie Lema we wszystkich jego książkach sprowadza się do przeświadczenia, że cywilizacja idzie w złym kierunku.

oraz *Powrót z gwiazd*. Potem tom szkiców *Wejście na orbitę*, zbiór opowiadań i słuchowisk *Noc księżycowa*, wreszcie *Bajki robotów*, *Niezwyciężony* i *Summa technologiae*, *Cyberiada*, *Polowanie*, *Wysoki Zamek*, *Głos Pana*. A to wszystko zróżnicowane gatunkowo, stylistycznie, merytorycznie – mnogość tematów, gatunków, idei.

I pozwalające na różnorodne interpretacje.

Spójrzmy na dwa najważniejsze tytuły, które przeszły do klasyki literackiej, nie tylko polskiej.

„Nie wiemy dokładnie, kiedy ani gdzie wybuchła epidemia papyrolizy. Prawdopodobnie stało się to w południowych, pustynnych regionach ówczesnego państwa Ammer-Ku, gdzie budowano pierwsze przystanie kosmiczne. Współcześni nie pojęli zrazu zagrażającego im niebezpieczeństwa. (...)

Był to, w samej rzeczy, okrutny cios zadany dumie człowieka późnego neogenu, który w swym mniemaniu sięgał już do gwiazd. Koszmar papyrolizy wchłaniał w siebie wszystkie dziedziny życia. W miastach wybuchała panika, pozbawieni indywidualności ludzie tracili rozsądek, załamywały się dostawy dóbr, dochodziło do aktów przemocy, technika, rozwój nauk, szkolnictwo – rozpadały się i ginęły. Gdy centrale energetyczne stawały, nie można ich było dla braku planów naprawić. Gasły światła elektryczne, a nastałą ciemność rozwidniały płomienie pożarów".

To *Pamiętnik znaleziony w wannie* (1961).

Jego akcja osadzona jest w przyszłości, w roku 3149 nowego kalendarza (ok. 5000 rok licząc według chronologii współczesnej), gdy po katastrofie papyrolizy i zniszczeniu dotychczasowych nośników informacji zostaje odnaleziony tytułowy pamiętnik, unikatowy papierowy nośnik danych, świadectwo dawnych czasów. Tekst pisany jest w formie relacji z pierwszej ręki agenta siedzącego w podziemnym kompleksie Nowego Pentagonu pod Górami Skalistymi w USA. Świat i życie tajnego kompleksu rządowego przypominają kafkowskie wizje biurokracji i zagubienia w trybach maszyn urzędniczych. Bohaterowie, napędzani biurokratycznymi obsesjami społeczeństwa na poły totalitarnego, walczą z urojonymi, nieznanymi wrogami wewnętrznymi: nic tu nie jest tym, na co wygląda, a wszystkim rządzi chaos i podejrzliwość.

*

A tu z kolei *Powrót z gwiazd*, kolejna wielka powieść zaliczana do klasyki SF (1961).

„– Dlaczego nic nie mówisz? – spytałem. Musiałem odchrząknąć.

– To... ile ty naprawdę masz lat?

Musiałem się uśmiechnąć; nie był to miły uśmiech.

– Co to znaczy – naprawdę? Biologicznych czterdzieści, a według ziemskich zegarów – sto pięćdziesiąt siedem...

Długie milczenie i nagle:

– Czy tam były kobiety?

– Czekaj – powiedziałem. – Masz coś do picia?

– Jak to?

– Coś trującego, wiesz. Mocnego. Alkohol... czy się go już nie pije?

– Bardzo rzadko... — odpowiedziała całkiem cicho, jakby myślała o czymś innym. Jej ręce opadły wolno, dotknęły metalicznego błękitu sukni.

– Dam ci... angehenu, chcesz? Prawda, ty nie wiesz, co to jest?

– Nie. Nie wiem – odpowiedziałem z niespodziewaną zaciętością. Poszła do baru i wróciła z małą, pękatą flaszką. Nalała mi. Był w tym alkohol – niewiele – było coś jeszcze – osobliwy, cierpki smak. (...)

Podniosła się wolno. Stanęła za fotelem.

– Jak dawno temu – mówiłeś? Sto dwadzieścia lat...?

– Sto dwadzieścia siedem. I co z tego?

– A czy ty... byłeś... betryzowany? (...) Nie zbliżaj się. Nie! Nie! Błagam cię! (...)

– Nie jestem przecież dzikim zwierzęciem... Nie gniewaj się, ale... mnie się zdaje, że wyście wszyscy trochę sfiksowali. Ten bryt... no, zupełnie jakby skuwać wszystkim kajdankami ręce, bo a nuż ktoś jest złodziejem".

Chwyt prosty i łatwo odczytywalny – oto załoga statku kosmicznego Prometeusz wraca na Ziemię po 10 latach czasu pokładowego z megakosmicznej wyprawy. W tym

czasie na Ziemi z powodu zjawiska dylatacji czasu upłynęło 127 lat.

Już owa dylatacja to ciekawy zabieg merytoryczny, bo pokazuje Lemową solidność naukową w opisywaniu świata i rozwiązywaniu jego problemu. (Dylatacja, w dużym skrócie, to zjawisko wynikające ze szczególnej teorii względności Einsteina i opisujące różnice w pomiarze czasu dokonywanym w dwóch różnych układach odniesienia, z których jeden przemieszcza się względem drugiego).

Wracając do powieści. Z niejasnych początkowo przyczyn, powrotowi wyprawy towarzyszy zupełny brak zainteresowania opinii publicznej. Główny bohater, kosmonauta Bregg, nie poznaje świata. Postęp spowodował, że wyeliminowano z życia wszystkie zagrożenia. Nauczono się chociażby neutralizować przeciążenie i bezwładność, dzięki czemu nie ma ofiar wypadków komunikacyjnych. Ludzkość korzysta z powszechnego dobrobytu, a dostęp do większości dóbr jest darmowy, za to pracują wyłącznie automaty. W ogóle: dzięki tak zwanej betryzacji – zabiegowi na mózgu – wyeliminowano wszelkie agresywne instynkty. Oznacza to nie tylko, że nie ma wojen i przestępstw łączących się z przemocą, ale że i ludzie nie chcą podejmować ryzyka, nie odkrywają nieznanego, a nawet nie uprawiają sportów wyczynowych.

Formalnie rzecz biorąc, to opowieść o alienacji i szoku kulturowym bohatera o instynktach z wieku XX w konfrontacji z może i pokojowo nastawionym, ale mimozowatym i słabym społeczeństwem przyszłości. Ale tak naprawdę to opowieść o ułudach budowania doskonałego świata przyszłości pomimo zamożności – bardzo, bardzo nieciekawego i odstającego od tego, co w rzeczywistości pragnie każdy człowiek.

Cenzor oczywiście nie pozwoliłby napisać Lemowi jednej, bardzo fundamentalnej rzeczy: taki utopijny, nudny świat projektował dla ludzkości komunizm.

*

Jeszcze jedno – przypominając socrealistyczne wątki w twórczości Lema (OK, czepiając się go nawet lekko), trzeba jednak powiedzieć, że choć i *Astronauci*, i *Obłok* to tytuły z dużym ładunkiem indoktrynacji, ale też i tytuły po prostu mądre.

To typowe powieści o pierwszym kontakcie z Innym. Powieści, które – odrzuciwszy cały ten propagandowy sztafaż – nie tylko ciekawie i wnikliwie opisują technologiczną przyszłość (jak choćby wizja internetu przewidzianego w *Astronautach*), ale przede wszystkim stawiają pytania fundamentalne dla człowieka i jego cywilizacji, niezależnie od tego jaki gatunek literacki je stawia i jakie poglądy polityczne ma czytelnik.

Bo, jakkolwiek niechętnie na komunizm patrzeć, to kilka pytań nadal jest zasadnych. Bo są to pytania ponadczasowe i ponadustrojowe.

Czy Ziemianie, walcząc między sobą, w obrębie własnego gatunku, nie doprowadzają aby samych siebie do wyginięcia?

Czy każdy kontakt z nowym to szansa na zysk, na sukces, zrozumienie? Czy bardzo odległe od siebie kultury mogą się wzajemnie zrozumieć? Czy obca cywilizacja to automatycznie pokój i przyjaźń?

Czy siedzą w nas lęki i zagrożenia? Czy umiemy przełamywać bariery w kontaktach z Innymi?

Czy potrafimy przełamać własną samotność i naszą znikomość wobec ogromu wszechświata.

Czy możemy nie bać się niezmierzonej pustki i nieznanego?

Czy możemy, choćby w idealnej przyszłości, unikać błędów? A jeśli je popełnimy – czy wyciągniemy z nich nauczkę?

Czy potrafimy poświęcać się dla innych?

Te wszystkie pytania Lem każe traktować w sposób retoryczny.

Nie, nie uda się. Tak, jesteśmy skazani na samozagładę. Nie liczmy na cud. Tak, jesteśmy samotni. Nie umiemy kochać. Będziemy cierpieć. Innego spotkania z Innym nie będzie.

Bo główne przesłanie Lema sprowadza się do przeświadczenia, że cywilizacja idzie w złym kierunku. I spotkanie z Innym na pewno nam nie pomoże, bo ani my do tego gotowi, ani Inny nie jest ideałem.

Lecz sensem jego bycia społecznego był antytotalitaryzm bez ostentacji.

Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Tomasz Kawecki, *Leże* (cykl *Leże*)

PORTRETY pod Wawelem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** Alicja Rzepa

Pandemia pomieszała nam szyki i nie od razu mogliśmy zorganizować uroczyste wręczenie nagród w konkursie PORTRETY wyłaniającym najlepsze dzieła biograficzne 2020 roku. W końcu jednak się udało...

... i w upalne popołudnie w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha spotkaliśmy się z Izoldą Kiec, autorką książki *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, która odebrała główną nagrodę jury, oraz ze Stanisławem Nicieją, twórcą cyklu *Kresowa Atlantyda*, którego czytelnicy „Krakowa" wyróżnili za XV tom serii, zatytułowany *Wilno*. Laureatom przybyli pogratulować między innymi Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa i prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski.

Co tu kryć, bardzo chcieliśmy osobiście poznać zwycięzców tegorocznych PORTRETÓW. Tę naszą chęć potęgował fakt, że obrady jury, pod przewodnictwem Artura „Barona" Więcka (reżysera teatralnego i filmowego, autora między innymi cyklu o Aniele w Krakowie), przypadły na czas pandemii i o wytypowanych przez nas biografiach mogliśmy dyskutować tylko *online*. A co to za przyjemność widzieć jedynie migającą niezbyt wyraźnie na małym ekranie twarz prof. Krzysztofa Zajasa, kiedy snuje swoje przeciekawe literackie rozważania. I co to za frajda tylko machać do naczelnego miesięcznika „Kraków" Witolda Beresia, by wreszcie dopuścił mnie do głosu, a nie tylko przekonywał wszystkich, że to jego faworyci powinni zwyciężyć?

Lockdown pozbawił nas przyjemności dyskusji, więc cieszyliśmy się na to spotkanie jak rzadko.

Szczególnie że wiedzieliśmy, iż odbędzie się ono w pięknej scenerii Wawelu, którą zapewnia Manggha. To tam podziękowaliśmy Izoldzie Kiec za przybliżenie nam historii tak nieprawdopodobnej postaci, jaką była Zuzanna Ginczanka. Profesorowi Stanisławowi Niciei szczególnie dziękował Jacek Majchrowski i to nie tylko dlatego, że to miasto ufundowało nagrodę przyznawaną przez czytelników „Krakowa" (a głosów nadeszło ponad 3600). Otóż sam też jest akademikiem i doskonale wie, jak trudno jest napisać książkę, po którą sięgną tak zwani zwykli czytelnicy. – Profesorowi Niciei to się udało. Jego *Wilno* tak dobrze się czyta, bo świetnie łączy w nim anegdoty z historycznymi faktami. To nie jest częsta umiejętność w środowisku naukowym – podkreślił prezydent.

Gdy statuetki były już w dłoniach zwycięzców, mogliśmy skupić się na swobodnych rozmowach. Wszystkich optymizmem napawała choćby wiadomość, że wbrew złowieszczym

proroctwom malkontentów wzrasta ostatnio czytelnictwo książek. Serwis wydawniczy Global English Editing podał, że w 2020 roku aż 35 proc. badanych w różnych rejonach świata osób deklarowało, że czyta więcej, a 14 proc. znacznie więcej niż przed pandemią. Co ciekawe, w Stanach Zjednoczonych procent ten był jeszcze większy, gdyż oscyluje wokół liczby 21. W Polsce raport Biblioteki Narodowej daje też powody do radości. Wskaźnik tych, którzy przeczytali co naj-

Prezydent Jacek Majchrowski:
Nagrodę czytelników „Krakowa" dostało *Wilno* jako tom XV *Kresowej Atlantydy* – dzieła prof. Stanisława Niciei. Z tego co wiem, jest jeszcze jedenaście tomów w przygotowaniu... Rozumiem, że Pan Profesor Nicieja będzie lepszy od Kraszewskiego...

Ciekawe, że ten tom poświęcony jest miejscu, które dla Polaków pozostaje nostalgicznym wspomnieniem. Zresztą podobnie jak Lwów. Ta problematyka jest bardzo istotna, ale dla stosunkowo – wydawałoby się – wąskiego kręgu czytelników. I tego nawet nie zmienili ani Miłosz, ani Konwicki. Pisali przecież znakomicie na temat Wilna. Akurat Konwicki to mój ulubiony autor i reżyser. Sądzę jednak, że ta nagroda zmienia sytuację, bo pokazuje, że problematyka Wilna wyszła szerzej. Jeżeli czytelnicy sami zagłosowali na problematykę wileńską, to znaczy, że to nie jest już coś takiego, co pozostaje w gronie tylko wąskiego zainteresowania. Rozeszło się szerzej. Panie Profesorze, mówię szczerze, te książki, które mi pan przysłał, są fantastyczne. Bo opierając sie na aparacie naukowym, wszystko jest porządne i wypracowane, a równocześnie – to się świetnie czyta. A to rzadko się zdarza w literaturze naukowej, że można literaturę naukową czytać jak powieść, czasami nawet jak kryminał – bo to są anegdoty połączone z faktami, z rzeczywistością, ale i z opiniami, ocenami. W dawnym tygodniku „Przekrój" recenzje dobrych książek opatrywano zwrotem: „Czyta się". I tutaj też tak można powiedzieć: czyta się. Bardzo gratuluję, Panie Profesorze, bo to jest niezwykle rzadka umiejętność w środowisku naukowym.

---

mniej jedną książkę, wzrósł do 42 proc. Na dodatek, jak podają wydawcy, a co nas szczególnie cieszy, oprócz kryminałów to właśnie biografie najlepiej się sprzedają.

– Biografie są popularne, bo w naszej naturze leży zainteresowanie innymi ludźmi. A kontakty z nimi mamy coraz słabsze. I choć czytanie biografii nie zastępuje nam obcowania z drugim człowiekiem, to pozwala kogoś poznać i to czasem głębiej niż w realnym życiu – stwierdziła Izolda Kiec. Stanisław Nicieja miał nieco inną teorię na ten temat, wynikającą z obserwacji naszych najnowszych dziejów: – W PRL-u społeczeństwo było anonimowe. Powstawały albo hagiografie albo paszkwile, albo się kogoś sławiło albo niszczyło. Nic dziwnego, że gdy nadszedł czas transformacji, zapanował głód biografii. Dlatego już od dłuższego czasu to właśnie one utrzymują się na listach bestsellerów. Ważne jest jednak, żeby były dobrze napisane.

Akurat co do tego w przypadku nagrodzonych przez jury PORTRETÓW i czytelników „Krakowa" książek nie było wątpliwości.

Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt to piękna opowieść o autorce robiących do dzisiaj wrażenie wierszy, która na długie lata została zapomniana. Pewnie tak piękna także dlatego, że powstała z miłości do poetki. Nie ślepej jednak, bo, jak twierdzi Izolda Kiec, pisząc biografię trzeba znaleźć dystans do przedstawianej osoby. – Tylko patrząc na kogoś trzeźwym okiem, można analizować i interpretować jego życie i twórczość. W innym wypadku uprawiałoby się brązownictwo. A w biografii trzeba pokazać pełnego człowieka, który ma wady i zalety, a czasami również ciemne strony.

Do miłości do bohatera swojej biografii, czyli do Wilna, przyznaje się też Stanisław Nicieja. Choć dodaje, że równie wielkim obiektem jego uczuć jest Lwów. – Te magiczne miejsca stworzyły elity intelektualne Polski. Tam przychodziły na świat prawdziwe talenty. Jeden z moich przyjaciół wziął mapę sztabową i ołówkiem kopiowym znaczył punkty, w których rodzili się wybitni Polacy. W okolicach Lwowa i Wilna te punkty zlały się w czarną plamę. Miałem więc o kim pisać. Dzięki tym ludziom w mojej opowieści miasto pulsuje, żyje ona na wielu poziomach – wyznał autor, dodając, że to właśnie z powodu tych fascynujących postaci chciałby mieszkać w przedwojennym Wilnie.

Z kolei Izolda Kiec zdradziła, że chętnie zaprzyjaźniłaby się z Ginczanką, bo znalazła w niej sporo cech, które sama posiada. Poetka była osobą milczącą, w większym gronie musiała się przełamywać, by zabrać głos, co – jak twierdzi autorka biografii – jej samej się dosyć często zdarza.

A Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa, faktyczna współtwórczyni, wraz z Andrzejem Wajdą, magicznej Mangghi, powtarzała, że cieszy się, iż miejsce przeznaczone na sztukę dalekiej Japonii stało się, jak oboje zamierzali, ośrodkiem, w którym mogą się spotykać twórczy ludzie.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Prof. Stanisław Nicieja i prof. Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa (miasto jest fundatorem nagrody czytelników miesięcznika)

Profesor Stanisław Nicieja:
Panie Prezydencie, Szanowni Państwo! Bardzo dziękuję za te słowa i za to wyróżnienie, które jest jednym z najważniejszych w moim życiu. Bo ja jestem przecież w istocie biografistą. Moje opowieści są zawsze o ludziach. To biografie zbiorowe albo indywidualne. Cztery napisałem tylko o ludziach, ale o ludziach jest też przecież *Książka Łyczakowska*, która zawiera cztery tysiące sześćset nazwisk – to zbiorowa biografia miasta przez ludzi spoczywających w jednym miejscu. Zawsze szukałem sposobu, jak opowiedzieć o człowieku. I wiem już: nie można takiej opowieści przegadać. *Książka Łyczakowska* odniosła sukces czytelniczy – wydana została w nakładzie trzystu tysięcy egzemplarzy. Mój kolega napisał o cmentarzu w Wilnie na Rossie i zrobił błąd: księgę adresową. Pole VIII – spoczywa Lelewel, pole VII ktoś inny. I tak dalej. Ja znalazłem inny sposób: mowy pogrzebowe, symbolika nagrobka. Jeżeli umarła Konopnicka, przemawiał Kasprowicz – potrafił powiedzieć coś takiego, że te trzy zdania powodowały, że do dziś czujemy dreszcze.

Pan Prezydent powiedział o tym, że „się czyta". Dziękuję. Tym bardziej że profesor Majchrowski sam jest również biografistą. Jego książka o Wieniawie-Długoszowskim ciągle funkcjonuje w obiegu.

Nie mam łatwości pisania. Wie o tym zwłaszcza moja żona. Z drukarki wyciągamy kolejne strony kilkakrotnie: skracam, szukam, akapit, nadtytuł... To, co powiedział kiedyś Szajnocha: autor ma wziąć na siebie wysiłek czytelnika. Naukowość nie polega na tym, że nie wiadomo, gdzie się zdanie kończy, gdzie podmiot, gdzie orzeczenie. Trzeba włożyć wysiłek.

Tak się to jakoś toczy. To jest starość, bo wchodzę w wiek – strzeliła mi siedemdziesiątka – japońskiego pracoholika: co pół roku produkuję książkę, ale też do drugiej w nocy codziennie siedzimy z żoną nad tymi materiałami. Inaczej się nie da. To jest kwestia setek maili, kontaktów, uzgodnień z ludźmi, żeby człowieka wydobyć, pokazać. A zasadę przyjmuję jedną: nieistotne jest, czy to jest człowiek czarnoskóry, czerwony, żółty czy w kapturze arabskim. Nie interesuje mnie to. Ważne jest tylko, co dobrego zrobił, czym się zaznaczył, jak zafunkcjonował. I mieszam szyki: nie z pierwszych stron gazet, tylko z piątego szeregu, bo zwykle ciekawszy jest charyzmatyczny proboszcz, który skupia ludzi, niż pusty arcybiskup, który niewiele rozumie ze świata, a trzeba o nim pisać, bo pełni funkcję.

O Wilnie napisano wiele książek. Ono żyje, jest silne. Szukałem sposobu, bo najmniej o Wilnie wiedziałem. Postanowiłem zderzyć osobowości, które się wykluczały. Zderzam choćby Miłosza z Putramentem. Miłosz zaczyna jako człowiek komunizujący,

idzie w kierunku antykomunizmu. Putrament odwrotnie: jest Wszechpolakiem, pałkarzem, a staje się komunistą. I takie zderzenia zagrały, dlatego ta książka jest ciągle dodrukowywana. A wydawnictwo mamy niszowe. Mój wydawca nie wyda dwustu tysięcy miesięcznie, żeby książka była na półce w Empiku. Więc małego wydawcy po prostu na rynku nie ma. Żeby funkcjonować, potrzeba tysięcy spotkań autorskich. I dlatego na Wilno głosowali – jak słyszę – czytelnicy „Krakowa" z Żar, Gorzowa Wielkopolskiego, z Gołdapi.

I dlatego kwestia zauważenia tej książki to fenomen. W Polsce jest tak ogromna produkcja książek, to jest niewyobrażalne. W PRL-u było trudno książę wydać, ale łatwo sprzedać. Teraz jest odwrotnie. Rocznie ukazuje się trzydzieści tysięcy tytułów. Dziennie do księgarń wchodzi dziesięć tytułów.

Jak w tym morzu rozróżnić, co jest cegłą, a co perłą?

Anna Barańska (reprezentująca firmę Consultronix, fundatora nagrody jury) i Izolda Kiec

Izolda Kiec:

Myślałam o tym, jakby czuła się Ginczanka, gdyby była z nami przy tym stole...

Bardzo dawno, bo w 1989 roku, pierwszy raz podjęłam jej temat i zaczęłam pisać o niej pracę doktorską. Wtedy była to poetka właściwie nikomu nieznana. Kiedy pytano mnie więc o moją pracę, natychmiast dodawano: „Ale kto to jest?". I kiedy ukazywały się pierwsze moje o niej prace, nie wiedziałam, jaki będzie ich odbiór.

Wszystko to, co się działo przez te ponad trzydzieści lat, to dla mnie niezwykłe doświadczenie obcowania z Zuzanną Ginczanką, ale też jej czytelnikami, którzy są coraz młodsi. Jest coraz więcej młodych ludzi, którzy naprawdę się nią fascynują.

Jestem zaszczycona. To moja pierwsza nagroda za tę trzydziestoletnią pracę nad Ginczanką.

A kiedyś już się z Ginczanką na jakiś czas rozstałam i zarzekałam, że nigdy w życiu już nic o niej nie napiszę. Lecz Hania Grudzińska z „Marginesów" namówiła mnie, abym jednak kolejny raz podjęła ten temat. Umówiłyśmy się na biografię, potem dopiero zaczęły się rozmowy, czy jednak nim powstanie biografia, nie przypomnieć jej poezji. I ten tom poezji też zaskoczył, był pokazywany wszędzie.

Tu jest wielka rola tych, którzy promują książkę. Pan Profesor Nicieja mówił, jak trudno jest wydawać książki, których nigdzie nie ma. Dziękuję za nagrodę, dziękuję za wszystkie ciepłe i miłe słowa wobec Zuzanny.

Z miłością, czyli nie bezkrytycznie: *Balagan* Pawła Smoleńskiego

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** archiwum redakcyjne

„Tureckie słowo przejęte przez hebrajski z jidysz i polskiego i tak nasączone polskimi znaczeniami, iż nie ma żadnej wątpliwości, skąd wywodzili się założyciele Izraela i twórcy współczesnej hebrajszczyzny. (...) Balagan to – słyszałem – cecha konstytutywna Izraela. Jest wszędzie, nie sypia i nigdy nie odpoczywa, objawia się niemal na każdym kroku. Izraelska polityka to balagan. (...) Podobnie szkoły, szpitale, biura państwowe i prywatne, policja, a nade wszystko Mosad – przykład balaganu doskonałego".

Autor jest w „Gazecie Wyborczej" od jej powstania, wcześniej pisywał pewnie w dziesiątku anty-PRL-owskich pism, a styropian jego zasług (na styropianie sypiali wtedy strajkujący) z pewnością starczyłby na ocieplenie małego domku. W wolnej Polsce Smoleński zasłynął choćby tekstem opisującym tak zwaną aferę Rywina. Ale nie jego zasługi się tu liczą, lecz talent. To jeden z czterech, góra pięciu najwybitniejszych reporterów wolnej Polski. Tak, świadomie używam tego mocnego dopowiedzenia, choć wiadomo, że doskonałych reporterów mamy dostatek, a nawet dostatek plus. Nie dziwota – szkoła „Wyborczej", czyli linia Kapuścińskiego – Krall – Szejnert – Szczygła musi przynosić smakowite owoce. A jednak to Smoleński, prócz miłości do szczegółu, do barwy kory drzewa, z której buduje obraz lasu z lotu ptaka, oprócz niezwykłego słuchu na ludzkiego głosy i mocy oddawania w literkach tego, co zasłyszane, ma jeszcze cechę jedną, która zresztą (powiedzmy uczciwie) wielu doprowadza do szału. Ma otóż Smoleński odwagę sądów i nie chowa się za formułą „narratora, reportera przezroczystego". Owszem, przekaże racje obu stron, ale nie będzie szukać złotego środka, gdy bomby zabijają niewinnych.

Smoleński pisze o polityce, o góralach (zwykle z Bartkiem Kurasiem – i dostaje mu się za to od pseudopatriotów), o Somalii, o Sycylii z Jarkiem Mikołajewskim, o Iraku i Kurdach (doskonałe *Piekło w raju*). Jednak jego pisarstwo – jestem przekonany, że reportaż to zasłona dymna dla jego talentu – układa się w trzech liniach. Pierwsza – to nostalgiczne opowieści z Polski (ją najbardziej lubię i żal, że nie zebrał większej liczby reportaży niż w tomie *Powiatowa rewolucja moralna*). Druga, linia bardzo ważna, to praca na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego (genialny *Pochówek dla rezuna*). Ale najmądrzej pisze o Bliskim Wschodzie i o Izraelu. Od *Izrael już nie frunie* poprzez głębokie *Oczy zasypane piaskiem*, aż po niedawne *Wnuki Jozuego*. Teraz jednak wydał ponownie, ale jakby od nowa, inną książkę, która zakresem, ale i konstrukcją jak najbardziej pasuje do naszego pojmowania tworzenia portretów. *Balagan* wyszedł po raz pierwszy w roku 2012, ale wydanie dzisiejsze jest przynajmniej w jednej piątej zmienione i uaktualnione. Nic dziwnego – nakłada się ono bowiem na koniec ponad dwunastoletniego panowania premiera Netanjahu w Izraelu (i o nim w książce też słowo znajdziecie).

Słowem portret to barwny i mądry. A że przy okazji kojarzyć się musi z Polską, która wydaje się takim samym bałaganem, tyle że o mniejszych konsekwencjach dla świata, to powód dodatkowy, aby po ten tytuł sięgnąć i przeczytać go z uśmiechem i namysłem.

Paweł Smoleński, *Balagan. Alfabet izraelski*, Czarne, Wołowiec 2021.

Polska bez immunitetu

Rozmawiał Paweł Stachnik **Zdjęcie:** Rafał Komorowski/Wikimedia Commons

Ziemowit Szczerek: Myśl PiS-u o państwie jest w istocie totalitarna: jednostka niczym, jednostka zerem, najważniejsza jest wspólnota.

Paweł Stachnik: Gdzie Pan był ostatnio?
Ziemowit Szczerek: Wróciłem niedawno z Ukrainy. Zbierałem materiały do książek i esejów, trochę zwiedzałem.
Jeździ Pan też po Białorusi, Ukrainie, Słowacji, Macedonii, Kosowie... Co dają pisarsko te podróże po Europie Środkowo-Wschodniej?
Przede wszystkim zbadanie szerszego kontekstu, w jakim my sami się znajdujemy. Mamy tendencję do postrzegania Polski jako zamkniętej całości, która sama siebie ogarnia i funkcjonuje w oderwaniu od całej reszty. A to przecież nieprawda. Kraje, do których jeżdżę, a które leżą bliżej lub dalej od Polski, ale cały czas w naszym regionie, to jakby zrealizowane historie alternatywne. Mamy, na przykład, Ukrainę, która przez lata związana była z Rzeczpospolitą i podlegała rozmaitym jej wpływom. Tyle że potem nasze drogi się rozeszły, a nastały wpływy ze Wschodu: rosyjskie, sowieckie. I teraz jak w laboratorium zobaczyć tam można, co się wykłuło z tej dziwnej mieszanki, mieszanki – dodajmy – charakterystycznej też dla wielu innych krajów regionu. Po przecież nie tylko Ukraina podlegała wpływom i zaborom sąsiadów. I Litwa, i Białoruś, i Słowacja, i my...

> Z jednej strony jesteśmy superpatriotyczni, co jest śmieszne i dowodzące czegoś zupełnie przeciwnego. Z drugiej zaś mamy tendencję do machania ręką i mówienia: „K...a, nic z tej Polski nie będzie". A przecież jest mnóstwo rzeczy, za które można lubić Polskę.

Obserwacja tych zjawisk jest ciekawa, bo pozwala poznać także mechanizmy rządzące nami. Jak wyglądają relacje centrum–peryferia, jak historia wpływa na kształt rzeczywistości, jakie ślady przeszłość pozostawiła w mentalności ludzi.
Spora część tych krajów to państwa nowe, powstałe w latach 90. XX wieku. Czy władze wpływają tam jakoś na kształt kultury?
Niektóre by chciały, inne robą to mądrze, inne głupio. Zabawnie robiła to chociażby Macedonia w czasach, gdy rządzili tam nacjonaliści. Jeżeli za część kultury uznać architekturę i urbanistykę, to oni wpłynęli na nią w sposób inwazyjny. Z centrum stolicy Skopje, która była odbudowanym po trzęsieniu ziemi w 1963 roku brutalistycznym majstersztykiem, zrobili coś, co wygląda jak dekoracje do *Quo vadis*. Na cały ten brutalizm nałożyli filtr, który ma udawać antyczne budowle, pomniki, kolumny. To desperacka próba pokazania, że my, Macedończycy, byliśmy tutaj jeszcze przed Słowianami, że Aleksander Wielki był Macedończykiem i tak dalej. A więc polityka kulturalna jako próba podpięcia się pod tradycję historyczną o wiele dawniejszą niż ta, jaka w rzeczywistości przysługuje naszemu narodowi. I w wydaniu Macedonii wyszło to dość karykaturalnie.
Z kolei na Ukrainie robią to trochę mądrzej. Z jednej strony mamy całe to państwowe nacjonalistyczne gadanie, które w sytuacji trwającej wojny jest może jeszcze jakoś zrozumiałe. Z drugiej zaczynają kręcić dobre filmy i wydają bardzo dobrą literaturę. Przy czym wpływ państwa na to jest bardzo mały. Ukraina jest obecnie bardzo liberalnym krajem, wręcz libertariańskim, i ingerencja w kulturę – w sensie jej wspierania – jest znikoma lub wręcz żadna.

Ziemowit Szczerek urodził się w 1978 roku w Radomiu. Jest pisarzem, publicystą, dziennikarzem, tłumaczem. Pisuje o Europie Środkowo-Wschodniej, Polsce, historii alternatywnej, społeczeństwie. Autor wielu książek, między innymi *Siódemka*, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*, *Rzeczpospolita zwycięska. Alternatywna historia Polski*, *Tatuaż z tryzubem*, *Via Carpatia. Podróże po Węgrzech i Basenie Karpackim*, *Cham z kulą w głowie*. Laureat Paszportu „Polityki", nominowany dwukrotnie do Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus. Mieszka w Krakowie i Warszawie.

Jeszcze inny przykład: Kosowo. Tam szefem Narodowej Galerii w Prisztinie mianowano znanego artystę malarza Luama Muliqiego, który starał się uczynić z niej liczący się ośrodek sztuki. Pomysł, plany i ambicje były, lecz w praktyce niewiele z tego wyszło.

Jeżeli dajemy artystom pieniądze na życie, twórczość i ubezpieczenie, to nie inwestujemy w PR państwa, tylko inwestujemy w przyszłość jego kultury.

W Polsce mamy słynną MaBeNę, czyli Maszynę Bezpieczeństwa Narracyjnego, która w wydaniu rządu PiS-u przypomina bardziej to, co robiono w Macedonii.

A czy państwo w ogóle powinno jakoś wpływać na kulturę, formować ją według swoich założeń, prowadzić politykę kulturalną? Czy też kultura powinna się rozwijać całkowicie autonomicznie?

Państwo powinno komplementarnie kształtować swoją politykę w rozmaitych dziedzinach: gospodarce, obronności, ochronie środowiska, a w tych ramach również w kulturze. Tyle że nie w sposób nachalny i prymitywny. Powinien być raczej przejrzysty system dotacji, w szczególny sposób nastawiony na młodych, dobrze rokujących twórców, ciekawe i nowatorskie przedsięwzięcia.

Taki system funkcjonował u nas wcześniej, ale nie był wystarczająco sprawny. Gdyby finansowanie odbywało się szybciej, były większe pieniądze, a założenia zapisane w dokumentach ministerialnych dotrzymywane, nie było by źle. Niestety, ten system nie do końca działał właściwie. Gdy młodzi poeci mówią teraz, że dobrze się stało, iż PiS dał pieniądze na „Nowy Napis", bo oni mają gdzie publikować i nie umierają z głodu, to ja nie mogę tego nie dostrzegać. Kolaboracja z rządem gówniarzy może jest trochę gówniarstwem, ale powinniśmy z każdego doświadczenia, nawet najbardziej głupiego, wyciągać jakieś wnioski. A wniosek jest taki, że przy poprzedniej władzy pewne grupy twórców naprawdę były zaniedbane.

A zatem instytucjonalne i finansowe wsparcie ze strony państwa dla twórców powinno bezsprzecznie być. A czy władza powinna wobec tego mieć wpływ na ogólny kształt kultury?

Nie jestem pewien, czy powinien tu panować absolutny leseferyzm. Być może powinno być coś w stylu budowania pozytywnej wizji państwa w kulturze. Lecz to nie może być tak prymitywne i prostackie jak robi to PiS. Jest tak, że z jednej strony jesteśmy tacy superpatriotyczni, co jest śmieszne i dowodzące czegoś zupełnie przeciwnego. Z drugiej zaś mamy tendencję do machania ręką i mówienia: „K...a, nic z tej Polski nie będzie". A przecież jest mnóstwo rzeczy, za które można lubić Polskę.

Prosty przykład: jadąc samochodem, słucham w radiu polskich piosnek z lat 70. minionego stulecia. To wspaniała muzyka, w dużej części zapomniana, bo zapętliliśmy się na paru najpopularniejszych kawałkach i paru najbardziej znanych wokalistach. A są tam niesamowite muzycznie rzeczy i nieprzebrane skarby, które warto propagować. Powinniśmy robić to, co robi w swoich filmach Quentin Tarantino: wyszukiwać świetne, a zapomniane kawałki sprzed dekad – z lat 60., 70., 80. tamtego wieku – i przypominać je ludziom. Amerykanie są mistrzami w takim mitologizowaniu swojej przestrzeni, historii i kultury, podawaniu rzeczy prostych i banalnych w popkulturowej otoczce, czym zachwyca się cały świat. Możemy robić to samo, zwłaszcza że mamy do sprzedania nieco więcej niż Amerykanie.

Czy dająca artyście pieniądze władza ma prawo wymagać od niego, by nie mówił i nie pisał o niej źle?

Oczywiście, że nie powinna mieć takiego prawa. Państwo to nie korporacja ani przedsiębiorstwo kapitalistyczne, nawet jeżeli panuje w nim system kapitalistyczny. Jeżeli dajemy artystom pieniądze na życie, twórczość i ubezpieczenie, to nie inwestujemy w PR państwa, tylko inwestujemy w przyszłość jego kultury. To jest o wiele bardziej złożona sprawa i o wiele głębsza rzecz. Inaczej sprowadzi się to do szantażu: dostaniesz pieniądze, jak będziesz mówił o nas dobrze.

Ograniczanie twórcy w jakikolwiek sposób jest kontrskuteczne, nawet jeżeli nie na krótszą metę, to na pewno na dłuższą. To wcześniej czy później wyjdzie na wierzch. Albo dzieło będzie marne, albo artysta w pozornej czołobitności ukryje ironię i kpinę,

co skończy się pośmiewiskiem dla zleceniodawcy. Znajomi artyści chcą teraz wyciągać z MaBeNy pieniądze na projekt takiego właśnie ironicznego przedstawiania polskich mitów. A ta władza jest na tyle krótkowzroczna i głupia, że nawet nie pokapuje się, że są to kpiny z ich ulubionych tematów i ich wizji historii.

A co w takim razie z wpływem państwa na jakość dzieł? Czy pieniądze powinny też trafiać na kicz, chłam i disco polo? Bo przecież takie jest zapotrzebowanie części społeczeństwa.

Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak ocenić, co jest kiczem, a co nie. Z drugiej strony, nawet z disco polo można zrobić coś sensownego. Jeżeli posłuchamy starego country – nie bluesa i nie hillbilly – to zauważymy, że ono też było żenujące. Ale kiedy za produkcje wzięli się porządni realizatorzy, to się okazało, że można z tego zrobić naprawdę porządną muzykę. Uważam więc, że nie można się od razu poddawać tylko dlatego, że coś jest marne. Co zaś do jakości: od tego są te wszystkie komisje ministerialne, PISF-owe i tym podobne. Siedzą w nich ludzie, którzy znają się na rzeczy i potrafią dokonać fachowej oceny.

A jak Pan widzi kwestię poglądów politycznych artysty? Czy twórca powinien je demonstrować czy raczej trzymać się z dala od polityki?

Jasne, że powinien je pokazywać. Dlaczego nie? Weźmy znany zespół muzyczny Laibach. Oni są jednym wielkim projektem politycznym, choć bardzo niekonkretnym, bo jakby bawią się elementami z różnych porządków politycznych. Gdyby więc przyjąć zasadę apolityczności artysty, to powinniśmy odtąd malować, pisać i śpiewać wyłącznie o łąkach kwietnych, niebie błękitnym i niespełnionej miłości. Poza tym pamiętajmy, że wszystko ma jakiś kontekst polityczny. Polityka jest częścią naszej rzeczywistości i to coraz większą – i niestety nie widzę od tego ucieczki.

Spójrzmy teraz na zagadnienie z drugiej strony: czy artysta ma jakieś powinności wobec państwa i społeczeństwa? Słyszymy przecież, że sztuka nie powinna być o niczym i po nic. Powinna sławić patriotyzm, polską historię, wspólnotę narodową...

Myśl PiS-u o państwie jest w istocie bardzo totalitarna: jednostka niczym, jednostka zerem, najważniejsza jest wspólnota. A przecież sztuka polega na tym, że to jednostki opisują rzeczywistość. Jednostki, nie masy. Władzę powinno ciekawić, jak te jednostki widzą państwo i jak je opisują, a nie starać się uczynić z nich wspólne nerwy, kości i mięśnie, które połączone w jedno ciało współodczuwają narodowe uniesienia. Ja nie myślę o sobie jako o fragmencie maszyny, myślę o sobie jako o wolnym człowieku w wolnym społeczeństwie. Tak też chciałbym myśleć o swoim państwie i chciałbym, żeby tak państwo postrzegało mnie. A nie jak kawałek mechanizmu.

PiS działa w sposób nieprzewidywalny. Rzeczy, które jeszcze pięć lat temu wydawały się niewyobrażalne, teraz przyjmujemy jak coś zwykłego. Być może więc za jakiś czas ukrywana dziś prorosyjskość PiS-u będzie już oficjalną polityką.

Od jakiegoś czasu partia rządząca próbuje formować kulturę na prawicową modłę. Obsadza swoimi ludźmi kolejne instytucje, dofinansowuje wystawy, zamawia scenariusze. Czy to przynosi jakiś efekt?

To wszystko przypomina mi wspomniane Skopje. Skutki tych działań „kulturalnych" lądują zwykle w rubryce „Ciekawostki" albo „Żenada". Film *Smoleńsk* ma najniższą w historii liczbę gwiazdek w IMDb – największej na świecie internetowej bazie danych na temat kinematografii.

Z jednej strony oni chcieliby, żeby artyści ich wysławiali, z drugiej, gdy sami się do czegoś zabiorą, wychodzi komiczny efekt. Udowadniają coś zupełnie przeciwnego, niż chcieli udowodnić. To jest żenujące i śmieszne. Jak macedońskie Skopje, pełne sztucznych pomników Aleksandra Wielkiego.

W pańskiej sztuce *Wiedźmin. Turbolechita* w krakowskim Teatrze Nowym Proxima (ze świetną rolą Juliusza Chrząstowskiego) tytułowy bohater gardzi Rosją, ale równocześnie jest mu do niej blisko. Łączy go z nią nienawiść do zgniłego, liberalnego Zachodu. Ale gdy Rosja mówi: „Jesteście częścią nas, należycie do Wschodu", to się oburza,

bo przecież Polska to nie dziki Wschód, tylko cywilizowany Zachód. Taką schizofrenię widać wyraźnie w części naszego społeczeństwa.

Absolutnie tak. Myślenie PiS-u o państwie, jego roli, zadaniach i funkcjach jest bardzo rosyjskie, a jednocześnie jest u nich organiczna nienawiść do Rosji. W związku ludzie PiS stoją w rozkroku: Zachodu nienawidzą, bo jest liberalny, a Rosji nienawidzą, bo przecież zawsze była wroga Polsce.

Ludzie PiS stoją w rozkroku: Zachodu nienawidzą, bo jest liberalny, a Rosji nienawidzą, bo przecież zawsze była wroga Polsce.

Mnie Rosja też się nie podoba, ale jestem daleki od pisowskiego kategoryzowania, kto zły, a kto dobry. Oczywiście uważam, że powinniśmy iść z Zachodem, bo poza Zachodem nie ma zbawienia. PiS jest Rosją, ale to wypiera. Publicznie krytykuje Moskwę, a jednocześnie czerpie z niej wzorce w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. *Nota bene*, przed wojną sanacja też podziwiała dokonania hitlerowskich Niemiec.

Cała ta polityka partii rządzącej i jej zachowanie przypomina zakompleksionego faceta, który się nie sprawdza na różnych polach, któremu w życiu nie wyszło i który nie może sobie dać z tym rady. Tyle że nie potrafi tego przepracować i z tym żyć, tylko reaguje agresją, biciem i uciskiem. Jesteśmy zamknięci w pokoju z coraz bardziej toksycznym, pogrążającym się w obsesjach i coraz bardziej pijanym człowiekiem.

Co więc zwycięży w polskim społeczeństwie: chęć bycia Zachodem, o czym marzyliśmy przez całe dekady komunizmu, czy wmawiana nam przez prawicę nienawiść do niego?

Niestety, wszystkie warianty są możliwe. PiS działa w sposób nieprzewidywalny. Rzeczy, które jeszcze pięć lat temu wydawały się niewyobrażalne, teraz przyjmujemy jak coś zwykłego. Być może więc za jakiś czas ukrywana dziś prorosyjskość PiS-u będzie już oficjalną polityką. Ale może też sprawy potoczą się inaczej i cały ten ruch społeczny, który organicznie sprzeciwia się ciągnięciu Polski na Wschód, zwycięży.

Pojawiają się jakieś nowe byty polityczne, jak Polska 2050 Szymona Hołowni. Z drugiej strony lewica dość nieodpowiedzialnie odcięła się ostatnio od tego najbardziej postępowego frontu antypisowskiego w centrum. Współdziałanie wymaga kompromisu, a tego kompromisu po stronie opozycji nie widać. Tam każdy gra do własnej bramki.

Tymczasem nie mamy żadnego immunitetu, który by nas chronił przed historycznymi nieszczęściami. Za jakiś czas może się okazać, że jest za późno. Może stać się to, do czego doszło na Węgrzech i w Serbii: damy się politycznie zrusyfikować.

Nad czym pracuje teraz antypaństwowy pisarz Ziemowit Szczerek?

Piszę dwie książki o Lwowie. Jest mnóstwo książek o polskim Lwowie, natomiast ja chcę się skupić nie tylko na polskiej części, ale także na ukraińskiej. Chcę zobaczyć Lwów jako pewien montaż rzeczywistości, które się zmieniały. Bo przecież była rzeczywistość austro-węgierska, potem polska, potem radziecka, a teraz ukraińska. Chcę zobaczyć, w jaki sposób miasto funkcjonowało we wszystkich tych rzeczywistościach i czym dla nich było. To pasjonujący temat. Bywam teraz często we Lwowie, mam tam przyjaciół, Lwów to w ogóle fajne miasto, w którym się dobrze żyje. Dlatego badam dzisiejszy Lwów, żeby nie patrzeć na niego tylko przez pryzmat historii i minionych epok. Druga książka to niejako kontynuacja *Chama z kulą w głowie*, której akcja dzieje się we Lwowie, a miasto jest podzielone na dwie części, polską i ukraińską. Wprawdzie nie było II wojny światowej, ale Ukraińcom udało się jakość uzyskać część niepodległości. Robię jeszcze trzecią rzecz. To będzie niespodzianka – książka o europejskich wampirach...

Paweł Stachnik – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim", „Gazecie Krakowskiej", „Sowińcu" i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fantastyki i dobrego piwa.

Lwów zaszumiał nam w głowie

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** Wikimedia Commons, NAC oraz Kawiarnie.pl

Mimo że ledwo zliczę do trzech, odważyłam się pojechać do Lwowa z genialnym matematykiem Stefanem Banachem.

To było pod koniec liceum. Miast oddawać się miłosnym uniesieniom, powtarzałam jak kompletna wariatka 3486,78 podzielone przez 238 równa się 14,65, zatrzymując się tylko przy drugiej liczbie po przecinku, bo inaczej skończyłabym w psychiatryku. Moje niestandardowe zachowanie podyktowane było radą zdesperowanego korepetytora, który miał sprawić, by dopuszczono mnie do matury z matematyki. Odkąd pojawiły się na lekcjach zadania, w których główną rolę odgrywały dwa mijające się pociągi, na dodatek rozwijające różne prędkości, odkryłam w mojej głowie pewną lukę, której nic nie było w stanie zapełnić. A na pewno nie był w stanie tego zrobić ów korepetytor.

Nieszczęśnik, nie chcąc pewnie rozstać się z zarobionymi w niemałym trudzie pieniędzmi, w akcie desperacji wymyślił, że prędzej nauczę się rozwiązania zadań na pamięć niż opanuję system dochodzenia do wyników końcowych...

Dlatego kiedy parę lat temu dowiedziałam się, że na Plantach postawiono ławeczkę, na której siedzi dwóch wybitnych matematyków, Stefan Banach i Otton Nikodym, nie mogłam tam nie pójść. Liczyłam, że widok naukowców, którzy gdzieś w tym miejscu dyskutowali o całce Lebesgue'a (cokolwiek to miało znaczyć), nieco uspokoi lęki z przeszłości. I nie myliłam się, gdyż historia jednego z nich wciągnęła mnie do tego stopnia, że zaczęłam ją uważnie śledzić, nie zważając nawet na pojawiające się w niej definicje i wzory.

A ławeczka wzięła się stąd, że w lipcu 1916 roku Banach z Nikodymem spotkali się na Plantach, gdzieś między Collegium Novum a Wawelem. Akurat przechodził tamtędy inny genialny matematyk, profesor Uniwersytetu Lwowskiego Hugo Steinhaus, który usłyszawszy hasło „całka Lebesgue'a" od razu do nich podszedł i przyłączył do rozmowy. Krótka wymiana zdań z Banachem utwierdziła go w przekonaniu, że ma do czynienia z geniuszem. Ściągnął go więc do Lwowa, gdzie matematyk niebawem zyskał tytuł profesora, choć miał za sobą jedynie dwa lata studiów.

Postać Banacha od razu wzbudziła moją sympatię. Im więcej o nim czytałam, tym bardziej chciałam go poznać, choć przerastało mnie nauczenie się choćby jednego tytułu z jego prac. Ale czy *O operacjach na zbiorach abstrakcyjnych i ich zastosowaniach do równań całkowych* nie brzmi intrygująco?

Otton Nikodym i Stefan Banach – według projektu Stefana Dousy, Planty, Kraków, ławeczka odsłonięta w 2016 roku

Mimo obaw wynikających z pewnych, delikatnie mówiąc, intelektualnych różnic postanowiłam zaprosić go na wycieczkę do Lwowa. A on już po pierwszym liście, który poleciał

Stefan Banach w kawiarni Szkocka, Lwów, lata 30. XX wieku

balonem do nieba matematyków, odpisał, że pakuje walizkę.

Profesor w marszrutce

Stał z nią na dworcu w Przemyślu, rozglądając się dookoła i pewnie licząc, że zaraz wsiądziemy do wagonu, który powiezie nas do jego ukochanego miasta. Chyba był zaskoczony, gdy oświadczyłam, że mam inny pomysł. Parę lat temu usłyszałam od kolegi, że nie zna życia nie tylko ten, kto nie służył w marynarce, ale również ten, kto nie jechał na wschód marszrutką. Postanowiłam nie pozbawiać przedwojennego matematyka tego doznania i kiedy razem dzielnie przekroczyliśmy na piechotę przejście graniczne, usadziłam go w pojeździe przypominającym tylko z zewnątrz nasze rozklekotane busy kursujące do Wieliczki czy Gdowa.

W środku było znacznie gorzej, a mój zmysł powonienia rozwibrował się do tego stopnia, że jeszcze chwila, a poczułabym, czym pachną „zbieżności średniej sum częściowych szeregu Fouriera", czyli zagadnienia, którymi niegdyś mój towarzysz podróży zajmował się razem z profesorem Steinhausem. Może właśnie o tym myślał, gdy na nasze i tak wąskie siedzenie wepchała się baba z gdaczącą kurą owiniętą w białe prześcieradło. Pan Stefan zachowywał godne milczenie nawet wtedy, gdy zawisł nad nim zmęczony pobytem na przepustce żołnierz. Ożywił się dopiero, kiedy wojak bezceremonialnie sięgnął po swój bagaż, by wyciągnąć z niego flaszkę bimbru. Starając się złapać równowagę, nalał z niej sążnistą miarę i wręczył ją matematykowi. Jego zadowolona od tego momentu mina wskazywała, że chyba na przekór ekstremalnym warunkom, w jakich się znaleźliśmy, dojedzie do miejsca przeznaczenia.

A ono znajdowało się obok lwowskiej stacji kolejowej, która dzisiaj nie przypomina solidnego dworca z czasów ck Austrii. Odbudowany gmach może robiłby jeszcze wrażenie, ale otoczony zewsząd marszrutkami, kopcącymi autobusami oraz handlarzami sprzedającymi towar z rozłożonych na ulicach gazet, nie ma w sobie nic z przedwojennej elegancji. Komunizm odcisnął tu niezatarte piętno, które może popsuć humor przybyszom już na początku ich przygody ze Lwowem. Ale nie Stefanowi Banachowi, który na widok ukochanego miasta ucieszył się jak dziecko. Od razu w dworcowym bufecie zamówił dziwnie wyglądającą kiełbasę, a do niej po butelce piwa i, nie zważając na dość dyskusyjny smak jednej oraz drugiej strawy, zaczął snuć wspomnienia.

Pomnik Mickiewicza, plac Mariacki, Lwów, 1915

A miał co opowiadać, bo dworzec był niegdyś miejscem jego naukowych odkryć, do których dochodził tu późną nocą, kiedy zamykano już kawiarnię Szkocką, gdzie przesiadywał z kolegami po fachu, raz po raz odkrywając kolejne matematyczne definicje. Kiedy jednak inni badacze grzecznie rozchodzili się do domów, on samotnie maszerował do czynnego całą dobę dworcowego bufetu, siadał w kącie nad kuflem, a przez głowę przemykały mu równania Maxwella, funkcje pochodnych czy teorie miary. Nie wszystko zapisał, więc część wzorów i dowodów pewnie do dziś krążyłaby w powietrzu dworcowego budynku, gdyby podczas wojny nie został zburzony. Na szczęście przetrwała większość tych, które urodziły się w Szkockiej.

Opowiedział mi o tym, kiedy wsiedliśmy do tramwaju, chyba pamiętającego czasy obecności pana Stefana w tym mieście. Trzymając się kurczowo poręczy, słuchałam, jak to żona profesora, Łucja, nie wytrzymała i wpadła do Szkockiej, kiedy dowiedziała się, że sprzątaczka zmyła stolik, na blacie którego ostatniej nocy powstał dowód ważnego twierdzenia. Uczeni ślęczeli nad nim przez 17 godzin, z przerwą na posiłki, bo na koniak specjalnych pauz nie robili.

Dzielna kobieta poszła do właściciela lokalu, pana Brettschneidera i wręczyła mu zeszyt z marmurową okładką. Restaurator miał podsuwać go wszystkim, w oczach których dostrzegł czający się problem matematyczny. Było to dokładnie 17 lipca 1935 roku, bo właśnie taką datę nosił pierwszy wpis w zeszycie jej męża: „Kiedy przestrzeń metryczna (ewentualnie typu B) da się zmetryzować tak, by stała się kompaktyczną zupełną, przy czym ciągi zbieżne wedle starej odległości mają być zbieżne wedle nowej?”. Profesor już rozpędzał się, żeby mi wytłumaczyć, co miał na myśli, ale nawet wrodzone roztrzepanie nie przeszkodziło mu dostrzec wyrazu mojej twarzy, niezwiastującej jakiekolwiek możliwości zrozumienia problemu. Machnął więc ręką, skupiając się na anegdotach o tym, jakie nagrody czekały na uczonych, którym udało się rozwikłać zapisane tam zadania. A były to najczęściej butelki przednich alkoholi, choć nie brakowało bardziej pomysłowych wynagrodzeń. Rej wodziła wśród nich żywa gęś, która nie została jednak wręczona, gdyż zagadnienie doczekało się rozwiązania dopiero w 1972 roku.

Szkocka – czy to tutaj?

Dziś w kawiarni Szkockiej można podziwiać jedynie replikę owej księgi, bo oryginał znaj-

Ul. Żółkiewska, Lwów, lata 30. XX wieku

duje się u potomków lwowskiego matematyka. Zaproponowałam panu Stefanowi, że zajrzymy do niej zaraz, jak usiądziemy przy stoliku. Jednak matematyk do niego nie doszedł. Zatrzymał się w progu lokalu przed szyldem z adresem Prospekt Szewczenki 27.

– To nie tu – oświadczył, choć dużymi literami donoszono, że właśnie jesteśmy w Szkockiej.

– To było przy placu Akademickim 9, w pobliżu starego gmachu Uniwersytetu – poinformował mnie i odwrócił się na pięcie, chcąc opuścić całkiem nieźle wyglądającą restaurację. Chwilę zajęło mi tłumaczenie, że tamto miejsce już dawno nie istnieje, a teraz ludzie chcą wierzyć, że właśnie tutaj spotykali się lwowscy geniusze. Na szczęście wiedziałam, jakiego argumentu użyć, by zatrzymać profesora na miejscu. A była nim podwójna 18-letnia whisky Macallan Fine Oak, której nawet abstynent nie jest w stanie się oprzeć.

Kiedy eleganckie, drzewne akcenty, charakteryzujące ten wyjątkowy trunek, zaczęły uwalniać się na podniebieniu matematyka, przestał on protestować i swoim zwyczajem rozpłynął się w niedostępnym mi kompletnie świecie geometrii wykreślnej. Przypomniałam sobie wówczas, jakiego podstępu musieli użyć jego przyjaciele, by uzyskał tytuły naukowe, bez których nie mógłby wykładać, a co za tym idzie, nie stać byłoby go na zdecydowanie gorsze alkohole niż ten, którym się właśnie raczyliśmy. Profesorowie uknuli więc intrygę, która miała mu zapewnić stopień doktora z pominięciem tytułu magistra. Wydelegowali do Szkockiej dwóch asystentów, którzy nie odstępowali go na krok i systematycznie zbierali wszystkie jego notatki, powstające nie tylko na blacie, ale i na serwetkach. Na ich podstawie napisali pracę doktorską, sygnując ją oczywiście nazwiskiem Stefan Banach.

Była to jednak połowa sukcesu, bo pracę należało jeszcze obronić, a matematyk nie zamierzał stawać przed żadną komisją egzaminacyjną. – Pewnego dnia zaczepiono Banacha na korytarzu Uniwersytetu Jana Kazimierza: „Czy mógłby pan wpaść do dziekanatu, są tam jacyś ludzie, którzy mają pewne problemy matematyczne, a pan na pewno potrafi im wszystko wyjaśnić". Banach udał się do wskazanego pokoju i chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, nieświadom, że właśnie zdaje egzamin doktorski przed komisją specjalnie w tym celu przybyłą z Warszawy – opowiadał niegdyś profesor Andrzej Turowicz.

Przypomniałam sobie, że my też dopiero co przyjechaliśmy do Lwowa, więc warto byłoby przynajmniej zameldować się w hotelu. Nie mogłam odmówić sobie noclegu w najbardziej reprezentacyjnym miejscu, jakim jeszcze przed wojną był hotel George (zwany też Żorżem). Gościli w nim sam Franciszek

Wnętrza hotelu George, Lwów, 1915

Józef i Honoré de Balzac, a Jan Kiepura swego czasu dał z balkonu niezapomniany koncert dla zgromadzonej na dole publiczności. Dziś hotel nie jest już symbolem luksusu, nie może poszczycić się też nadmierną liczbą gwiazdek, ale i tak resztki dawnej świetności zostały, a tutejsze śniadania smakują znakomicie.

Była już jednak pora obiadowa, więc wyszliśmy coś przekąsić. Postanowiłam zabrać profesora do nieco tańszej restauracji Pani Stefy, mieszczącej się w pobliżu pomnika Tarasa Szewczenki, gdzie podają smaczny ukraiński barszcz i pływające w maśle pielmieni z mięsem. Po drodze minęliśmy pomnik Mickiewicza, jeden z symboli polskości Lwowa. A mnie dodatkowo, może ze względu na krakowskiego „Adasia", kojarzy się z ciepłem odnajdywanym we wspomnieniach niegdysiejszych mieszkańców miasta, z którymi miałam okazje rozmawiać. Tę swojskość ujął pięknie Joseph Roth w jednym ze swoich, pochodzącym z 1924 roku felietonów, zamieszczonych w wydanym przez Austerię tomie *Listy z Polski*:

„Pośrodku ulicy stoi Adam Mickiewicz, wielki polski poeta. U jego stóp patrolują Żydzi w chałatach – posterunki handlu. Mężczyzna z workiem na prawym ramieniu wykrzykuje na płaczliwą melodię: »Handełe«. Nie przeszkadza to żadnemu ze smukłych, bardzo marsowych oficerów kawalerii brząkać wielką, wygiętą szablą i muzykalnie podzwaniać ostrogami. (...) Widziałem porucznika z mnóstwem odznaczeń wojennych i kolorowych baretek na piersi. W ręce trzymał słoik przetworów. Pomagał żonie nieść kosz na zakupy. Ten odskok w stronę spraw wiecznie ludzkich, prywatnych, domowych pozwala pogodzić się z wojowniczą aurą dźwięku ostróg i blasku orderów. W innych miastach słój z przetworami nosi ordynans, trzy kroki za państwem porucznikostwem".

Dziś otoczenie pomnika Mickiewicza przypomina kiczowaty jarmark, gdzie można kupić pamiątki z komunistycznymi symbolami, a także papier toaletowy z głową Putina. Stefan Banach zdawał się tego jednak nie zauważać. Jego uwagę zwrócił dopiero widok Opery Lwowskiej. Gdy przysiedliśmy na chwilę pod jej gmachem, zaczął raczyć mnie opowieściami z pierwszych lat swojego pobytu w mieście. Przyznał bez oporu, że pieniądze się go nigdy nie trzymały, ale wtedy zwyczajnie nie miało się co go trzymać, więc musiał odrywać się od prób udowodnienia twierdzenia Fermata (chyba jeszcze raz muszę napisać: cokolwiek to znaczy) i dorabiać w teatrze. Jako jeden z sześciu tragarzy wnosił na scenę element scenografii, jakim był olbrzymi byk, a w *Halce* Moniuszki tańczył mazura.

– Tańczyć to ja lubiłem – zwierzył się, kiedy po obiedzie szliśmy w stronę Baczewskiego,

by tradycyjną lwowską wódką zatroszczyć się o lepsze trawienie. Odkąd w 1930 roku został opiekunem Koła Matematyczno-Fizycznego Studentów UJK, z zapałem uczestniczył w tak zwanych herbatkach. Pod nazwą tą kryły się organizowane w Domu Pocztowca albo w hotelu George całonocne zabawy. Studenci zapamiętali, że pewnego razu, kiedy orkiestra o 6 rano zaczęła zbierać instrumenty, zainterweniował: „Niech się młodzież jeszcze trochę pobawi" i zapłacił za dodatkowe granie.

Clubbing z matematykiem

Nie miałam więc oporów, by pokazać mu dzisiejsze nocne życie Lwowa. Przyjął to z entuzjazmem i to chyba nie tylko dlatego, że już dotarliśmy do restauracji Baczewskich, lokalu nawiązującego do tradycji rodziny produkującej słynną lwowską wódkę nie tylko nazwą, ale dostępnymi w menu trunkami. No i przejrzystymi, kryształowymi butelkami, gdyż producenci tegoż alkoholu wychodzili z założenia, że ich wyroby są tak klarowne i czyste, iż nie ma powodu, by ukrywać ich zawartość przed wzrokiem nabywców. Profesor skosztował opartą na tradycyjnej recepturze Monopolową i udał się do firmowego sklepu, by nie wracać do czekających w niebiańskich przestworzach kolegów z pustymi rękami. A gdy dokonał transakcji, spojrzał na mnie wymownie i zakomenderował: „Prowadź, wodzu!".

Zaułek Ormiański, Lwów, lata 20. XX wieku

Poszliśmy utartym szlakiem młodzieży, która przyjeżdża do Lwowa poimprezować. Nie mogliśmy ominąć obleganych przez kłębiący się na ulicy tłum barów o nazwie Pijana Wiśnia, choć ani panu Stefanowi, ani mnie nie przypadła do gustu serwowana tu nalewka. Podobnie jak trunki w poświęconej Ignacemu Łukasiewiczowi knajpie Lampa Gazowa. Ale już sam sposób ich podawania w menzurkach wyciągniętych prosto z laboratorium chemicznego zachwycił ścisły umysł matematyka, podobnie jak wystrój lokalu mieszczącego się na kilku piętrach starej kamienicy. Ale hit wieczoru wciąż na nas czekał.

A była nim mieszcząca się w Rynku Kryjivka, czyli Kryjówka, miejsce nieoznaczone, do którego mogą trafić tylko dobrze poinformowani. A mnie już kiedyś dosyć dobrze poinformował o niej bywający tu kolega, ów wielbiciel ekstremalnych przeżyć w marszrutce. Wiedziałam więc, dokąd iść i w które drzwi zastukać. Znałam też hasło „Slava Ukraini!". Bo właśnie te słowa należało powiedzieć, gdy uchyliły się ciężkie, metalowe drzwi, w których stał na warcie żołnierz z bronią w ręku. To jednak było za mało. Trzeba było jeszcze wychylić kieliszek miedowuchy, ukraińskiej wódki, wręczonej nam przez wojaka. A później można było iść przez partyzancką kryjówkę, która może nie wszystkim się spodoba ze względu na skojarzenia z UPA. Myśmy tego wieczoru nie byli tak dociekliwi i poddaliśmy się atmosferze zabawy przy chóralnym śpiewie gości i akompaniamencie akordeonu. Zamówiliśmy po metrze kiełbasy, który zgadzał się co do centymetra, jak fachowym okiem ocenił pan Stefan, a następnie zajęliśmy się strzelaniem do tarczy, do czego służy specjalne pomieszczenie.

Jak niełatwo było wejść do Kryjówki, tak nieco wysiłku wymagało jej opuszczenie. Idąc za strzałkami, znaleźliśmy się na podwórku, z którego droga nie wiodła, jak się spodziewaliśmy, z powrotem na Rynek. Musieliśmy więc przejść przez specjalnie zaaranżowane centrum dowodzenia i wspiąć się po schodach kamienicy. Po drodze mijaliśmy różne wojskowe obiekty, aż nieco zasapani dotarliśmy na dach budynku. Postawiono tam prawdziwe działo, z którego można było celować w granatowe niebo rozciągające się nad dachami Lwowa.

Zbliżał się świt, nasz czas dobiegał końca. Pan Stefan musiał wracać tam, gdzie czekały na niego wciąż jeszcze nierozwiązane zadania. Atmosfera gwieździstej nocy sprawiała jednak, że zwlekał z odejściem. Miałam więc czas mu się zwierzyć. Opowiedziałam o maturalnej traumie i realnym zagrożeniu, że będę pasać kozy, co przepowiadała mi matematyczka. On tylko machnął ręką i odparł, że

jemu groziło to samo, a uratowała go wspólna interwencja nauczyciela matematyki i szkolnego katechety. – Ale nawet siedząc pod drzewem i dmuchając w fujarkę, znalazłbym sposób na odkrycie pierwszej aksjomatycznej definicji przestrzeni, którą nazwali definicją Banacha. A ty nawet w kwietnym wianku na głowie, a w ręku z zielonym badylkiem, opisałabyś tę naszą wyprawę. Daję ci słowo, a jeśli nie wierzysz, to mogę ci to wyliczyć – szepnął, rozpływając się w nocnej mgle.

Pisząc tekst, korzystałam z książek Mariusza Urbanka *Genialni. Lwowska szkoła matematyków* (Iskry) i Josepha Rotha *Listy z Polski* (Austeria)

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Janusz Paluch – redaktor naczelny kwartalnika „Cracovia Leopolis", wydawanego przez Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Moim ulubionym miejscem we Lwowie jest... Lwów! Bo jakże tu wybierać, skoro wszędzie jest pięknie i ciekawie, historie pełne tajemnic wypełzają z każdego zakątka. Tu kaplica Boimów, obok katedra rzymskokatolicka, dalej Łyczaków, Zamkowa Góra, dworzec kolejowy... I tak w nieskończoność można licytować się najpiękniejszymi miejscami w tym cudownym mieście. Mnie od lat zawsze przyciągał Zaułek Ormiański... Bryła niedostępnej przez dziesięciolecia katedry ormiańskiej i ogrodzony dziedziniec – dawny cmentarz przykościelny z krużgankiem i Kaplicą Męki Pańskiej, z drewnianą rokokową figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Przy ogrodzeniu zawsze leżały świeże kwiaty, paliła się świeca pamięci. Nigdy nikt, oprócz polskich turystów, nie stał przy ogrodzeniu. W świątyni znajdowały się magazyny galerii lwowskiej. Tak było do 2000 roku. Na przyjazd Jana Pawła II otworzono część katedry – prezbiterium ze słynnymi mozaikami Józefa Mehoffera. To była sensacja! Po kilku latach udostępniono całą świątynię! Oczom wiernych i turystów ukazały się legendarne malowidła Jana Henryka Rosena. Przetrwały w niemal doskonałym stanie! Kiedyś pusta i zdewastowana ulica Ormiańska, stała się kultowym miejscem Lwowa. Dla mnie tam zaczyna się i kończy Lwów.

Teatr Skarbka, Lwów, druga połowa XIX wieku

Beata Kost, polska dziennikarka urodzona we Lwowie

Polecam obejrzenie dawnego Teatru Skarbka, który stoi w obrębie Starego Miasta, ale jego gmach często pomijany jest na trasach turystycznych. W 1833 roku Stanisław hr. Skarbek uzyskał od Austriaków zgodę na budowę tej instytucji teatralnej. Zobowiązał się do utrzymywania sceny niemieckiej, w zamian upraszał sobie „pozwolenie utrzymywania polskiego teatru". Wybudowany w 1842 roku na planie czworoboku obiekt mieścił teatr, sale redutowe oraz mieszkania i siedziby instytucji. Działająca tu polska scena, łącząca zespół dramatyczny i operowy, przez ponad 50 lat była symbolem trwania sztuki narodowej w okresie zaborów. Tu zadebiutowała w roku 1862 Helena Modrzejewska, wcześniej aktorka zespołów objazdowych. W Skarbku odbyły się głośne polskie prapremiery wielu sztuk Juliusza Słowackiego, Aleksandra Fredy czy Gabrieli Zapolskiej. Niekwestionowaną gwiazdą była tu Aniela Aszpergerowa. Do Skarbka zjeżdżała publiczność z trzech zaborów, żeby obejrzeć *Straszny dwór* Moniuszki, w czasach gdy objęty był zapisem cenzury w Warszawie. W 1900 we Lwowie wybudowano nowy teatr. Od roku 1902 w Teatrze Skarbkowskim mieściła się Filharmonia. Obecnie jest tu ukraiński teatr dramatyczny.

Wały Hetmańskie, Lwów, 1910

Michał Piekarski, muzykolog, autor książki *Muzyka we Lwowie*

Boczna i wąska uliczka Czajkowskiego (dawna Chorążczyzny) pod nr 7 mieści obecnie Lwowską Filharmonię, obszerny gmach, który powstał w 1906 roku według projektu Władysława Sadłowskiego (ten sam architekt zaprojektował też dworzec kolejowy). Do 1939 roku miało tu siedzibę Polskie Towarzystwo i Konserwatorium, którego dyrektorem przez 30 lat był Mieczysław Sołtys. Z kolei konkurencyjna kiedyś dla Towarzystwa filharmonia działała w latach 1902–1939 w dawnym Teatrze Skarbkowskim. Dlatego też obecną filharmonię można uznać za następcę obydwu instytucji. Gmach przy Czajkowskiego łączy elementy secesji ze stylem zakopiańskim. Pasuje on doskonale do muzyki doby Młodej Polski, która rozbrzmiewała tam wyjątkowo często, począwszy od inauguracji sali koncertowej w 1910 roku, gdy zaprezentowano po raz pierwszy poemat symfoniczny *Warszawianka* Ludomira Różyckiego. W 1928 roku odbyło się tam światowe prawykonanie *III Symfonii* op. 27 Karola Szymanowskiego, którego *Stabat Mater* zabrzmiało w tej samej sali dwa lata później – w obydwu przypadkach pod batutą Adama Sołtysa, kolejnego dyrektora konserwatorium. Jego prywatna willa (ul. Samczuka 28) od 1899 roku wciąż pozostaje w rękach tej samej polskiej rodziny. Występował tam między innymi Karol Szymanowski, a na lekcje przychodził Roman Palester. W 2016 roku Maria Sołtys zainaugurowała w willi działalność Izby Pamięci Mieczysława i Adama Sołtysów.

Słowne piruety, czyli listy poetów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Danuta Węgiel

Lektura listów Ewy Lipskiej i Sebastiana Brejnaka zebranych pod tytułem *Wirujący ogon antylopy* jest jak łapanie spadających z nieba płatków śniegu. Z tą różnicą, że nie wszystkie się roztopią. Wiele z nich zostanie na długo.

Kiedy dwoje poetów pisze do siebie listy, to słowa wirują w powietrzu. Kiedy piszą do siebie Ewa Lipska i Sebastian Brejnak, słowa raz wykonują prawdziwe piruety, raz ucieszne podskoki, to znowu skomplikowane akrobacje, by czasem po prostu zawisnąć gdzieś w zadumie i zmienić się w liryczną randkę lub też uderzyć w nas z siłą spadającego kamienia. Bo choć ich autorzy reprezentują różne pokolenia, to łączy ich przynależność do jednej grupy (czy raczej garstki) wrażliwych na język erudytów, żonglujących z wyczuciem ważnymi nazwiskami i tytułami, a na dodatek łączących to z poczuciem najwyższej próby humoru. Samo to, że ktoś tytułuje tom swojej korespondencji *Wirujący ogon antylopy*, wiele tłumaczy.

Ewy Lipskiej nie trzeba nikomu – a już na pewno czytelnikom „Krakowa” – przedstawiać. Sebastian Brejnak jest doktorantem literaturoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim, poetą, muzykiem. Nie wiemy, gdzie i kiedy spotkał poetkę. Wiemy za to na pewno, że połączyło ich wzajemne sobą zaciekawienie. On jest wielbicielem jej poezji, ona interesuje się jego twórczością, wspiera, kiedy w Wydawnictwie Literackim ma się ukazać jego debiutancki tomik *Filo*. „Twoja wspaniała sprawka, doniosły poetycki postęp... Kiedy ujrzy światełko dzienne?” – dopytuje się w jednym z maili Ona. „... wypieki już podobno pojawiły się w wybranych księgarniach. Nie ma odwrotu. A liryczna filantropia to Twój fach – leczysz od lat moją chroniczną niewiarę w siebie, dokarmiając mnie najlepszymi smakołykami bez recepty” – odpowiada On.

A recepty na różne stany ducha są autorom listów coraz bardziej potrzebne. Trwa pandemia, świat stanął na głowie, dopadają ich lęki dnia codziennego, klaustrofobiczna atmosfera, z której nie ma ucieczki, nawet w sen, bo oboje cierpią na chroniczną bezsenność. Wyjścia szukają w lekturach. Do swojego, odbijającego się w ekranie komputera stolika, zapraszają na kawę Bernharda, Kafkę, Musila, Rotha, Ciorana i kilka innych osób, z którymi im po drodze. Dopuszczają do niego też powiewy codzienności, prosto ze Starego Kleparza, gdzie On za jej radą kupuje suszone śliwki. Ona z kolei pozdrawia go z „ziemskiego podwórka”, skąd z żelazkiem parowym w ręku rusza w podróż. „Podejrzewam, że dzięki żelazku rozprasowujesz swoje »myśli nieuczesane«, a buchająca z żelaznej duszy para ożywia Twojego ducha” – On podejmuje słowną przekomarzankę, która dodaje ich korespondencji lekkości. Bo te listy unoszą się nad ziemią niczym płatki śniegu, by na koniec spaść z siłą raniącego gradu, który zmienia się w jedno zdanie: „Koniec świata. Adam Zagajewski zmarł...”.

Wirujący ogon antylopy. Sebastian Brejnak do Ewy Lipskiej. Ewa Lipska do Sebastiana Brejnaka, Austeria, Kraków 2021.

Szczątki, fragmenty. Miasto widmo. Dźwiękowa mapa krakowskiego getta

Tekst: Marcin Dymiter (za wiedzą i zgodą Muzeum Krakowa – Fabryki Emalii Oskara Schindlera)
Zdjęcie: Wikimedia Commons (Brama I getta, rok 1941. Wejście z Rynku Podgórskiego na ul. Limanowskiego)

„Niewiele jest rzeczy bardziej ekscytujących niż odszyfrowywanie tekstu miast. Odnaleźć tam można tyle warstw, przeplata się tam ze sobą tyle idiomów i stylów, konkuruje ze sobą tyle perspektyw, możliwych jest tyle różnych odczytań. Przede wszystkim jednak – tekst miast ciągle jeszcze powstaje". Karl Schlögel *Odkrywanie nowoczesnej Europy – próba archeologii*.

Cztery bramy, tramwaj – linie 3 i 6, ulica Limanowskiego, ulica Piwna, Krakusa, Nadwiślańska, Kącik, Lwowska, Rynek Podgórski, Józefińska. Fragmenty murów getta przy ulicy Lwowskiej i Limanowskiego, Apteka pod Orłem, plac Zgody. *Der Judenwohnbezirk in Krakau*. Żydowska dzielnica mieszkaniowa w Krakowie. *Krokewer geto*. 1941–1943.

Przed pierwszą deportacją do obozu zagłady w Bełżcu w 1942 roku na terenie getta przebywało prawie dwadzieścia tysięcy Żydów. Dwa metry powierzchni mieszkalnej na osobę, trzy osoby na okno. Tramwaje przejeżdżające przez getto nie miały zamalowanych szyb. Nie wolno było patrzeć, lecz pasażerowie przez ułamek sekundy widzieli życie getta.

Czytanie z nut

Kiedy w mieście zapada zmrok i przez moment, tuż przed włączeniem lamp, przebywamy w strefie półmroku, to zapach lub echo pozwalają na rozpoznanie miejsca. Jego historia, niczym powieść, ma wewnętrzne napięcia, rytmy i tajemnice. I rozdziały, do których zagląda się rzadziej. Właśnie ta chwila przed włączeniem oświetlenia ujawnia dźwiękową emanację miasta z jego skomplikowaną muzyką, z niemożliwością odnalezienia wiążącego, globalnego motywu, który dany jest raz na zawsze. Czasem brakuje pojedynczych nut, czasem oznaczenia tonacji, a kartki partytury ulatują gdzieś w bezkres, w otchłań. Liczba znaków wydaje się niewystarczająca, aby odczytać i odegrać to, co zapisane na papierze, przenieść wprost do fizyczności instrumentów. Aby muzyka zabrzmiała w uszach i przez minuty unosiła się w powietrzu, aż do ostatniej nuty.

Niestety, audiosfera jest partyturą naznaczoną zniekształceniami, znakami zapytania czy wręcz pustymi miejscami. Dotyczy to także historycznego pejzażu dźwiękowego miejsca. Rekonstrukcja *soundscape'*u przeszłości nie jest możliwa. Jak w takim razie rekomendować praktykę słuchania, która na wielu polach nie przynosi szybkiego sukcesu, nie prowadzi do osiągnięcia założonego celu?

Czas zamknięty w figurach

Może się wydawać, że batalię o pamięć wygrywają obiekty służące kanalizowaniu pamięci, figuratywne przedstawienia ukazujące sceny batalistyczne, sylwetkę, twarz lub gest bohatera. Pomniki. Na wzgórzach miast stoją posągi konne przedstawiające bohaterów narodowych, władców, wojowników. W pomnikach nie wybrzmiewają wątpliwości, niuanse. Żeby taki pomnik ufundować, trzeba całkowicie uwierzyć w wielkość przywoływanych czasów lub krystaliczną czystość postaci. Kiedy pomnik pojawi się na mapie, inne części miasta stają się niejako wolne od ciężaru historii, od konsekwencji myślenia i czytania rzadko otwieranych rozdziałów. W pewnym sensie pomnik – miejsce pamięci – przejmując na siebie ciężar historii, oddaje przestrzeń mieszkańcom do codziennego życia.

Pejzaż dźwiękowy w zderzeniu z figuratywnym gestem, jako ukształtowaną formą pamięci, jest na przegranej pozycji. Mam na myśli społeczną recepcję. Pomnik nadaje sens oraz kierunek myślom. Pejzaż dźwiękowy jest totalny, pomieszany, nie ma nad nim kontroli. To, co wyrasta z przeszłości, miesza się w powietrzu z teraźniejszością. Te urywki, fragmenty skrywane pod powierzchnią współczesnych dźwięków, zakopane, zasypane odgłosami codzienności, mogą jednak dotrzeć do naszych uszu. Słuchanie ma wymiar osobisty, nie musi przekładać się na słuchanie zbiorowe. *Soundwalk* przypomina długi spacer, na którym kartka po kartce odnajdujemy

zagubione strony partytury. Powoli odkrywamy jej części, mając nadzieję, że odczytamy i usłyszymy całość. Księga miasta bywa otwarta i zamknięta zarazem, a przeszłość i teraźniejszość łączą się w tajemnym alchemicznym procesie.

Spacer – o dźwiękach ukrytych

Spacer dźwiękowy w dobie nadmiaru komunikatów jest możliwością powrotu do miasta: jego słyszenia, badania, spoglądania na detale. Miejsce zakrywa przed mieszkańcem swoją przeszłość, minione historie, rozkwit, upadek. Przeszłość chowa się za fasadą teraźniejszości. Linie ulic, strzeliste kamienice, place, parki, podwórka, przysadziste budowle i mosty były cichymi świadkami zdarzeń.

Te same miejsca, na które patrzymy w dzień, inaczej rezonują nocą, odsłaniając wzmożoną akustykę, dając wyobrażenie o odległościach. Poranny dźwięk to jeszcze inny świat. W ciągu dnia przestrzeń zapełnia się ludźmi, dźwięk niemal wisi w powietrzu. To napięcie pomiędzy miejscem a osobą. W tym można dostrzec wartość doświadczania i słuchania. Spacer dźwiękowy jest niczym cichy manifest, nieznaczący gest, niezauważalny protest, który jednocześnie porusza i ożywia najgłębsze stany umysłu. Dźwięk nie opuszcza miasta, jest z nim złączony nierozerwalnym węzłem. To akustyczne odbicie życia miasta i życia jego mieszkańców.

Jak usłyszeć przeszłość, historię? Spacer dźwiękowy daje narzędzia, aby uruchomić słyszenie, stać się wrażliwym na miejski rezonans. Dźwięki historii są rozsiane na planie miasta niczym pierwiastki, mikroskopijne drobiny, które wymagają długiego wpatrywania lub zasłuchania. Zastygnięcia w czasie i oczekiwania na cud syntezy, kiedy z drobin powstaje pejzaż. Te drobiny to dźwięk skrzypiącej bramy, echa w podwórku, ptasie trele na stuletnim drzewie, odgłos torów na zakręcie. Dźwięki odbite od muru, wzdłuż linii ulicy.

Rekonstrukcja dźwiękowa jest procesem wręcz niemożliwym. Moda na odtwarzanie historycznych wydarzeń podszyta jest imitacją. Rekonstrukcja to rodzaj rytuału, lecz pozbawionego zupełnie treści, warstwy wnoszącej przesłanie czy doświadczenie. W doskonały sposób zostało to przedstawione w filmie *Nie obchodzi mnie, czy przejedziemy do historii jako barbarzyńcy* rumuńskiego reżysera Radu Jude. Bolesne rozliczenie z własną przeszłością, z postawami, jakie przyjmował naród rumuński w czasie wojny i wobec Holokaustu. Czy ten palimpsest, jakim jest historia, da się sprowadzić jedynie do kilku gestów, zachowań, mundurów i sformułowań zapożyczonych z filmów, książek czy komiksów? Do umownej formy wydarzenia, jakim jest sama

---

Marcin Dymiter – porusza się w obszarze elektroniki, muzyki improwizowanej. Tworzy instalacje dźwiękowe, słuchowiska radiowe, muzykę do filmów, spektakli i wystaw. Współpracuje z artystami wizualnymi i teatrem tańca. Współpracował i grał z muzykami z obszarów elektroniki i awangardy, między innymi Paulem Wirkusem, Rosą Arruti, Robem Mazurkiem, Sophie Agnel, Thomasem Lehnem, Johnem Butcherem, Axelem Dornerem, Andrew Sharpleyem, Wolfgangiem Fuchsem, Krzysztofem Knittlem, Mikołajem Trzaską, Raphaelem Rogińskim, Patrykiem Zakrockim, Markiem Chołoniewskim, Tomaszem Chołoniewskim, Dagną Sadkowską, dj Lenarem.

rekonstrukcja? Te pytania zostają zadane i zawieszone w wizualnym eseju filozoficznym Radu Jude. Fascynacja rekonstrukcjami pozostaje zagadkowa, jednak i rekonstrukcja, i potrzeba wznoszenia pomników to prawdopodobnie próby oswajania przeszłości.

*

Karl Schlögel jeden z rozdziałów poświęca Hannie Arendt i miastu Königsberg. To także Królewiec i Kaliningrad. Autor tak pisze o mieście zakorzenionym w pamięci: „Ktoś, kto nie zna niewidzialnego miasta, trzyma się tego, które widzi. Wędruje po ulicach, uzbrojony w plany przedstawiające te miejsce »przed« i »po«". Tak jak istnieją obok siebie Königsberg, Królewiec i Kaliningrad, tak Podgórze nosi w sobie ślady innych czasów, innego miasta. Ślady po miejscach kaźni, według oprawców, miały stać się niewidoczne dla oka, jak napisał Martin Pollack, miały „rozpuścić się w krajobrazie". Szczątki, odłamki, skrawki, elementy.

W 2005 roku dostałem płytę zespołu Cukunft *Lider Fun Mordechaj Gebirtig*. Nie było na niej zarejestrowanego głosu, próby zrekonstruowania poezji Gebiritga. Instrumentalna interpretacja była dotkliwa i mocna. Przenosiła słuchacza do wąskich uliczek i podwórek Kazimierza. Bez słów, za pomocą szyfru nut, brzmień, rytmów i tonacji. To paradoks, lecz brak głosu w nagraniu wytworzył silne wrażenie, że ktoś śpiewa. Fragmenty, wycinki, drobiny, kawałki.

Szukając materiałów na temat getta w Podgórzu, natknąłem się na cykl zdjęć. Jedno z nich pochodzi z czerwca 1942 roku. Przedstawia ulicę Lwowską w momencie wysiedlenia. Daleko znikające sylwetki ludzi. Na pierwszym planie porzucone przedmioty codziennego użytku – pojemnik, ubrania, poduszki, kubek, walizka. Po lewej stronie na pierwszym planie zdjęcia fragment sylwetki. Widoczne są buty i klamra żołnierskiego pasa. To jedno z bardziej wstrząsających zdjęć. Pozostałości, popioły, prochy, zgliszcza. Widok pustki. Przedmioty i ludzie w oddali. Mordechaj Gerbirtig w *Blajb gezunt mir, Kroke,* w utworze pisanym 24 października 1940 roku i odnoszącym się do wysiedlenia z Krakowa, pisał:

Żegnaj mi, Krakowie,
Bywajże mi zdrów,
Pod mym domem furka czeka już.
Tu z mojego miasta
Gnają mnie jak psa.
Jakże pusta dziś uliczka ma!

(tłum. Agnieszka Osiecka)

Cała partytura w dłoni. Epilog

To, co widać, może być złudzeniem. Idyllicznym obrazem, którego trzymamy się kurczowo, by nie runął świat zbudowany tak pieczołowicie, choć na lichych fundamentach. Łagodne wzniesienia, puls rzeki i światło odbijające się od lustra wody, dachy mieniące się w pełnym słońcu mamią umysł pocztówkowym widokiem. Przed banalnością pejzażu przestrzega Martin Pollack w książce *Skażone krajobrazy*. Niewinne linie miasta, wzgórz, place, parki i otwarte przestrzenie poza miastem są naznaczone zbrodniami i śmiercią. Nie da się tego ująć inaczej. Czy niewinny pejzaż jest możliwy? Martin Pollack tak opisuje krajobraz: „Bestialskie akty zmieniają nie tylko język i ludzi, którzy mają w nich udział, ale także miejsca, w których się wydarzają. Dotyczy to również krajobrazów. W naturze, w wolnej niezabudowanej przestrzeni przemoc przybiera inną formę niż w zamkniętym obozie otoczonym drutem kolczastym i wieżami wartowniczymi. W krajobrazie sprawcy ujawniają inne zachowania, dopasowują je do panujących w danym miejscu warunków i kierując się każdorazowo terenem, przestrzenią, przez swoje czyny – kopanie dołów, egzekucje, zasypywanie i maskowanie zbiorowych grobów – kształtują teren na nowo. Przede wszystkim nadają owej przestrzeni nowe, ponure znaczenie.

Spacer dźwiękowy może wydać się łatwym, wręcz banalnym zajęciem. Chodzenie w milczeniu i słuchanie. Krok po kroku. Spacer to odnajdywanie kolejnych stron partytury miasta. Utwór już zaczyna brzmieć, lecz od strony Wisły zrywa się wiatr. Wyrywa z dłoni zapisane kartki, rozrzucając je w najodleglejsze miejsca. Wiatr pomieszał czasy, rzeczywistości i porządki. Żaden ze spacerów dźwiękowych nie kończy się spektakularnym sukcesem, ale też nie kończy się fiaskiem. Powolna medytacja, ponowne szukanie audialnych śladów przeszłości to wymagająca praktyka rezygnacji z tego, co proste, łatwe, możliwe do szybkiego odtworzenia. Za plecami cienie pomników. Przykładanie ucha do ścian kamienic, nasłuchiwanie stukotu tramwaju, wyczekiwanie na prawie niesłyszalny odgłos rzadko tu rosnących drzew. Krok po kroku. Dźwięk po dźwięku.

Tekst powstał na zamówienie Muzeum Krakowa – Fabryki Emalii Oskara Schindlera w ramach projektu *Pamiętaj z nami 2021*. Jednym z punktów programu był spacer dźwiękowy prowadzony granicami getta, poprzedzony wykładem wprowadzającym, opartym na powyższym tekście. Muzeum planuje w lipcu–sierpniu prowadzenie przez swoich pracowników takich właśnie dźwiękowych spacerów historycznych – szczegóły i dokładne terminy na https://www.facebook.com/FabrykaSchindlera/ i stronie internetowej muzeum www.mhk.pl.

Bo uważne słuchanie pomaga w doświadczaniu i rozumieniu historii...

30 sierpnia 2021, 20.30

EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

NA ŻYWO W TVN 24

Wydarzenie uświetni
koncert polskich artystów
z towarzyszeniem
Tarkowski Orkiestra

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Fundacja Grand Press ustanawia MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA, by co roku honorować troje Polaków zasłużonych dla wolności wypowiedzi.

Wyróżnienie mogą otrzymać osoby angażujące się w działalność na rzecz dobra wspólnego, w tym:

- obywatelską, społeczną
- kulturalną, artystyczną, naukową
- dziennikarską i publicystyczną

Wskaż swojego kandydata na: www.press.pl/Medal

ORGANIZATOR

GRAND press FOUND.

MIASTO GOSPODARZ

GDAŃSK

PARTNERZY

ECS

Białystok

Kraków

Sopot

Wrocław miasto spotkań

MIASTO DARŁOWO

zaiks sprzyjamy wyobraźni

GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

press

PATRONI MEDIALNI

onet

tvn24

gazeta wyborcza

radio ZET

KRAKÓW MIESIĘCZNIK www.miesiecznik.Krakow.pl

PARTNERZY GALI

FILMGARDEN

COCO SOUND

Wolność słowa – Kraków jest za!

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Witold Bereś

Weronika Mirowska, prezeska Fundacji Grand Press: Wolność słowa i samorządność to korzenie demokracji. Dlatego tak nam zależało, by przekonać najważniejszych samorządowców do naszej idei.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Medal Wolności Słowa. To nowa inicjatywa, która w dzisiejszych czasach może brzmieć... sarkastycznie. Władza robi wszystko, aby wolność słowa zdławić – zresztą ze sporymi sukcesami: upadek prasy lokalnej wykupionej przez posłuszny władzy koncern czy walka z TVN to tylko dwa z morza przykładów... Czy mamy więc jeszcze wolne słowo w Polsce? Czy mamy co czcić? Czy nie jest to nasz, wolnych mediów w Polsce, łabędzi śpiew?
Weronika Mirowska: Właśnie dlatego, żeby nie było tego łabędziego śpiewu, powstał Medal Wolności Słowa. Chcemy honorować tych, którzy w pełny, a zarazem mądry sposób korzystają z wolności wypowiedzi. Bo przecież z wolności słowa można korzystać źle i głupio. A czy ona istnieje? Wolne słowo w Polsce trwało w podziemiu nawet w czasach stanu wojennego i cenzury PRL, więc nie ma powodu, by nie było go teraz. Nawet jeśli obecna władza chciałaby inaczej.

W czasach, gdy kłamstwo i propaganda mają się świetnie, należy honorować odważne, mądre tezy padające w przestrzeni publicznej i tych, którzy je wypowiadają.

Ta chwila, w której wpadłaś na pomysł nagradzania ludzi broniących w Polsce wolnego słowa... Jak to było? Jaki był kontekst?
Ten pomysł dojrzewał przez dłuższy czas, a wypowiedziałam go na głos, gdy rozmawialiśmy o misji Fundacji Grand Press. Stwierdziłam, że byłoby wspaniale honorować odważne, mądre tezy padające w przestrzeni publicznej i tych, którzy je wypowiadają. To dla mnie ważne rozróżnienie – nie nagradzamy, ale honorujemy. Bo przecież w wolności wypowiedzi nie chodzi o to, kto jest najszybszy lub najlepszy. Przykładanie miar ze sportu jakoś mi przy naszym medalu nie pasuje. Co ciekawe, gdy tylko zgłosiłam ten pomysł, założyciel „Pressu" Andrzej Skworz stwierdził, że taka idea już padła, ale nie miał kto jej zrealizować. I sceptycznie uznał, że tym razem na pewno też się nie uda.
Ale udało się... Czym ten konkurs się różni od innego waszego ważnego konkursu czyli od Grand Press? Przecież Grand Press to też apoteoza wolnego słowa, a zwycięzcy stają się – czasami i z czasem – autorytetami...
Gdy upubliczniliśmy informację o medalu, dostaliśmy sporo gratulacji i słów zachęty. Mówiono i pisano, że dobrze, iż nie zamykamy się tym razem na środowisku dziennikarskim. I tu jest główna różnica. By dostać Medal Wolności Słowa, nie musisz pracować w mediach, ale możesz robić coś dla wolności słowa w instytucjach publicznych lub po prostu być obywatelem zatroskanym o wolność wypowiedzi.
Jakie są zasady nowego przedsięwzięcia? Kto nominuje, kto wybiera, kto decyduje?
Wręczymy medale trzem osobom, które reprezentują kategorie: Media, Instytucja, Obywatel. Z tych środowisk zbieramy też sugestie, kto powinien być zgłoszony do nagrody. W kategorii Media zgłaszają polskie redakcje, w kategorii Instytucja – rodzime instytucje pozarządowe, a do kategorii Obywatel kandydatów zgłaszają nam internauci.
W takim przedsięwzięciu najważniejsi są pierwsi laureaci, bo to oni ustawiają odbiór wyróżnienia na długie lata. Dlatego uznaliśmy, że w tym roku nie będziemy tworzyć żadnego jury, ale ostatecznego wskazania wyróżnionych medalem dokona sama Fundacja Grand Press w osobach jej rady, zarządu i fundatora.
Kilka słów o magazynie „Press", o waszej Fundacji, no i o jej prezesce...
Medal jest zwieńczeniem 25-letniej historii dziennikarskiego magazynu „Press" oraz Fundacji Grand Press, której głównym celem jest dbanie o jakość polskiego dziennikarstwa, ale też właśnie o wolne słowo. Trafiłam tutaj dopiero półtora roku temu, ale cieszę się, że po latach pracy w branży reklamowej i filmowej mogę swój czas i siły poświęcać na coś, co odbieram jako misję. W czasach, gdy kłamstwo i propaganda mają się świetnie, trzeba opiekować się tą delikatną rośliną demokracji. A wolność słowa to jej jeden z głównych korzeni.
Rozmawiamy w chwili, gdy nie tylko nieznane są jeszcze typy jurorów, ale i sam program imprezy jest tylko szkicem. Czy możesz coś jednak powiedzieć o tym, co ma się zdarzyć 30 sierpnia o godzinie 20.30 w Europejskim Centrum Solidarności? Czy możemy ujawnić nazwiska, które były rozważane?

Gala, transmitowana na żywo w TVN24, będzie świętem wolnego słowa i muzyki. Nie znamy jeszcze laureatów, bo trwa wciąż zbieranie zgłoszeń. Podczas naszego wydarzenia wystąpią polscy artyści, dla których wartości, o których mówimy z okazji medalu, są istotne. Będą to: Robert Janowski, Renata Przemyk, Janusz Radek, Michał Szpak i Anna Wyszkoni. Towarzyszyć im będzie Tarkowski Orkiestra. Cieszymy się, że w ogólnopolskim nagłośnieniu wydarzenia wspierają nas TVN, Onet, Radio Zet i „Gazeta Wyborcza" – oraz miesięcznik „Kraków".

Wyraźnie oparliście się na miastach i samorządach, silną pozycję ma wśród nich – również wspierając was – miasto Kraków i jego prezydent profesor Jacek Majchrowski. Cieszymy się z tego tym bardziej, że nasz miesięcznik ukazuje się – już siedemnaście lat! – właśnie dzięki życzliwości i wsparciu Profesora oraz samorządu krakowskiego. Czy widzisz – widzicie – szanse na to, aby prasa mniejsza, samorządowa, była jakimś oparciem dla wolnego słowa?

Samorządność to, powtórzę, jeden z korzeni demokracji, dlatego tak nam zależało, by przekonać najważniejszych samorządowców do naszej idei. Jestem im osobiście wdzięczna. Z panem prezydentem Jackiem Majchrowskim zrozumieliśmy się błyskawicznie, zaimponował mi między innymi wnikliwą recenzją jednego z najnowszych artykułów, który przeczytał w „Pressie". Samorządy są teraz tak istotne, bo większość przedsiębiorców, zwłaszcza tych zależnych od państwa, boi się wychylić. Nie robimy nic antyrządowego, ale w obecnych czasach samo przypominanie o wartościach europejskich czy demokratycznych już nosi znamiona zaangażowania politycznego. A co do prasy samorządowej – ma trudne zadanie, bo powinna patrzeć na ręce także tym, którzy ją wspierają. Ale przecież właśnie o to chodzi w kwestii mądrego i odważnego korzystania z wolności wypowiedzi.

Udało się z Medalem Wolności Słowa, teraz zaś liczmy na zwycięstwo wolności słowa. Do zobaczenia w Gdańsku, w ECS.

Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

Powrót do magicznej krainy dzieciństwa

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Tomasz Kawecki (set design: Aleksandra Przybysz)

Wychowała go babcia. Chodził z nią po lasach, zbierając kwiaty, muszelki, pióra, korzenie. Dziś te amulety z przeszłości umieszcza na swoich fotografiach, podobnie jak babcię, którą widzi w roli zawieszonego pomiędzy dwoma światami Charona.

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami... Ten tekst mógłby się zacząć jak bajka, bo choć zdarzenia, o których opowiem, były całkiem niedawno, to są powrotem do przeszłości. Do czasów bezpowrotnie utraconego dzieciństwa, którego dużą część Tomek Kawecki spędził za górami, za lasami. Żeby dojechać do Witowic Dolnych, choć leżą one nieopodal Jeziora Rożnowskiego, trzeba naprawdę się natrudzić, szczególnie że pokryty zielonym dachem dom babci Tomka znajduje się na samym końcu zapomnianej przez świat osady. Kiedy ogląda się go na zdjęciach artysty, wyczuwa się otaczającą go aurę izolacji, osamotnienia.

– Kiedy byłem mały, spędzałem tam z babcią każde lato. To był niesamowity czas. Chodziliśmy po górach, zbieraliśmy w lesie grzyby. Spaliśmy na strychu, który służył babci za magazyn wszystkich znalezionych w okolicy rzeczy. Hulał po nim wiatr, ale się nie bałem, bo chroniły nas jej amulety: kwiaty, które suszyła, muszelki, piórka, kamienie, powyginane korzenie. Mówiła, że to są jej przyjaciele, nadawała im cechy antropomorficzne, imiona. Jeden korzeń nazywał się Smok Bazyli, inny Łabędź. Dla mnie to były wtedy całkiem naturalne rzeczy, nie dostrzegałem ich niesamowitości. Dopiero kiedy dorosłem i po paru latach wróciłem do tego domu, zrozumiałem, w jak magicznym miejscu spędziłem dzieciństwo – opowiada Tomek, który wówczas pomyślał, że warto by zachować jego klimat.

Zaczął mu się uważnie przyglądać przez obiektyw aparatu. Tak rodził się projekt *Leże*, który mogliśmy oglądać na fantastycznej wystawie pokazywanej w ramach Miesiąca Fotografii w Krakowie. Autor czuł, że musi zaprosić do niego babcię, więc pojawia się ona na zdjęciach obok kadrów przedstawiających powyginane korzenie, zasuszone kwiaty. Na jej starzejące się ciało kładł przedmioty, które były dla niej przez całe życie ważne. Kiedy na oczach położył muszle ślimaków, pomyślał, że wyglądają jak obole – monety, którymi płaciło się Charonowi, by przewiózł dusze zmarłych na drugą stronę Styksu. – Babcia na tym zdjęciu zmienia się dla mnie w Charona, osobę zawieszoną między dwoma światami. Jej ciało upodabnia się tu do korzenia, a ona staje się dzieckiem, którym teraz ja będę się opiekował.

Kiedy wybuchła pandemia, Tomek przeprowadził się do domu babci ze swoją partnerką Aleksandrą Przybysz, absolwentką wydziału rzeźby na warszawskiej ASP. Nad światem unosiła się aura zagrożenia, od której dwójka artystów nie była w stanie uwolnić się nawet w tak odludnym miejscu jak Witowice Dolne. Wspominają, że nadciągającą apokalipsę czuli też, gdy chodzili do lasu bądź na odległe pola, gdzie napotykali opuszczone przez ludzi domy. Wciągała ich tajemnica zdewastowanych budynków, pozostawione w nich przez niegdysiejszych mieszkańców ślady życia.

Tomek zaczął je fotografować, Ola ingerowała w zastaną przestrzeń, tworząc w niej ze sznurków instalacje przypominające kształtem pajęczyny. Inspirowała ją do tego wywodząca się z ludowych praktyk magia węzłów, zwana też magią Alkmeny, której zadaniem jest domykanie pewnych niezamkniętych jeszcze spraw, historii. Z jedną z nich spotkali się przypadkowo w spalonym domu. Gdy do niego weszli, usłyszeli zbliżającą się grupę ludzi. Była to trójka dzieci mężczyzny, który tutaj spłonął. Właśnie mijała pierwsza rocznica śmierci ich ojca i razem z matką przyszli zapalić świece. – Nasza obecność na początku wywołała w nich agresję, ale Ola wytłumaczyła im, co tu robimy, przekonała, że magia węzłów pomoże im wyzwolić się z tej strasznej tragedii. Tym bardziej że byli oni naładowani złymi emocjami, gdyż ojciec zapisał się w pamięci dzieci jako okrutny człowiek, który zabijał na ich oczach ukochane zwierzęta.

Zdjęcia Tomka z tego domu, jak i z innych poranionych budynków, stały się częścią wspólnego przedsięwzięcia *Przestrzeń biodegradowalna*. Mógł się on rozwinąć dzięki rezydencji artystycznej, jaką przyznał im Instytut Adama Mickiewicza i Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Wykorzystali do niego technologię *virtual reality*. Dzięki niej możemy udać się na wirtualny spacer po domach, które stały się przedmiotem ich artystycznych działań. Będzie to możliwe na Festiwalu Fotografii w Rybniku, na który twórcy zapraszają między 10 a 12 września.

*

Tomasz Kawecki jest artystą sztuk wizualnych, studentem drugiego roku Instytutu Fotografii Twórczej w czeskiej Opawie. Współtworzył Galerię NAGA. Ma już na koncie kilka nagród: sekcji SHOWOFF Miesiąca Fotografii w Krakowie 2021, LensCulture Art Photography Awards 2021, IMA next DREAM GRAND PRIX i „Talent Roku” PIX.HOUSE.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Odpowiada Tomasz Kawecki

Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?
Nie chciałbym być alergikiem. Jest to rzecz, której u siebie nie znoszę i trudno mi się z tym pogodzić.

Kim (lub czym) chciałbyś być, gdybyś nie był tym, kim jesteś?
Naukowcem, odkrywcą, obieżyświatem. Chciałbym pływać fregatą po nieznanych wodach, odkrywać nowe lądy, gatunki roślin i zwierząt.

Bez jakiej aktywności fizycznej nie wyobrażasz sobie życia?
Nie potrafię żyć bez roweru, tak jak i bez pływania. Nie potrafię się zdecydować, co jest dla mnie ważniejsze.

Co poprawia ci humor, gdy wstajesz rano, a za oknem pada deszcz?
Gdy pada deszcz, lubię siedzieć w domu i zwyczajnie się lenić. Nie mam wtedy złego humoru, za to do głowy przychodzą mi najlepsze pomysły. Deszcz regeneruję moją kreatywność.

Jakie słowo chciałbyś słyszeć najczęściej?
Najlepiej takie, na które nie zwróciłbym i tak uwagi. Wszystkie te ważne słowa, które miło jest usłyszeć, tracą swoją siłę powtarzane wiele razy.

Jaką książkę zabrałbyś na bezludną wyspę?
Wziąłby ze sobą wszystkie tomy Harrego Pottera. Mógłbym je wtedy czytać na okrągło.

Jaką płytę zabrałbyś na bezludną wyspę?
Angelo Badalamentiego z muzyką, którą skomponował do *Twin Peaks*. Mógłbym sobie swobodnie do niej oszaleć.

Jakiego zawodu nie chciałbyś nigdy wykonywać?
Nie chciałbym być odpowiedzialny za czyjeś życie. Nie wiem, czy byłbym w stanie odreagować stres związany na przykład z byciem chirurgiem.

A co mógłbyś robić innego, gdybyś nie zajmował się fotografią?
Fotografia to tylko medium. Mógłbym wyrażać siebie także za pomocą rzeźby, malarstwa, wideo artu czy innego gatunku sztuk wizualnych.

Czy istnieje smak, który kojarzy ci się z dzieciństwem?
Kompot ze świeżo nazbieranych w lesie jeżyn, malin i poziomek, których udało nam się z babcią nie zjeść podczas powrotu do domu.

Czy istnieje zapach, który kojarzy ci się z dzieciństwem?
Zapach skoszonej trawy, zapach lasu. Ale jednak przede wszystkim zapach domu babci i dziadka.

Jaki pejzaż przywołujesz, gdy przymykasz oczy?
Na pierwszym planie osnuty mgłą sad. Widzę pagóry pozarastane lasami, widoczne w oddali domy i dziwną, monumentalną wieżę radiową wysyłającą czerwony sygnał.

Co śniło ci się ostatnio?
Byłem w labiryncie, przemieszczałem się od jednego wspomnienia do drugiego. Nie mogłem w nim rozpoznać żadnej osoby ani miejsca. Wszystkie te historie jakby nie należały do mnie. Ale mogłem się w nich swobodnie poruszać. Tyle pamiętam.

Czy wierzysz w symboliczne znaczenie snów?
Myślę, że to nie jest kwestia wiary. Sny są zakodowanymi informacjami, do których jeszcze nie dotarliśmy. Może od nich uciekamy, a może po prostu są odbiciem codzienności, jej zmartwień i radości.

Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem?
Nie pozwalam czarnemu kotu, żeby przeszedł mi drogę. Za każdym razem, jak widzę, że próbuję to zrobić, zmieniam kierunek. Staram się też nie przechodzić pod drabiną oraz nie podawać ręki przez próg. I najważniejsze – na pewno nie chciałbym zobaczyć ponuraka. Kimkolwiek on jest.

O czym w tym momencie marzysz?
Mam bardzo pragmatyczne marzenie. Chciałbym pozbyć się tego całego stresu związanego z zarabianiem pieniędzy i móc poświęcić się w pełni pracy artystycznej.

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

Tomasz Kawecki, *Portret z muszlami* (cykl *Leże*)

Dyrygentka to nie okaz egzotyczny

Rozmawiała Miwa Maruyama **Zdjęcie:** Magda Hałas (za wiedzą i zgodą autorki)

Justyna Kwarcińska, dyrygentka i kierownik artystyczny Orkiestry Kameralnej Uniwersytetu Jagiellońskiego „All In Orchestra": Orkiestry nie lubią dyrygentów, którzy udają nieomylnych. Jeśli widzą, że znasz dobrze partyturę, i wiesz, czego chcesz, potrafią wybaczyć błąd. Bywają bezlitośni, gdy dyrygent przychodzi na próbę nieprzygotowany.

Miwa Maruyama: Dlaczego chciałaś być dyrygentką? Jakim byłaś dzieckiem?
Justyna Kwarcińska: Jak każde dziecko – ciekawym. Tyle że jak coś mi się spodobało, to po to sięgałam. Jako kilkulatka dostałam od dziadka mały keyboard Yamaha. Bardzo mnie zaintrygował i próbowałam na nim grać zasłyszane melodie. Spodobało mi się to na tyle, że postanowiłam nauczyć się grać na fortepianie. Rodzice zapisali mnie na egzamin do szkoły muzycznej, gdzie ostatecznie dostałam się na skrzypce. Miałam 7 lat. To był ciężki czas, brakowało mi cierpliwości do ćwiczeń! Miałam w tym czasie wiele innych zainteresowań, dużo czasu spędzałam na malowaniu i zajęciach plastycznych, angażowałam się w mnóstwo zajęć pozaszkolnych, brałam udział w konkursach plastycznych, literackich, historycznych, przyrodniczych, a równolegle chodziłam do szkoły sportowej.

Kiedy byłam dzieckiem, zachwyciła mnie poetyckość uwertury koncertowej *Hebrydy* inspirowanej pejzażem szkockiego archipelagu, słynną Grotą Fingala. To była moja pierwsza fascynacja brzmieniem orkiestry symfonicznej. Słuchałam tej muzyki na wymarzonym odtwarzaczu CD, który był moim prezentem komunijnym. Inne dzieci dostawały wtedy rowery...

Może dlatego wybrałam później dyrygenturę, ponieważ ona właściwie mieści w sobie to wszystko. Jednak to dzięki muzyce doświadczałam największych olśnień. Pamiętam pierwszą nagrodę szkolną, którą była płyta CD z muzyką symfoniczną Felixa Mendelssohna Bartholdy'ego. Zachwyciła mnie poetyckość uwertury koncertowej *Hebrydy* inspirowanej pejzażem szkockiego archipelagu, słynną Grotą Fingala. To była chyba moja pierwsza fascynacja brzmieniem orkiestry symfonicznej. Słuchałam tej muzyki na wymarzonym odtwarzaczu CD, który był moim prezentem komunijnym. Wszystkie inne dzieci dostawały wtedy rowery...

Orkiestra stała mi się szczególnie bliska, gdy zaczęłam w niej grać. Lata szkolne przyniosły wiele doświadczeń koncertowych, zarówno solowych, kameralnych, jak i z orkiestrą. Przy wyborze studiów miałam jednak ogromny dylemat. Wiedziałam już, że kariera solowa nie jest dla mnie, z drugiej strony ciągnęło mnie do dalszego zgłębiania sztuki muzycznej zarówno w wymiarze teoretycznym, jak i wykonawczym. Rozpoczęłam więc studia na Akademii Muzycznej w Krakowie, najpierw na kierunku edukacji muzycznej, a następnie dyrygentury symfonicznej.

A co z ostatnią pandemią? Jak zmieniłaś swoje życie?
Moje życie przed pandemią było dość intensywne. Kilka miesięcy przed lockdownem obroniłam pracę magisterską na Akademii Muzycznej w Krakowie i poprowadziłam koncert dyplomowy z Orkiestrą Filharmonii Łódzkiej, wzięłam udział w dwóch międzynarodowych konkursach dyrygenckich w Rumunii i Bułgarii, jako dyrygent gościnny poprowadziłam koncert na zaproszenie Filharmonii „Moldova" w Jassy, zrealizowałam też nagranie z moją orkiestrą studencką w sali koncertowej Centrum Kongresowego ICE.

Pierwsze tygodnie pandemii potraktowałam więc jak okazję, aby po prostu odpocząć, nadrobić zaległości czy nauczyć się czegoś nowego. W pewnym sensie poczułam się znowu jak dziecko. Naturalnie pojawiły się refleksje dotyczące sytuacji na świecie, ludzkiej kondycji, tego, jak będzie wyglądać świat po pandemii, jak my, ludzie, go odbudujemy.

Teraz z obawą, ale też nadzieją patrzę na to, co się dzieje. Cieszę się, że mogłam

Justyna Kwarcińska – kierownik artystyczny i dyrygent Orkiestry Kameralnej Uniwersytetu Jagiellońskiego „All In Orchestra". Absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie (2019 rok, dyplom z wyróżnieniem) w klasie dyrygentury Pawła Przytockiego oraz prestiżowej Accademia Chigiana w Sienie w klasie Luciano Acocella i Daniele Gatti. W ramach stypendium studiowała w Hochschule für Musik, Theater und Medien w Hanowerze. Ukończyła również dyrygenturę chóralną w Akademii Muzycznej w Krakowie (2014 rok, dyplom z wyróżnieniem). Swoje umiejętności rozwijała pod kierunkiem Marin Alsop, Eiji Oue, Martina Braussa i Matthiasa Beckerta. Półfinalistka międzynarodowego konkursu dyrygenckiego Jeunesses Musicales International Conducting Competition 2019 w Bukareszcie. W 2020 roku została zakwalifikowana do udziału w kursach mistrzowskich, prowadzonych przez światowej sławy dyrygentkę Marin Alsop w Royal Festival Hall w Londynie.

w tym roku poprowadzić kilka koncertów z udziałem publiczności. Żałuję, że nie mam możliwości spotykania się na próbach z moimi studentami. Wiem, że bardzo chcą wrócić do gry.

Dla moich rodziców świat muzyki klasycznej był czymś zupełnie nowym. Tata w domu słuchał raczej Black Sabbath niż Mozarta. Gdy kolejno czterech z moich pięciu braci zdało egzamin do szkoły muzycznej, to mieliśmy w trzypokojowym mieszkaniu skrzypaczkę, pianistę, flecistę, perkusistę i kontrabasistę, a najstarszy brat samodzielnie uczył się grać na gitarze elektrycznej i basowej!

Czy w swoich muzycznych wyborach byłaś pod wpływem rodziców?
Moi rodzice nie są muzykami, choć mama w dzieciństwie uczyła się grać na fortepianie i to ona, jak sama mówi, dostrzegła moje artystyczne ciągoty. Oboje pochodzą z zupełnie innych branż. Tata prowadzi firmę remontowo-budowlaną i w domu słuchał raczej Black Sabbath niż Mozarta, a mama pracuje jako opiekunka osób starszych i dzieci. Dbali o moją edukację, ale nie czułam z ich strony przymusu, jeśli chodzi o wybór zawodu, a takie sytuacje nierzadko zdarzają się w rodzinach o tradycjach muzycznych.

Dla moich rodziców świat muzyki klasycznej był czymś zupełnie nowym. Będąc pierwszym dzieckiem w rodzinie, które rozpoczęło kształcenie muzyczne, niejako sama musiałam przecierać szlaki. Gdy kolejno czterech z moich pięciu braci zdało egzamin do szkoły muzycznej, to w pewnym momencie mieliśmy w trzypokojowym mieszkaniu skrzypaczkę, pianistę, flecistę, perkusistę i kontrabasistę, a najstarszy brat samodzielnie uczył się grać na gitarze elektrycznej i basowej! Sąsiedzi znosili to różnie. Byli wśród nich melomani, którzy rozpoznawali nawet ćwiczone przez nas utwory, ale pamiętam też sytuację, gdy ktoś przykleił na naszych drzwiach kartkę z napisem: „Państwo Kwarcińscy, to nie jest filharmonia!"...

Odczytywanie zapisu nutowego w partyturze, jego analizowanie i odkrywanie intencji kompozytora jest trochę jak prowadzenie wykopalisk archeologicznych.

Co jest najtrudniejsze w pracy dyrygentki?
Orkiestra jest swoistym instrumentem złożonym z kilkudziesięciu, a czasem i setek indywidualności, konkretnych ludzi. Każdy ma wyjątkową osobowość i wrażliwość. Każdy czuje muzykę inaczej. Sprawić, aby cała orkiestra zabrzmiała spójnie, z wyrazem, to największe wyzwanie dla dyrygenta. Muzyka ma poruszać, musi być „jakaś", o czymś, i ja jako dyrygent muszę to od zespołu wyegzekwować. W przeciwnym razie mamy do czynienia z bylejakością i nudą.

Wiem już choćby, że sukces koncertu jest zależny od wielu czynników. Jeśli próba generalna idzie świetnie, to na koncercie prawdopodobnie wyjdzie gorzej. Dlatego jeśli na ostatniej próbie orkiestra gra koncertowo, warto ją przerwać.

Czy jako dyrygentka czujesz się inaczej niż dyrygent?
W dzisiejszych czasach kobieta dyrygent nie jest już okazem egzotycznym jak jeszcze kilka dekad temu. Jest naprawdę mnóstwo niezwykle utalentowanych kobiet, które w niczym nie ustępują mężczyznom. Jeśli spojrzysz na programy koncertowe najważniejszych filharmonii i teatrów operowych w Europie, zobaczysz, że jest w nim sporo dyrygentek. Świat się zmienia. Sama nigdy nie czułam, że jestem w jakimś gorszym położeniu, ponieważ zawsze żyłam przekonaniem, że robię to, co chcę robić, i skupiałam się raczej na tym, aby robić to dobrze.

Pamiętam, że podczas mojego egzaminu wstępnego na dyrygenturę w komisji egzaminacyjnej siedział profesor, wybitny dyrygent, który nie przyjmował do swojej klasy dziewczyn – z zasady! Nie wyobrażam sobie, aby takie sytuacje nadal się zdarzały.

Jaki jest Twój ulubiony kompozytor?
Ostatnio przeżywałam silną fascynację dokonaniami Claude'a Debussy'ego. Ten francuski kompozytor i pianista z przełomu XIX i XX wieku zrobił wielki krok w historii muzyki, elegancko prowadząc ją ku modernizmowi. Jego wpływ słyszalny był nawet w twórczości tak wybitnych muzyków jazzowych jak Bill Evans. Muzyka Debussy'ego jest poetycka, spontaniczna, świeża i niebywale bogata kolorystycznie. Bywa zresztą określana mianem muzycznego impresjonizmu. Debussy był zainspirowany przyrodą, widział związek pomiędzy ruchem natury a muzyką, a zainteresowanie muzyką Dalekiego Wschodu nadają jego twórczości nieco orientalnego smaku. Kilkukrotnie miałam okazję dyrygować jednym z jego najwybitniejszych dzieł, poematem symfonicznym *Prélude à l'Après-midi d'un faune,* i wiążą się z tym naprawdę wielkie wzruszenia. Jeśli chcesz odpocząć od codziennego zgiełku, posłuchaj Debussy'ego.

Gdzie pracowało Ci się szczególnie dobrze?
Często wracam wspomnieniami do współpracy z orkiestrą symfoniczną w Jassy, w Rumunii. To był mój pierwszy zagraniczny koncert w roli tak zwanego dyrygenta gościnnego. Ułożyłam program z muzyką Beethovena, Saint-Saënsa i Debussy'ego, a w roli solisty miał wystąpić genialny węgierski skrzypek Antal Zalai, grający na instrumencie Stradivariego. Orkiestra grała perfekcyjnie już od pierwszej próby. To był jeden z najlepszych zespołów, z jakim przyszło mi do tej pory pracować. Koncert był bardzo udany, dostałam propozycję ponownej współpracy.
Czy są jakieś projekty, które chciałabyś wypróbować w przyszłości? Czy jest jakiś kraj, w którym chciałabyś zagrać?
Na razie liczę, że zrealizuję plany odwołane z powodu pandemii. W marcu zeszłego roku miałam lecieć do Londynu na kurs mistrzowski (co ciekawe, organizowany wyłącznie dla dyrygentek) ze światowej sławy dyrygentką Marin Alsop, obecnym szefem radiowej orkiestry symfonicznej ORF w Wiedniu. Samo dostanie się na te warsztaty było dla mnie sukcesem, bo zostałam zakwalifikowana z grona kilkuset dyrygentek z całego świata.

Później miałam wziąć udział w międzynarodowym konkursie dyrygenckim w Bukareszcie, który również został odwołany. Poza tym chciałabym wrócić do regularnych prób i koncertów z udziałem publiczności.
Czy jest jakikolwiek zawód, którym chciałabyś być poza dyrygentką?
Jako dziecko chciałam zostać archeologiem, bo pasjonowała mnie kultura i historia starożytnego Egiptu. Czasami gdy studiuję partyturę, to myślę sobie, że po części to marzenie zrealizowałam. Odczytywanie zapisu nutowego w partyturze, jego analizowanie i odkrywanie intencji kompozytora jest dla mnie trochę jak prowadzenie wykopalisk archeologicznych.
A co robisz, kiedy masz wolny czas?
Przed pandemią, gdy tego czasu nie było zbyt wiele, starałam się dbać o kondycję fizyczną. Gdy siłownie były jeszcze otwarte, uprawiałam trening siłowy Les Mills, są to zajęcia grupowe z trenerem wzmacniające nasze ciało. Pomagało mi to zrzucić z siebie nagromadzony w pracy stres. Nauczyłam się też wspinaczki skalnej, czyli połączenie sportu i kontaktu z przyrodą. Sport zresztą zawsze był dla mnie ważny, bo będąc w szkole sportowej, często brałam udział w zawodach. Dobrze jeździłam na łyżwach. Trener był załamany, gdy dowiedział się, że wybieram szkołę muzyczną.
A jak zachować zdrowie...? Sport, dieta, dystans. I od czasu do czasu lampka dobrego wina! Uwielbiam owoce morza, a więc przykładowo tagliatelle alla scampi z langustynkami lub krewetkami. Koniecznie z butelką białego wina!
Czy masz jakieś marzenia lub plany na najbliższe dziesięć lat?

Sukces koncertu jest zależny od wielu czynników. Jeśli próba generalna idzie świetnie, to na koncercie prawdopodobnie wyjdzie gorzej. Dlatego jeśli na ostatniej próbie orkiestra gra koncertowo, warto ją przerwać.

Ostatnie lata były dla mnie bardzo dynamiczne. Każdy kolejny rok zaskakiwał i otwierał jakieś ścieżki. Jeszcze rok temu nie przypuszczałam, że znajdę się w miejscu, w którym jestem obecnie.

W najbliższej przyszłości chciałabym, na przykład, powiększyć skład mojej studenckiej orkiestry kameralnej do rozmiarów symfonicznej. Bo w tym momencie jest złożona wyłącznie z instrumentów smyczkowych, ale w przyszłości będę chciała zaprosić również studentów grających na

W dzisiejszych czasach kobieta dyrygent nie jest już okazem egzotycznym jak jeszcze kilka dekad temu.

dętych i perkusji. Chciałabym też, aby orkiestra Uniwersytetu Jagiellońskiego mogła funkcjonować jako samodzielna jednostka, podobnie jak Chór Akademicki UJ i Zespół Pieśni i Tańca „Słowianki".

Chciałabym wykorzystać ten czas przede wszystkim na zbieranie doświadczeń – uczyć się od bardziej doświadczonych dyrygentów, pracować z różnymi orkiestrami, uczestniczyć w kursach i konkursach. To bardzo ważne, ponieważ moja droga dopiero się przede mną otwiera.

Miwa Maruyama – japońska dziennikarka, redaktorka i eseistka; studiuje dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Papieskim w Krakowie. W przyszłości chce propagować kulturę Japonii w polskich mediach, a także przeprowadzać wywiady z postaciami kultury obu krajów i stać się – jak mówi – „informacyjnym skrzyżowaniem Japonii i Polski".

Miłośnik zdjęć, twórca *Venus*

Tekst: Aleksander B. Skotnicki **Zdjęcie:** Jan Zych

Miał niespożytą energię i piękną pasję. Za swoją misję uznał zachowanie dokumentów przeszłości. Cechował się też wielką odwagą – to dzięki niej pół wieku temu stworzył obrazoburczą w zatęchłym klimacie PRL wystawę kobiecego aktu i portretu *Venus*. Zmarł Władysław Klimczak, wieloletni prezes Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, wyrazista osobowość ostatniego półwiecza w mieście.

Urodził się 6 marca 1923 roku w Solcu Kujawskim – jego ojciec Kazimierz Klimczak, były legionista, został tam skierowany, aby umacniać polskość na terenach włączonych po I wojnie światowej do odrodzonej Polski. Niestety, w osiem miesięcy po urodzinach syna ojciec zmarł, bardzo młodo, w wieku 30 lat. Powikłania po ranach wojennych...

Nastoletni Władek po ukończeniu szkoły powszechnej musiał zarabiać na życie, pracując fizycznie w pobliskiej Bydgoszczy.

Tam zastała go wojna. Po „krwawej niedzieli" 3 września 1939 roku, kiedy hitlerowcy rozstrzelali setki polskich inteligentów, w tym księży, lekarzy i nauczycieli, nasiliły się represje, Władek wraz z matką i ojczymem przedarli się do Generalnej Guberni w okolice Mielca (stamtąd pochodził ojczym). I znowu młody chłopak, mówiący dobrze po niemiecku, wziął się do pracy – rozwoził na rowerze gazety. A że dostarczał je również do jednostek Wehrmachtu stacjonujących w okolicy w przygotowaniu ataku na wschód, więc ojczym, żołnierz Armii Krajowej, wciągnął młodego do Szarych Szeregów. Władek przyjął pseudonim „Mały Janek". Jego zadaniem było fotografowanie i dokumentowanie niemieckiego terroru w stosunku do ludności żydowskiej i polskiej. W 1943 roku został aresztowany przez gestapo. Był torturowany, udało mu się jednak uciec z transportu do obozu koncentracyjnego i dotrzeć do Krakowa.

W okresie przekształceń PRL w III RP Władysław Klimczak w imię misji poszukiwania i zabezpieczania fotograficznych świadectw przeszłości odzyskał kilka tysięcy ważnych dla historii fotografii.

Tu zaczął pracę w kinie Uciecha przy ulicy Starowiślnej jako kinooperator, a także w warsztatach naprawy aparatury filmowej przy ulicy Józefitów 16 (po latach w tym samym miejscu powstanie państwowe Muzeum Historii Fotografii).

Pod koniec stycznia 1945 roku, podczas fotografowania pierwszych dni wyzwolenia, znowu został aresztowany – tym razem przez władze radzieckie. Na szczęście wkrótce go zwolniono.

W 1947 roku zdał maturę w Liceum Nowodworskiego, po czym skończył Akademię Handlową. Chciał się dalej kształcić – wstąpił zatem wydział historyczno-filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1953 roku został magistrem filozofii. Później pracował jeszcze jako nauczyciel ekonomii w Państwowej Szkole Przemysłowej przy alei Mickiewicza, ale w roku 1959 roku zaczęłą się jego nowa wielka przygoda.

Wtedy właśnie wiąże się z redakcją „Dziennika Polskiego" – jest fotoreporterem, współpracuje z reporterami Zbigniewem Turkiem i Zdzisławem Dudzikiem. Rychło też zaczyna działać w Krakowskim Towarzystwie Fotograficznym – najpierw jako członek zarządu, a później prezes KTF. Stara się nawiązywać do wieloletniej tradycji Towarzystwa Miłośników Fotografii, założonego w Krakowie w roku 1895, a potem przekształconego w Towarzystwo Fotografików Amatorów. Organizuje między innymi wystawy fotograficzne. Najpierw, w 1964 roku, z okazji 600-lecia Akademii Krakowskiej otwiera ekspozycję *Kraków i jego Uniwersytet*. Rok później zaś wystawę *Kazimierz – zapomniana dzielnica starego Krakowa*. Obie cieszą się wielkim powodzeniem.

*

Mieszkając w Krakowie, Klimczak nie mógł nie myśleć o Walerym Rzewuskim, który na przełomie XIX i XX wieku był właścicielem najnowocześniejszej w Europie pracowni fotograficznej. Jej siedzibą był dom przy ówczesnej ulicy Kolejowej 11 (dzisiaj

Władysław Klimczak

Westerplatte). Poszukując tych śladów, Klimczak dotarł do pałacyku Pod Stańczykiem przy ulicy Batorego 12, gdzie niegdyś mieściło się atelier fotograficzne Józefa Sebalda, ucznia Rzewuskiego. W latach 70. XX stulecia prezes Klimczak dowiedział się od dozorcy tego domu, że w piwnicy na węgiel stoją też skrzynie z pracami słynnych fotografów. Wśród około 2000 klisz znalazł chociażby wspaniałe portrety kolejnych rektorów UJ i prezydentów Krakowa, a także rodzin arystokratycznych – Czartoryskich, Potockich i Lubomirskich.

*

Siedzibą KTF była najpierw kamienica przy ulicy Stolarskiej 9 (dziś jest tu konsulat amerykański), a potem pałac Pugetów przy Starowiślnej 13. To tu w latach 1970–1980 będą się odbywać sławne, międzynarodowe doroczne *Salony aktu i portretu Venus*.

To było wielkie przedsięwzięcie prezesa Klimczaka. Oraz jego wielki sukces. Zarówno wizerunkowy, jak medialny i finansowy. A przy okazji – promocja Kraków jako miasta liberalnego i tolerancyjnego obyczajowo.

Doroczne *Salony Aktu i Portretu Venus* były w czasach PRL-u wielkim międzynarodowym przedsięwzięciem, sukcesem frekwencyjnym i wizerunkowym – bo dowodziły obyczajowego liberalizmu i tolerancyjności Krakowa.

W roku 1989, w kolejnej siedzibie przyznanej przez miasto Towarzystwu – kamienicy Hetmańskiej przy Rynku Głównym 17, Klimczak organizuje wspólnie ze znanym historykiem Stanisławem Jankowskim kolejną głośną wystawę *Zginęli w Katyniu.* Mówiła o niej cała Polska, a jej kolejne odsłony pokazano w Moskwie, Wilnie, Lwowie, a także w Budapeszcie, Wenecji, Paryżu i Bostonie.

*

W okresie przekształceń PRL w III RP prezes Klimczak w imię misji poszukiwania i zabezpieczania fotograficznych świadectw przeszłości odzyskał kilka tysięcy ważnych dla naszej historii fotografii.

Najpierw, w roku 1988, zabezpieczył archiwum legionowe braci Stanisława i Adama Dulębów – około 2000 szklanych negatywów fotografii z frontów I wojny światowej. Ta wspaniała epopeja Legionów, niezależnie od kolejnych wystaw, została też zaprezentowana w albumie *Legiony Polskie* (1990).

Niedługo później Klimczak dotarł do innego niezwykłego źródła: tajnego archiwum Armii Krajowej, przechowywanego w mieszkaniu Wincentego Kwinty w kamienicy przy ulicy Filipa 3 – tam z kolei znalazł zdjęcia naukowców aresztowanych przez okupanta w listopadzie 1939 roku podczas *Sonderaktion Krakau.*

W kręgu zainteresowań Klimczaka znalazło się również atelier znanego krakowskiego fotografa Adama Karasia na pierwszym piętrze domu przy Szewskiej 12. Składały się nań elementy wyposażenia z końca XIX wieku, wiele aparatów fotograficznych oraz tysiące klisz, w tym dokumentacja burzenia przez Niemców pomnika Mickiewicza na Rynku Głównym w sierpniu 1940 roku. Wszystko to prezes KTF chciał po śmierci swego przyjaciela przenieść do kamienicy Hetmańskiej – niestety, ten zamysł się nie powiódł.

Udało się natomiast dotrzeć do potomków słynnego fotografa z Warszawy Jana Bułhaka – założyciela Polskiego Towarzystwa Fotograficznego – i urządzić wystawę *Polskie miasta ziem odzyskanych – ruiny, zgliszcza, odbudowa.*

*

W 1991 roku wyremontowana kamienica Hetmańska została przekazana dawnym właścicielom. Bogatym zbiorom KTF-u zagroziła eksmisja. Pomoc zaoferował... Instytut Poszukiwania Nafty i Gazu, którego dyrektorzy Jarosław Bałaś i Stanisław Zajdel docenili pasję kolekcjonerską Klimczaka. Było to – jak mówiono wtedy w Krakowie – „koło ratunkowe rzucone na morzu rozbitkom" w poczuciu odpowiedzialności za losy bezcennych zbiorów. To oni udostępnili KTF-owi powierzchnię wystawową w gmachu przy ulicy Lubicz 25. Galeria Nafta od 2001 roku zaczęła gościć kolejne ekspozycje – jako pierwsze zaprezentowano wystawy *Z życia Marszałka Józefa Piłsudskiego w Belwederze i Sulejówku*, *Lwów w starej fotografii oraz Ludzie Krakowa z tamtych lat* (autorstwa Andrzeja Moskwiaka). Szczególny wymiar miał przegląd *Julian Aleksandrowicz – krakowianin XX wieku. Życie i twórczość.* Prezes Klimczak pamiętał, że prof. Aleksandrowicz, słynny lekarz i humanista, był także utalentowanym fotografem i z zapałem uwieczniał swoich pacjentów oraz przyjaciół, postanowił więc przypomnieć tę postać, opierając się na zachowanych zdjęciach jego autorstwa.

Kolejną postacią ze świata fotografii, którą Klimczak przypomniał współczesnym, był Kazimierz Didur. Jego historia jest pasjonująca: wychowany i wykształcony w Wiedniu, prowadził w Krakowie w latach 30. ubiegłego wieku dobrze prosperujący zakład fotograficzny. Po zajęciu miasta w 1939 roku niemieccy najeźdźcy docenili jego kunszt i zmusili do pracy w aparacie propagandy Generalnej Guberni. Kazimierz Didur towarzyszył gubernatorowi Hansowi Frankowi w jego codziennej działalności. Fotografował zatem rodzinę Franka na Wawelu, kolejne rocznice powstania GG, uroczystości

NSDAP, jak również przemianowanie Rynku Głównego na Adolf Hitler Platz 1 września 1940 roku oraz uroczysty pogrzeb oficera SS Matchiasa Staufera, zastrzelonego przez żołnierzy podziemia (kondukt szedł obwieszonymi flagami ze swastykami ulicami Krakowa – od ul. Straszewskiego przez Rynek na cmentarz Rakowicki).

A że równocześnie Didur był członkiem konspiracji, więc na rozkaz przełożonych przechowywał klisze zrobionych zdjęć, a niektóre z nich wysyłał przez kurierów do Londynu. Przyczynił się tym samym do upamiętnienia atmosfery i wydarzeń strasznych czasów okupacji.

Dzięki temu, że Władysław Klimczak dotarł do potomków Kazimierza Didura, udało się zabezpieczyć w KTF tę wyjątkową kolekcję wykonanych z narażeniem życia zdjęć.

Niektóre z nich pokazano w 2003 roku na wystawie *Okupowany Kraków na uratowanych fotografiach.* Prócz zbiorów Kazimierza Didura pokazano wtedy także fotografie Ryszarda Oresa, młodego Żyda, który przemyconym do krakowskiego getta aparatem dokumentował los mieszkańców „dzielnicy zamkniętej". Gośćmi wernisażu wystawy, w rocznicę wybuchu wojny 1 września, byli między innymi prof. Zygmunt Kawecki, który jako młody pirotechnik, członek AK, konstruował bombę, aby wysadzić pociąg Franka, którym gubernator jechał z Krakowa na wizytację do Lwowa, oraz prof. Józef Wolski, ostatnia ofiara *Sonderaktion Krakau*.

Na wystawę przyjechał nadto z Hamburga Niklas Frank, syn Hansa Franka, który w poruszający sposób przeprosił za zbrodnie popełnione przez swojego ojca.

Wszystkie te inicjatywy sprawiły, że budynek Nafty stał się ważnym ośrodkiem kultury Krakowa, przyciągającym tłumy zwiedzających.

Z kolei Centrum Kultury Żydowskiej przy ulicy Meiselsa 17 było miejscem ekspozycji *Medycyna i farmacja za murami getta*. Gościem specjalnym był przybyły z Nowego Jorku Ryszard Ores, przyjaciel Tadeusza Pankiewicza, prowadzącego tam słynną Aptekę pod Orłem.

W 2004 roku w Galerii Nafta otwarto wystawę *Społeczność żydowska w Polsce – zwyczaje i udział w walce o niepodległość.* Przedstawiała między innymi dokumentację fotograficzną ślubu żydowskiego w Bobowej w 1931 roku – a z Londynu przyjechała na wernisaż wnuczka cadyka Bencjona Halberstama, Shosana Stern – córka ówczesnej pary młodej. To wzruszające spotkanie uświetnili dodatkowo koncertem ostatni klezmer Rzeczypospolitej Leopold Kozłowski i krakowska pieśniarka Marta Bizoń.

Kolejnym ważnym wydarzeniem w dziejach KTF była wystawa *Rola Oskara Schindlera w ratowaniu krakowskich Żydów*, dokumentująca pierwszy raz po wojnie rolę, jaką odegrał ten niemiecki przedsiębiorca w uratowaniu od śmierci tysiąca współobywateli Krakowa żydowskiego pochodzenia. Została pokazana w Synagodze Kupa na Kazimierzu, pół roku później w Pałacu Sztuki przy placu Szczepańskim, a następnie w Międzynarodowym Centrum Młodzieży w Oświęcimiu.

Dla organizatorów szczególnie satysfakcjonujący była obecność bohaterów ukazanych wydarzeń, którzy przybyli do Krakowa z Izraela, USA, z Londynu, a nawet z Australii.

W 2005 roku w Galerii Nafta zaprezentowano wystawę *Dwie rewie Marszałka Piłsudskiego: kawalerii na krakowskich Błoniach w 1933 r, oraz pogrzebu Marszałka w 1935 w Warszawie i Krakowie.*

*

Kiedy Władysław Klimczak kończył 90 lat, współpracownicy zorganizowali mu w Galerii Stradomskiego Centrum Dialogu spotkanie urodzinowe. To wtedy w obecności licznych kontynuatorów jego dzieła prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski wręczył prezesowi KTF odznaczenie *Honoris Gratia*.

*

Władysław Klimczak był człowiekiem o ogromnej energii, pasji i woli zachowania dokumentów przeszłości dla przyszłych pokoleń. A równocześnie – niezwykle skromnym. Dość powiedzieć tylko, że lata całe mieszkał w mieszkaniu o powierzchni 30 metrów kwadratowych w spółdzielczym bloku i jeździł starym polonezem, który sam wielokrotnie naprawiał. Ostatnie 10 lat życia, kiedy nie mógł już wchodzić po schodach na wysokie IV piętro, spędził w parterowym domku letniskowym w Wiśniowej koło Dobczyc, udostępnionym mu przez przyjaciół.

Wykorzystano: doroczne sprawozdania KTF, Stradomskiego Centrum Dialogu oraz niepublikowany tekst Jerzego Piekarczyka *Człowiek, który stworzył Venus*.

Prof. Aleksander B. Skotnicki jest lekarzem i działaczem społecznym. Specjalizuje się w hematologii i transplantologii, był twórcą i długoletnim ordynatorem Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, kierował Katedrą Hematologii CMUJ. Jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Zajmuje się też badaniem i dokumentowaniem losów Żydów uratowanych z Holokaustu. W 2019 roku ukazała się *Opowieść o życiu i przetrwaniu. Aleksander Skotnicki w rozmowie z Katarzyną Kachel i Maciejem Kwaśniewskim* (Znak).

Podróż MMCXXXVII (opowiadanie)

Tekst: Marcin Świątkowski **Ilustracja:** Janusz Stefaniak

Po powrocie z gwiazdozbioru Panny nudziłem się jak mops. Nie mogłem ruszyć w kolejną podróż, ponieważ rakieta była w remoncie, a poza tym czekałem na premierę nowego tomiszcza profesora Tarantogi, który dał mi do zrozumienia, że pogniewa się, jeśli nie zjawię się na raucie premierowym. W domu z kolei nie miałem do roboty absolutnie nic, więc chodziłem po ścianach ze zniecierpliwienia i nudy, aż zdecydowałem się zakupić nowy model robota rozrywkowego. Był to najnowszy szczyt mody i technologii zarazem, lśniący i błyszczący niby rycerz w zbroi średniowiecznej, zaprogramowany tak, aby zapewnić jak najlepszą rozrywkę swojemu właścicielowi, zależnie od upodobań i uposażenia.

Niestety, i to nic nie dało, ponieważ gdym tylko za pomocą łomu odrzucił wieko wielkiej paki, dostarczonej mi do salonu, mój zdezelowany służący, widząc potencjalne zagrożenie dla swojej robociej supremacji w domu, rzucił się z przeraźliwym brzękiem stalowych rękawic na konkurenta. Ledwo zdążyłem włączyć tego nowego, aby chociaż obejrzeć mecz elektronowych gladiatorów. I ta rozrywka nie potrwała długo, ponieważ służący, z zaprogramowanym najwyraźniej *ju-robotsu* (ile też człowiek nie wie o własnym robocie!), błyskawicznie rozbił mój nowy nabytek na kawały. Gdy ze zmiotką w jednym ręku i workiem na śmieci w drugim zbierałem porozrzucane po całym salonie sprężyny, zębatki i stalowe płyty, poczułem nagły przypływ niewytłumaczalnej senności. Z uwagi na rozliczne życiowe doświadczenia błyskawicznie zorientowałem się, że nie jest to senność naturalna, więc szybko pobiegłem położyć się na kanapie, chcąc uniknąć bolesnego upadku, i włączywszy jeszcze w ostatniej chwili automatycznego sekretarza, aby w czasie tego przymusowego odpoczynku nie przegapić żadnego ważnego telefonu, usnąłem głęboko.

Obudziłem się we wnętrzu bynajmniej nieprzypominającym mojego przytulnego salonu, była to bowiem sala szpitalna o dość archaicznej proweniencji. Nachylali się nade mną lekarze w białym kitlach, z maseczkami chirurgicznymi na twarzy.

– Dzień dobry – powiedziałem, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Te niewinne przecież słowa wywołały wśród zgromadzonych na sali prawdziwy popłoch i ekscytację, która wydała mi się nieco przesadna. Szybko jednak okazało się, co było przyczyną tego poruszenia.

Jak mi wytłumaczono, byłem elementem specjalnego projektu, co do którego absolutnie nikt się nie spodziewał, że się uda, ponieważ był on od zarania skandalicznie niedofinansowany i żaden realizator nie wierzył w jego powodzenie, jednak podjęto się działań, aby nie stracić dotacji. Zaskoczenie więc wzięło się nie z mojego „dzień dobry", a w ogóle z faktu, że się odezwałem. Projekt ów, sponsorowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, polegać miał na przesłaniu do ciała-surogatu wybitnego pisarza, którego akurat ogłoszono patronem duchowym bieżącego roku.

Miło mi się zrobiło, że moja twórczość jest aż tak doceniania i to w czasach ewidentnie archaicznych (jak się dowiedziałem, mowa była o roku 2021!), a to, że znalazłem się w przeszłości też nie wzbudziło moich podejrzeń, ponieważ zdarzało mi się podróżować i w czasie i w przestrzeni, a więc należało się spodziewać, że również moje *Dzienniki* mogły być znane w zamierzchłym średniowieczu. Podejrzenia natomiast pojawiły się, gdy w moim hotelowym pokoju, z którego, niestety, nie chciano mnie wypuścić, zjawiło się indywiduum płci żeńskiej o aparycji urzędniczki, którą w istocie była.

– Musimy panu nadać numer PESEL i wystawić dowód osobisty – fuknęła na mnie, nie odpowiedziawszy na dzień dobry. Natychmiast też wyciągnęła formularz i zaczęła indagację.

– Imię i nazwisko?

– Ijon Tichy – odparłem.

Spojrzała na mnie dziwnie.

– Nie ma takiego imienia jak Ijon, poza tym pan się wcale tak nie nazywa, proszę się nie wygłupiać!

– A jak, wobec tego, według pani się nazywam? – Zapytałem najuprzejmiej jak mogłem, ukrywając złość, bo mimo wszystko wiedza o swoim mianie należy do elementarnej i trochę mnie rozeźliła sugestia, że moje własne imię, do którego mam słabość, nie istnieje.

– Stanisław Lem!

– Czy wobec tego możemy poprzestać na Stanisławie Tichym? – zaproponowałem, zastanawiając się, kto to jest, ów Lem.

– Niech będzie. Przynajmniej imię się zgadza. Miejsce urodzenia?

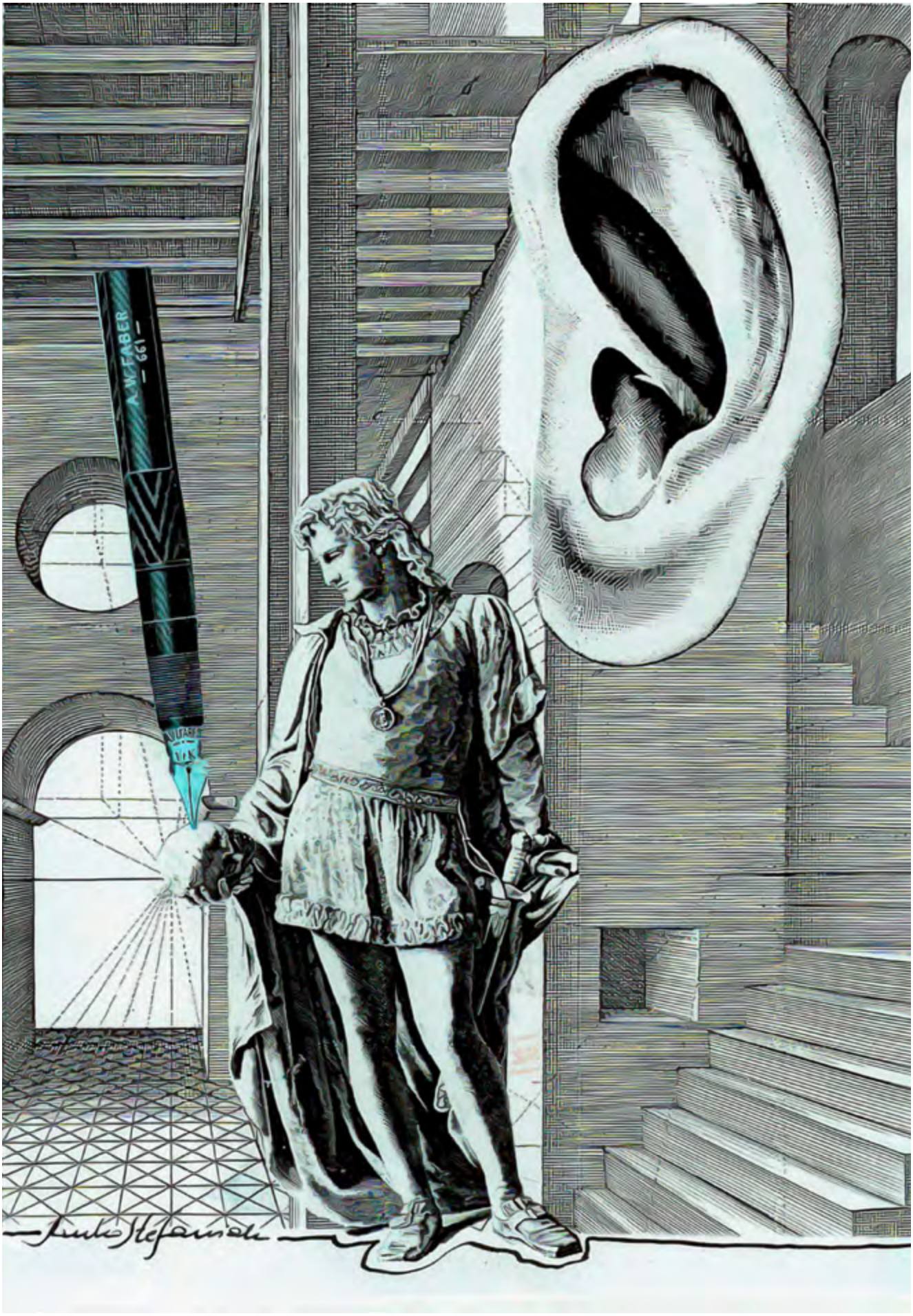

Collage: Janusz Stefaniak

– Nowy Jork.

– Ależ nie, pan się urodził we Lwowie!

– To może Nowy Lwów?

Po półgodzinie takiego dialogu zostałem ostatecznie Stanisławem Tichym, urodzonym w Nowym Lwowie 20 stycznia 1921 roku (uznałem, że lepiej zostawić sobie dzień niż rok urodzin), synem Sabiny i Wszechświta, wzrostu metr siedemdziesiąt trzy (wyciągnęliśmy średnią arytmetyczną), o oczach piwnych (mój surogat i ów Lem mieli brązowe – ja szare). Najtrudniej było z obywatelstwem, ponieważ urzędniczka upierała się, że jestem Polakiem, ja jednak jako Polak się nie identyfikowałem. Zaproponowałem, żeby jako obywatelstwo podać polsatańskie, od planety Polsat, uznając, że to najbliższe Polsce, jednak urzędniczka śmiertelnie się obraziła, z jakiegoś powodu myśląc, że z niej dworuję. Ostatecznie więc zgodziłem się już na tego Polaka, przekupiony czekoladą marcepanową.

Gdy urzędniczka sobie poszła, pogrążyłem się w głębokim zamyśleniu, bowiem najwyraźniej doszło do omyłki. Ściągnąć do roku 2021 chciano kogoś innego – owego imć Lema – a ściągnięto mnie, Ijona Tichego. Nie miałem jednak pojęcia, komu miałbym zgłosić tę skandaliczną niedbałość. Gdy tak rozmyślałem, do pokoju wtoczyły się kolejne trzy osoby.

– Panie Stanisławie! To dla nas zaszczyt! – zawołała jedna z nich, szpakowaty facet w okularach. Przezornie zamilkłem.

– Nazywam się Kluska, a to moi współpracownicy – pan Grześkowicz i pani Eltyniak. Jesteśmy przedstawicielami BFK.

Jak się rychło okazało, ten enigmatyczny skrót rozwijał się jako Bardzo Fajny Kraków, od nazwy miasta, w którym się znajdowaliśmy. Uznając Kluskę za kogoś, kto może mieć choćby minimum decyzyjności, wyżaliłem mu się na pomyłkę, której padłem ofiarą, ten jednak roześmiał się tylko, wołając: „Ależ z pana zgrywus!".

– No, ale dość już tych dowcipów – powiedział. – Zbierajmy się, bo za godzinę ma pan spotkanie w ramach Festiwalu Conrada.

– A cóż to jest, ten festiwal?

– Święto literatury, nazwane po jednym z najwybitniejszych pisarzy, nie licząc pana oczywiście, ha, ha!

– Sto lat później pies z kulawą nogą o tym Conradzie nie słyszał, a już na pewno nie ja – zirytowałem się, bo nikt nie chciał najwyraźniej potraktować mnie tutaj poważnie.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał portier, wołający, że automobil jest już gotowy.

Pociągnięto mnie do samochodu, któremu przyglądałem się z prawdziwym zadowoleniem, zawsze bowiem miałem słabość do archaicznych maszyn. Po przejechaniu ulicami ładnego, historycznego miasteczka, którego wcześniej na oczy nie widziałem, weszliśmy do wielkiej sali, jaśniejącej blaskiem jupiterów, w której tłoczyła się już podekscytowana ciżba, mnąca w spoconych rękach tomiszcza tego całego Lema. Okazało się, że czekają na mnie, bo na mój widok rozległy się piski, westchnienia i wrzaski.

Zaprowadzono mnie na rzęsiście oświetlone podium, z którego nie widziałem absolutnie nic, bowiem jak na przesłuchaniu wszystkie światła skierowano mi w oczy. Kątem oka tylko zauważałem błyski skierowane na mnie obiektywów, sala wybuchała fleszami aparatów. Obok mnie zasiadło dwóch facetów: łysy, który przedstawił się jako lemolog Orlewski i korpulentny okularnik, niejaki Czytaj, podobno również pisarz.

– Szanowni państwo! – Zaczął wielkim głosem łysy, kierując się do zebranych. – Dziś mamy niepowtarzalną okazję być beneficjentami wielkiego projektu Ministerstwa Kultury, rozwijanego od lat. Oto przed państwem, wstały z zaświatów, jedyny, niepowtarzalny Stanisław Lem!!!

Rozległa się burza ogłuszających oklasków, jęki i piski zebranych, którzy zaczęli napierać w stronę podium, aż grubi ochroniarze w czarnych strojach musieli utworzyć kordon, aby nie dopuścić fanów Lema do mojej skromnej osoby. Zapanował chaos, ponieważ jeden z nich, koniecznie chcąc mnie dotknąć, wspiął się na rusztowanie, na którym zamontowano jupitery. Gdy zszedł pod groźbą wyproszenia ze spotkania, Orlewski zaczął mnie indagować.

– Panie Stanisławie, zacznijmy od pytania, które, jestem pewny, najbardziej frapuje wszystkich zebranych – co to są sepulki?!

Pojąłem, że ten arogant najwyraźniej nie czytał mojego raportu z Encji, poczerwieniałem więc jak burak i zły już nie na żarty odparłem:

– To pan nie wie, że to są bujdy?

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia, jednak sytuację uratował Czytaj, zaczynając się śmiać, jakby usłyszał doskonały wic. Sala zawtórowała, a dwaj jegomoście jęli zadawać mi przeraźliwie durne pytania z rodzaju „Jak pana doświadczenia lwowskie wpłynęły na pana twórczość?", „Czy pilot Pirx jest pana *alter ego*?" albo „Co pan sądzi o lawinowym rozwoju internetu, czy w istocie okazał się tak wielkim zagrożeniem?". Pojąłem, że szczerością nic tutaj nie ugram, a zainteresowanie, w centrum którego się znalazłem, poczęło mnie męczyć, więc improwizowałem, wymyślając jakieś niestworzone głupoty i usiłując wplatać w swoje wypowiedzi jak najwięcej słów uchodzących za mądre. Wszyscy byli zachwyceni. Gdy pojawiły się pytania z sali, okazało się, że jest ich tak dużo, że musiano spisać je na kartkach, więc kategorycznie odmówiłem dalszego plecenia andronów i zażądałem zakończenia spotkania. Uproszono mnie jednak, abym podpisał kilka książek. Postawiłem parę nieczytelnych hieroglifów na kartach tytułowych, między innymi tomu należącego do wytatuowanego w samoloty młodzieńca, w którym rozpoznałem tego, co wspinał się na rusztowanie, a teraz zaczerwieniony z przejęcia wepchnął się w kolejkę. Następnie uciekłem do toalety. Tam przydybał mnie Kluska i osłoniętego marynarką przed oszalałymi fanami poprowadził do samochodu.

Okazało się, że to tylko początek mojej gehenny, ponieważ festiwal miał trwać jeszcze kilka dni. Przez ten czas wożono mnie po najrozmaitszych księgarniach, bibliotekach i klubach książek, gdzie powtarzał się rytuał: jupitery, piski, plecenie trzy

po trzy i podpisywanie książek. W tym ostatnim doszedłem do takiej wprawy, że mój bazgroł zaczął nawet przypominać podpis prawdziwego Lema, który pokazano mi na przenośnym ekraniku. Opanowałem też w miarę metodę odpowiadania na pytania: gdy pytali o biografię, milczałem, zasępiony, dzięki czemu nie łapano mnie na pomyłkach, a brano to za świadectwo traumatycznych przeżyć z przeszłości, kiedy zaś schodziło na twórczość, opowiadałem po prostu o swoich przygodach, co każdorazowo wiązało się z zachwyconymi westchnieniami. Z rzadka tylko wprowadzałem prowadzących i widzów w widoczną konfuzję, jak wtedy, gdy odruchowo i zgodnie z prawdą powiedziałem, że na planecie Solaris nie ma i nie może być żadnego oceanu, bowiem jak sama nazwa wskazuje, jest ona położona blisko macierzystej gwiazdy i na powierzchni panuje nieznośna spiekota. Ogólnie jednak szło mi dobrze, choć było to wszystko nieznośnie męczące. Udało mi się nawet na prowadzącej jedno ze spotkań, blond piękności nazwiskiem Łasicewska, zrobić takie wrażenie, że chciała mnie koniecznie zaprosić do pracy w jakimś czasopiśmie. Wymówiłem się uprzejmie, ale kategorycznie domagała się mojego adresu emaliowego, na co odparłem bezczelnie, że posiadam tylko adres akrylowy i uciekłem.

Na szczęście jednak festiwal w końcu dobiegł końca. Kluska i Eltyniak podziękowali mi serdecznie, ściskając wielokrotnie dłoń, zaś Grześkowiak dał mi nawet całusa w policzek. Następnie poszli sobie, zostawiając mnie w końcu samego. Zanim jednak zdążyłem się choćby zastanowić, co dalej, zjawił się boy hotelowy i poinformował mnie, że w ciągu godziny muszę opuścić pokój, ponieważ nikt go dalej nie opłaca. Tak wylądowałem na ulicy.

Kręcąc się po Krakowie i drżąc z zimna, bo był to listopad, zauważyłem urząd pocztowy. Wszedłem do środka i zażądałem telefonu, ale panie w okienkach tylko spojrzały na mnie dziwnie. Wobec tego domagałem się książki telefonicznej, a gdy i to nie wywołało reakcji, zacząłem robić chryję. Poinformowano mnie, że urzędy nie gwarantują połączeń telefonicznych (!), a także, że nie ma już czegoś takiego jak książka telefoniczna (co za barbarzyńskie czasy!) i wyproszono. Zrozpaczony, usiadłem na ławce, gotowy spędzić na niej noc.

Przede mną zatrzymała się jednak droga limuzyna, a ktoś ze środka otworzył drzwi. Nie widząc innego wyjścia, wsiadłem, aby zobaczyć w środku przysadzistego jegomościa z siwą brodą, który w kołnierz koszuli wepchniętą miał jedwabną apaszkę czy inny fular, kojarzący mi się nieprzyjemnie z chustką do nosa. Już samo to wystarczyło, abym zapałał doń antypatią, jednak w limuzynie było ciepło.

Jegomość przedstawił się jako Józef Maria Ryszard, przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, i ogłosił, że ma mi zaproponować stypendium, bowiem ministerstwo czuje się odpowiedzialne za narodowy skarb, jakim jestem i tak dalej. Pomyślałem, że nie jest to taki głupi pomysł, bo przecież i tak nie miałem co ze sobą zrobić ani gdzie się podziać. Zgodziłem się więc ochoczo. Wywieziono mnie za miasto do wielkiego, betonowego budynku, w którym pokazano mi malutką, bezokienną klitkę, mającą być moim pokojem. Składała się ona z kilku metrów kwadratowych, w które wstawiono obskurne łóżko, krzesło, mały stolik i maszynę do pisania. Jużem odwracał się, żeby zapytać, co to ma znaczyć, gdy zatrzasnęły się za mną stalowe wrota, a z wizjera szczerzyła się do mnie twarz Józefa Marii Ryszarda.

– No, panie Stanisławie! Za pana wskrzeszenie nikt nie zapłacił ze szczerego serca, pora zapracować na chleb! – Zawołał, potwierdzając moją pierwszą opinię o nim, po czym zniknął, zamykając za sobą wizjer.

Usiadłem na łóżku i załkałem, bowiem położenie moje było nie do pozazdroszczenia. W ciągu tygodnia zostałem dwukrotnie uprowadzony, w tym raz ze swojego własnego ciała, wystawiony na użytek publiczny, wielokrotnie obrażony i obśmiany, a teraz zamknięto mnie w celi jak jakiegoś Świętego Elektrycego i kazano odrabiać pańszczyznę. Niedoczekanie!!!

Pojmowałem jednak, że niczego nie uda mi się przedsięwziąć, jak długo zostanę uwięziony, postanowiłem więc przez jakiś czas grać na zwłokę. Obecność maszyny wraz z ryzą papieru wyraźnie wskazywała, że oczekuje się ode mnie pisania książek. Nie miałem jednak pojęcia od czego zacząć, więc gdy podano mi posiłek (chleb i woda), zażądałem swoich, to znaczy Lema, książek, tłumacząc się twórczą amnezją. Szybko dostarczono mi przypadkowy tomik tego tajemniczego autora i zasiadłem do lektury, żując chleb.

Cóż to było za horrendum! Książka fantastyczna, duby smalone, jakich świat nie widział, pełne stylistycznych wygibasów tak hardych, jakby autor w życiu słowa po ludzku nie napisał, a dotyczące spraw tak durnych i abstrakcyjnych, że nie pojmowałem, jak ktokolwiek mógł uznawać te śmieci za wartościową literaturę. Czego tam nie było! Mózgi elektronowe bez świadomości (dyskryminacja kalkulatorów najwyraźniej była jeszcze w modzie!), podróże gwiezdne do miejsc nieistniejących, a jeśli już do istniejących, to pełne niepoważnych wymysłów, postaci wreszcie posługujące się nomenklaturą kosmicznych piratów, korzystające z takich wulgaryzmów jak „ciąg w osi". Przyparty do muru, pojąłem jednak, że naśladowanie tej grafomanii nie będzie niczym trudnym. Książka zaczynała się tak:

„»Niezwyciężony«, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru".

Zasiadłem więc do maszyny i napisałem coś takiego:

„»Nieustępliwy«, pancernik pierwszej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała Flota we wszystkich okolicznych konstelacjach, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru Liry".

Następnie dodałem do tego jakąś smutną fabułkę o kontakcie ras, postać astrogatora (co za słownictwo, fuj!), który miał moralne rozterki, ludzi, co chcieli całą planetę w puch rozbić i tego typu bzdurki, a potem zdałem maszynopis. Chyba się spodobał, bowiem następnego dnia poza chlebem

i wodą dostałem paczkę keksów i herbatę, a także przykaz, żeby napisać coś dłuższego.

Chcąc nie chcąc, siadłem znów do maszyny i napisałem przeraźliwie głupią książkę o tym, jak niejaki Chris Chlevin, psycholog-cybernetyk przylatuje na planetę pokrytą budyniem, lecz budyń ten okazuje się być inteligentną istotą, która przywołuje z otchłani Mnemozyny dawno zmarłą matkę Chlevina, robiącą mu wyrzuty o to, że ją zabił, podając jej złą dawkę waleriany. Niestety, ten rękopis odrzucono, nie podając powodu.

Znów usiadłem do maszyny, tym razem tworząc apokryf niejakiego Todda Howardda, fikcyjnego naukowca, któremu powierzono zadanie odkodowania sygnału nadanego przez obcą cywilizację. Okazuje się, że zawiera metodę mnożenia drożdży na odległość, przez co światu całemu zagroziło wyrośnięcie i wykipienie poza atmosferę – i nie była to nawet historia zmyślona, bowiem widziałem to osobiście na planecie Dzieżazji. Maszynopis znów został odrzucony.

Kolejna próba to była książka o rozbitkach międzygwiezdnych, którzy omyłkowo roztrzaskali swoją rakietę; akcja przebiegała dwutorowo, bo z jednej strony usiłowali naprawić pojazd, z drugiej – zrozumieć, co dzieje się na planecie, na której mieszkały stworzenia wielkości mrówek, tworzące demokrację idealną, co nie chciało się kosmicznym robinsonom zmieścić w głowach. Tym razem Ryszard zdenerwował się tak bardzo, że zabrał mi siennik. Łóżko wymościłem zwróconym maszynopisem i odtąd spałem na zadrukowanych kartkach, brudząc sobie plecy tuszem.

Zdesperowany, spisałem własne wspomnienia z podróży na planetę Fikcyję, gdzie wysycona chemikaliami atmosfera powoduje rozmaite halucynacje, jednak przeniosłem akcję do wymyślonego miasta na Ziemi i dodałem do niej refleksję nad przeludnieniem, bowiem pamiętałem, że w wieku XXI było to największe zmartwienie ludzkości. Starałem się rozpaczliwie, aby całość była tak samo bełkotliwa i niezrozumiała jak książka, którą przeczytałem wcześniej. Ryszard jednak odrzucił i ten ostatni maszynopis.

Nie wiedziałem już, co mam robić – głupszych fabuł nie byłem w stanie spłodzić, zresztą honor pisarza mi na to przecież nie pozwalał! Położyłem się więc na wyłożonym swoją twórczością łóżku i tak leżałem w ramach strajku, wobec czego zaczęto zmniejszać mi porcje chleba, aż zacząłem dostawać same skórki i piętki. Żując je, ponuro rozmyślałem o widokach na przyszłość: wydostać się z klitki nie mogłem, nikogo poza Ministerstwem Kultury najwyraźniej mój los nie obchodził, zaś zupełnie odrębnym problemem pozostał powrót do mojego własnego życia i ciała. Ponieważ sprawa wydawała się beznadziejna i pomyślałem, że oto chyba nadszedł kres moich podróży, zachciało mi się płakać i byłbym się rozełkał, gdyby nie to, że nagle z łomotem na środku klitki pojawił się chronocykl – a na nim ja!

Okazało się bowiem, że przygoda, którą właśnie przeżywałem, odbyła się ZANIM przeniesiono mnie w przyszłość celem kierowania TEOHIPHIP-em, a ten przyszłościowy ja nie był przecież głupi i świadom tego, co przeżywałem, a raczej sam przeżywał, zamknięty w malutkiej komórce z samą maszyną do pisania, wrócił po mnie. Błyskawicznie, zanim ktokolwiek się zorientował, wsiadłem z nim na chronocykl i odstawiono mnie do własnej kuchni, kilka godzin po tym, jak zasnąłem.

– Zaraz – zapytałem trzeźwo. – Czy teraz nie będzie tutaj dwóch Tichych? Przecież ciało moje zostało na kanapie!

– Nie – odparłem tamten ja, odpalając chronocykl. – Bo służący wyrzucił twój zewłok bez czucia na śmietnik. Muszę uciekać z powrotem do roboty – powodzenia!

Ja również życzyłem mu szerokiej drogi. Wyczerpany po podróży, naparzyłem sobie ziółek, po czym wróciłem do zbierania wciąż rozrzuconych po salonie śrubek. I na tym skończyłaby się ta historia, gdyby nie to, że idąc do śmietnika, nieopatrznie spojrzałem w lustro wiszące w przedpokoju. Oto bowiem zamiast swojej znajomej twarzy ujrzałem tam łysą czaszkę z kępkami siwizny nad uszami, włosy w nosie, odstające małżowiny i grube okulary-denka – paskudną gębę mojego surogata!!!

Na szczęście jednak przyjaciół poznaje się w biedzie. Zatelefonowałem do Tarantogi, który pomógł mi odszukać moją skorupę na pobliskim wysypisku śmiecia, a następnie zorganizował transfer świadomości specjalną maszynką importowaną z Brazylii, gdzie miał jakieś znajomości na uniwersytecie. Dopiero gdy poddałem się tej operacji, mogłem odetchnąć z ulgą i uznać podróż za skończoną. Zewłok zaś mojego surogata z XXI wieku kazałem zalać formaliną i ustawić w gabinecie wraz z kolekcją meteorów – jako pamiątkę tej przedziwnej przygody.

Marcin Świątkowski – literaturoznawca, lemolog-amator, wiceredaktor naczelny kwartalnika „Kontent", publikował recenzje, szkice i czasem (pod pseudonimami) opowiadania między innymi w „Małym Formacie", „Wizjach", „Artpapierze" i „Krakowie".

Wrzesień 1921 roku

Zebrał Krzysztof Jakubowski

Komunikat z „Głosu Narodu”: „Z powodu epidemii czerwonki, panującej z dużym nasileniem w zachodniej Małopolsce, Naczelny Komisariat do Walki z Epidemiami w Warszawie zarządził natychmiastowe zaniechanie wszelkich tłumnych pielgrzymek do miejsc odpustowych”.

☞ **1 września.** Z kroniki „IKC”: „Fałszywą informację o rozpoczęciu roku szkolnego 15 września podał redakcjom gazet jakiś nieodpowiedzialny osobnik, przedstawiając się jako »profesor gimnazjalny«. Jaki cel miało to indywiduum w mistyfikacji pism, nie wiadomo”.
☞ **1 września.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Zjazd chrześcijańskich dróżników z zachodniej Małopolski odbędzie się w niedzielę 18 września o 11 przed południem w sali przy ul. Andrzeja Potockiego 11. Na porządku dziennym sprawa poprawy bytu dróżników oraz sprawy organizacyjne”.
☞ **1 września.** I raz jeszcze ta sama kronika „IKC”: „Przed paru dniami podaliśmy smutny fakt zamknięcia kościoła św. Wojciecha. Członkowie komitetu odnowienia kościoła zwracają się za naszym pośrednictwem do Rady Miasta, by zechciała zająć się dalszą restauracją tego starożytnego kościółka, przez zatwierdzenie gotowych już planów utworzenia wokół niego okopu dla osuszenia murów i fundamentów, leżących poniżej obecnej powierzchni Rynku”.
Plany gruntownej restauracji z wyeksponowaniem romańskich reliktów kościoła udało się zrealizować dopiero w latach 1963–1966.
☞ **2 września.** „Magistrat, uwzględniając brak paszy dla bydła, postanowił zezwolić na wypas bydła do końca obecnego sezonu na całym obszarze toru powyścigowego. Wyjaśnień udziela, jako też ewentualne zgłoszenia przyjmuje Wydział I magistratu, oficyny, II p., pok. 33 w godz. 11–1”.
Tor po wyścigach konnych (odbywały się w latach 1891–1913) rozciągał się pomiędzy dzisiejszymi ulicami Piastowską, Reymana, Reymonta i al. 3 Maja. Nowe zagospodarowanie tego sporego terenu rozpoczęto budową stadionu TS Wisła w 1922 roku.
☞ **3 września.** „Szkoła szoferska, pierwsza w Polsce, otwarta została w Krakowie, przy ul. Smoleńsk 29. Założycielami szkoły są znani automobiliści, b. oficerowie korpusu samochodowego inż. Eugeniusz Mierzejewski i Wilhelm Ripper. Po powitaniu przybyłych przez kierowników szkoły, dowódca korpusu samochodowego mjr Tadeusz Piotrowski w rzeczowym przemówieniu wykazał konieczność istnienie takiej szkoły, por. Ripper przedstawił dzieje powstania samochodu, a inż. Mierzejewski zaznajomił obecnych z jego konstrukcją” – relacjonował „IKC”.
☞ **3 września.** Pod tytułem *Zmiana ról*, „Głos Narodu” odnotował: „Wczoraj aresztowano 15-letniego Rudolfa Kluskę, który na Plantach łapał ptaki w sidła”.

„Szkoła szoferska, pierwsza w Polsce, otwarta została w Krakowie przy ul. Smoleńsk 29. Założycielami szkoły są znani automobiliści, b. oficerowie korpusu samochodowego, inż. Eugeniusz Mierzejewski i Wilhelm Ripper. Por. Ripper przedstawił dzieje powstania samochodu, a inż. Mierzejewski zaznajomił obecnych z jego konstrukcją”.

Anons reklamowy firmy Karola Markusa z 1899 roku, archiwum autora

Kościół św. Wojciecha z otoczeniem w pierwotnym kształcie, widokówka, ok. 1935, archiwum autora

Portret Juliana Pagaczewskiego, autorstwa Stanisława Wyspiańskiego, pastel, 1904, Muzeum Narodowe w Warszawie

Aleksander Węgierko (1893–1941), wybitny aktor i reżyser, w latach 1921–1923 dyrektor Teatru Bagatela, patron teatru w Białymstoku, fot. 1938, NAC

☞ **4 września.** Prasa relacjonowała otwarcie Miejskiego Teatru Opera i Operetka w siedzibie zlikwidowanego Teatru Powszechnego przy ul. Rajskiej 12.
☞ **4–5 września.** W dziennikach ukazały się nekrologi Karola Markusa (1855–1921), b. radnego miejskiego, prezesa Towarzystwa Wzajemnej Pomocy. Zmarły był też przedsiębiorcą, pionierem wykonawstwa nowoczesnych instalacji sanitarnych.
☞ **5–6 września.** Po kolejnym pęknięciu rury wodociągowej miasto zostało na 36 godzin pozbawione wody. Gazety zgodnie piętnowały Zarząd Wodociągu Miejskiego za brak nadzoru i opieszałość. Znów odezwały się głosy, by odkopywać zasypane przed 20 laty studnie.
☞ **7 września.** „Policji udało się wpaść na trop tajnej palarni opium w Krakowie. Oto w jednej z will za parkiem Krakowskim miała sobie urządzać potajemne schadzki »elita« krakowskiego towarzystwa, celem oddawania się zabójczemu nałogowi. Schadzki odbywały się z zachowaniem ostrożności Dostęp możliwy był jedynie dla »wtajemniczonych«, obsługa była kobieca. Dalsze dochodzenia naświetlą nam zapewne mroki tej tajemnicy" – relacjonowała „Nowa Reforma".
☞ **8 września.** Komunikat z „Głosu Narodu": „Z powodu epidemii czerwonki, panującej z dużym nasileniem w zachodniej Małopolsce, Naczelny Komisariat do Walki z Epidemiami w Warszawie zarządził natychmiastowe zaniechanie wszelkich tłumnych pielgrzymek do miejsc odpustowych".
☞ **9 września.** Z kroniki „Głosu Narodu": „Naczelnik Państwa zamianował dra Juliana Pagaczewskiego, nadzwyczajnego profesora historii sztuki, zwyczajnym profesorem tego przedmiotu w Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor Pagaczewski zamianowany został równocześnie dyrektorem uniwersyteckiego Muzeum Sztuki i Archeologii".
Młodszy syn profesora – Stanisław Pagaczewski – był cenionym autorem książek o tematyce krajoznawczej. Największą popularność przyniosła mu jednak oryginalna powieść dla młodzieży Porwanie Baltazara Gąbki.
☞ **9 września.** „Ksiądz Franciszek Golba zwraca się do nas z prośbą o poparcie ochronek w Dębnikach i Zakrzówku, prowadzonych przez zakonnice. Ochronkami tymi zajmuje się Komitet Ochronek, który jednak z powodu niedostatku funduszów wypłaca siostrom w tych ochronkach zaledwie 1400 marek rocznej pensji. Ponieważ oba te zakłady niosą pomoc opuszczonej dziatwie, maja prawo zakołatać o pomoc do społeczeństwa. Ks. Golba składa na ten cel 150 marek" – zwracała się z apelem „Nowa Reforma".
Budynek ochronki dębnickiej przy ul. Konfederackiej 18 przetrwał, choć pełni dziś inne funkcje. Ochronka zakrzowiecka przy ul. Twardowskiego 90 funkcjonuje jako przedszkole w nowym budynku (stary zburzono w 2009 roku).

☞ **9 września.** Tytuł z „Głosu Narodu" nie pozostawiał wątpliwości: „Żydzi agitatorami antysemityzmu". W krótkim felietonie nieznany autor rozwijał tę oryginalną tezę...
☞ **11 września.** Komunikat z „Nowej Reformy": „Jest do odebrania na policji waliza z krokodylowej skóry z przyborami do podróży, którą Aron Rozenzweig, kupiec z Tarnowa, znalazł w dorożce nr 108".
☞ **12 września.** Z kroniki „IKC": „Hrabia Andrzej Potocki ofiarował na Wawel wielki namiot turecki, pochodzący spod Wiednia. Przepiękny ten okaz stanowić będzie prawdziwą ozdobę jednej z sal przeznaczonej na zbrojownię".
☞ **12 września.** Jak podaje ta sama kronika: „Za lichwę bilem skazał Urząd Walki z Lichwą Jana Gondka, właściciela masarni, na grzywnę 5 tys. marek i trzy dni aresztu".
„Bil" to używana lokalnie w Małopolsce – sporadycznie jeszcze po dziś dzień – nazwa niesolonej słoniny.
☞ **12 września.** „Głos Narodu" zamieścił notatkę *Żyd szpiegiem niemieckim*: „W ostatnich dniach aresztowano w Krakowie Hansa Hirscha, lat 26, podającego się za kupca z Wiednia, byłego rezerwowego oficera austriackiego. Aresztowanie nastąpiło na skutek silnego podejrzenia, że Hirsch uprawia szpiegostwo na rzecz Niemiec. Podczas rewizji znaleziono przy aresztowanym obfity materiał obciążający".
☞ **15 września.** Komunikat z „Czasu": „Oczyszczalnia miejska obok dworca osobowego kolei w Krakowie od dn. 9 bm. znowu została uruchomiona i jest czynna codziennie od 3 po południu do 11 wieczorem, w niedziele i święta od 7 do 11 wieczorem. Kąpiele, jak i nocleg przy oczyszczalni, są bezpłatne".

Z kroniki „IKC" 1 września 1921 roku: „Fałszywą informację o rozpoczęciu roku szkolnego 15 września podał redakcjom gazet jakiś nieodpowiedzialny osobnik, przedstawiając się jako »profesor gimnazjalny«. Jaki cel miało to indywiduum w mistyfikacji pism, nie wiadomo".

☞ **16 września.** „Dziś otwarcie Szkoły Dramatycznej, w Instytucie Muzycznym (ul. św. Anny 2). Wykład wstępny wygłosi p. reż. Aleksander Węgierko. Początek o godz. 5 i pół popołudniu. Wpisy przyjmuje kancelaria Instytutu od godz. 11 do 1 i od 4 do 6 popołudniu" – donosił „IKC".
Żywot dwuletniej Szkoły Dramatycznej, powstałej pod egidą Teatru Bagatela, nie był długi. Solidne przygotowanie do zawodu aktorskiego dawała dopiero otwarta w sierpniu 1946 Państwowa Szkoła Dramatyczna, poprzedniczka

dzisiejszej Akademii Sztuk Teatralnych. Jej pierwsza siedziba mieściła się przy ul. Szpitalnej 40.

16 września. „Jak się dowiadujemy, we czwartek 15 bm. przyjeżdża do Krakowa delegacja fińskiego sztabu generalnego pociągiem warszawskim. Delegacja zwiedzi zabytki Krakowa, oglądnie saliny wielickie i następnego dnia odjedzie do Zakopanego" – odnotowała „Nowa Reforma".

„Policji udało się wpaść na trop tajnej palarni opium w Krakowie. Oto w jednej z will za parkiem Krakowskim miała sobie urządzać potajemne schadzki »elita« krakowskiego towarzystwa, celem oddawania się zabójczemu nałogowi. Schadzki odbywały się z zachowaniem ostrożności. Dostęp możliwy był jedynie dla »wtajemniczonych«, obsługa była kobieca".

18 września. Komunikat z „Nowej Reformy": „Ambulatorium Kliniki Chorób Wewnętrznych rozpoczyna pracę w środę 21 bm.; udziela porady lekarskiej tylko chorym notorycznie biednym. Godzina przyjęć 8 rano".

19 września. Jak donosił „IKC": „Wacław Szymanowski, znany artysta-rzeźbiarz, przenosi się w tych dniach na stałe z Krakowa do Rzymu. Sprawa pomnika Chopina w Warszawie, którego twórcą jest jak wiadomo p. Szymanowski, nie została jeszcze załatwiona z braku funduszy w komitecie warszawskim. Część pomnika (górna) znajduje się w odlewni paryskiej, część dolna w magazynach firmy Glob w Krakowie".

To raczej mało znany fragment historii jednego z najbardziej znanych polskich pomników. Odsłonięto go w warszawskich Łazienkach dopiero w listopadzie 1926 roku.

21 września. Z kroniki policyjnej „Czasu": „Policja aresztowała Izaaka Berekbauma (lat 17) z Opoczna w chwili, gdy rozdawał na ulicach miasta odezwy komunistyczne w języku polskim i żargonie żydowskim. Berekbaum tłumaczy się, że odezwy te za nieznaczną opłatą dał mu do rozdania jakiś nieznany mężczyzna".

22–23 września. Wszystkie dzienniki zamieściły informację o wizycie delegacji dziennikarzy z Danii, Norwegii i Szwecji. Gości podejmował Syndykat Dziennikarzy Krakowskich.

23 września. „Mizeria mieszkaniowa w Krakowie graniczy formalnie z katastrofą; przeszło 1000 rodzin urzędniczych znajduje się bez mieszkań" – alarmował w obszernym felietonie „IKC".

24 września. „Nowości Ilustrowane" zamieściły fotoreportaż z wizyty w Krakowie liczącej 100 osób delegacji lekarzy francuskich. Gości podejmowali krakowscy lekarze i władze UJ.

25 września. Z kroniki „Nowej Reformy": „Niejaka Józefa Kowalczykowa, stróżka kamienicy przy ul. Dajwór 20, doniosła policji, że właściciel tej kamienicy Leon Brand (były właściciel domu publicznego), napadł ją wczorajszej nocy w mieszkaniu i usiłował zgwałcić. Dopiero na wszczęty z jej strony alarm zaniechał tego zamiaru".

Brand był właścicielem największego w dziejach miasta domu uciech (30 pań), działającego przy ul. Starowiślnej 76. Tego rodzaju przybytki zlikwidowano ostatecznie do końca 1920 roku, egzekwując postanowienia ustawy z listopada 1919 roku.

26–30 września. Prasa opisywała obszernie kulisy zamachu na Józefa Piłsudskiego we Lwowie. W wyniku penetracji przez policję środowisk Ukraińców zamieszkałych w Krakowie, aresztowano w domu przy ul. Podzamcze 20 Eugenię Demydczuk, przy której znaleziono zdjęcie zamachowca.

29 września. „Onegdaj odbyło się poświęcenie dwóch budynków miejskich, wybudowanych przy ul. Słonecznej w dzielnicy Półwsie Zwierzynieckie. Oba budynki trzypiętrowe postawione z cegły w ślicznym położeniu, mieszczą 32 mieszkania i przeznaczone są dla rodzin urzędniczych i robotniczych. Miasto korzystało z trzy i półmilionowej pożyczki rządowej, resztę w wysokości sześć i pół miliona złotych wydało z własnych zasobów" – odnotował „IKC".

Domy te stoją do dziś po numerami 19 i 21 przy ul. Prusa, bo tego patrona otrzymała w 1955 roku dawna ul. Słoneczna.

28–30 września. Dzienniki podały informacje o wizycie w Krakowie ministra pełnomocnego i posła USA Hugh Gibsona. Kilka dni wcześniej odwiedził miasto poseł Japonii Toshitsune Kawakami. Poselstwa te podniesiono do rangi ambasad odpowiednio w 1930 i 1937 roku.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Daleka rozmowa w Rzymie

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcie:** zbiory dyrektora Teatru STU

Wtorek
Kilka lat później drugiego chłopczyka zbudził taki sam hałas za oknem. To całkiem możliwe. Zbudził albo nie pozwolił zasnąć. Coś jak przepastny oddech zwierzęcia przetykany jękami Guliwerów w krainie gigantów. Wierzył, iż niewidzialność ocali, więc nie zapalił lampki. Wstał najciszej, po omacku przysunął krzesło do okna, ukląkł na nim i tak czule przytknął oko do szpary rozchylonego pyszczka jednej z ryb płynących przez firankę, że nie spłoszył wyszywanej ławicy. Dalej wędrowały z zachodu na wschód, a on patrzył jak na rozległym placu zgarbione liliputy ciągną liny, budując namiot, jakiego świat nie widział. W ciemności rozrzedzonej nikłym światłem kilku reflektorów nieubłaganie rosła szara wyspa. Aż w końcu wszystko ucichło. Wszystko prócz zdumienia chłopczyka. Czy było tak?

Czwartek
Czy rankiem, wskazując palcem na okno, drugi chłopczyk zadał mamie to samo pytanie, które sześć lat wcześniej pierwszy chłopczyk, filmowy bohater, zadał swojej, tak samo zdumiony tym samym cudem szmacianej wyspy na środku lądu? Czy rzekł drugi: „Co to takiego?". A mama? Czy jak tamta, filmowa, odpowiedziała, mieszając lęk z fascynacją: „To cyrk. Jak będziesz niegrzeczny, oddam cię tym Cyganom!?". Gdy w mej opowiastce drugi chłopczyk się zdumiewa, jest rok 1976. Dzieło Krzysztofa Jasińskiego – Teatr STU – zmieniło opiekuna. Przeszło z rąk Zarządu Głównego SZSP w błyskające sygnetami palce Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, władających także światkiem klaunów, akrobatów oraz innych kuglarzy. I nowy pan daje w prezencie Jasińskiemu cyrkowy namiot przy ulicy Rydla 31 w Krakowie. Teatr STU był wtedy chłopczykiem – liczył lat ledwie 10. Dziś kończy 55. rok istnienia, a ja myślę, że jesienią roku 1976 mogła się w dziecinnym pokoju bloku przy Rydla 30 lub 32 zdarzyć samotnemu chłopczykowi rzeczona noc zdumienia, która zdarzyła się innemu w innej historii. Myślę tak, to zmyślam, bo szukam chwili, w której być może znajdzie się sedno 55 lat trwającej bajki Jasińskiego. Bajki, która... – jak wiele posiada masek?

Niedziela
Kto pragnie pewności – niech studiuje księgę Tadeusza Nyczka *Do STU razy sztuka. Opowieść teatralna*. Prawie 300 stronic sporych rozmiarów, mrowie zdjęć, plakaty i afisze, projekty. I godna słonia pamięć Nyczka, który był blisko STU od zarania STU. Jest w księdze wszystko. Kto pragnie pewności czasu przeszłego – niech wchodzi w ten Sezam, ale niech nie dochodzi do końca! Niech opuści finałowe 19 stron, gdzie drukowany jest spis wszystkich premier – od 1966 do dziś! 195 pozycji! Tak, tyle. 195! 195 iluzji wielkich, średnich i tycich. 195 złud w plenerze, w salach gigantycznych lub norach jak dziupla dzięcioła. 195 fantastycznych kłamstw – od podwawelskich widowisk na stada realnych koni, dziesiątki statystów i armię reflektorów wielkości ciężarówki każdy, po samotne, kieszonkowe monodramy, dobre do grania choćby w kuchni. I literatura! Jeśli nie świata całego, to połowy świata i każdej epoki, każdego języka. Awangarda i tradycja, dramatyczne sztuki i wiersze, powieści oraz poematy, groteska i powaga, ironia i dobroduszność, cokolwiek, wszystko. Nie wiem, czy wciąż jeszcze, lecz do niedawna Teatr STU jawił się jako legenda bitnej studenckości lat 60. i 70. ubiegłego stulecia. Troska o sprawy polskie, walka o wolność, baczenie na duszę narodu, zaangażowana publicystyka sceniczna oraz inne epitety stadnej szlachetności. I owszem, gdy spojrzeć choćby na trzy legendarne seanse: *Spadanie*, *Sennik polski*, *Exodus* – wspomniane epitety są celne. Lecz strzeliście w Polskę zaangażowany tercet – cóż znaczy pośród 192 pozostałych iluzji teatralnych?!

Spis wszystkich premier STU – od 1966 do dziś – to 195 pozycji! Tak, tyle. 195! 195 iluzji wielkich, średnich i tycich. 195 złud w plenerze, w salach gigantycznych lub norach jak dziupla dzięcioła. 195 fantastycznych kłamstw – od podwawelskich widowisk na stada realnych koni, dziesiątki statystów i armię reflektorów wielkości ciężarówki każdy, po samotne, kieszonkowe monodramy, dobre do grania choćby w kuchni.

Wtorek
Tak. Kto pragnie pewności i nie posłucha mnie – w połowie spisu wszystkich premier Teatru STU poczuje, że stracił pewność, którą zyskał, wędrując przez klarowną narrację Nyczka. Scześnie spokój, gdyż istnienie

STU, jak istnienie każdego teatru z krwi i kości, ma w sobie coś ze znikliwego istnienia Proteusza, który pasał focze trzody Posejdona i był fantastycznie nieuchwytny. Wirtuoz własnych niezliczonych masek, mistrz cyrkowej żonglerki swymi wcieleniami, klaun-kameleon, mitologiczny aktor, dla którego dowolne miejsce świata momentalnie zmieniało się jakby w otoczoną widownią arenę na dnie namiotu, choćby tego przy Rydla 31 w Krakowie jesienią roku 1976, albo pięć, sześć lat później. Orkiestra tusz! Światła! Przed państwem maestro Proteusz! I oto wbiega lew bądź tygrys albo wyrasta z piasku drzewo, albo spada spod kopuły skała, albo krąży nad areną smok, albo tańczy na piasku język ognia, albo strumień przecina arenę. Jest Proteusz, bo jest cokolwiek! Bywa wszystkim, więc mamy wszystko! Pewnie zatem był też brodatym wielkoludem, którego z początkiem lat 80. zeszłego wieku spotkałem w namiocie STU. Pokazywali sceniczne szyderstwo Alfreda Jarry'ego *Ubu król, czyli Polacy*, w roli naczelnej – sam Władysław Komar. Lecz tamtego wieczoru nie szło dla mnie o szyderstwo, o Jarry'ego bezlitosne wice z wszelkiej formy władzy, ze świata w ogóle. Nie chodziło o dwuznaczną moc ukochanego słówka Ubu, o to dla pensjonarek diabelskie słówko „Grrówno!". Znów byłem chłopczykiem, którym i tak byłem, bo chłopczyk się nie starzeje. Naraz, za sprawą cyrku, sztuki starej jak świat, odzyskałem chłopczyka, którego brała oto w swoje posiadanie tyleż ideologia, przesłanie, nauka albo intelektualizm, ile cudowność tajemnicy ulepionej ze szmeru piasku areny, zwałów nieruchomego powietrza pod kopułą, hipnotycznie długich promieni reflektorów i głosów dudniących w głośnikach skrytych chyba w zaświatach. O to chodziło. Dzięki iście pierwotnej teatralności,

na osnowie teatralnego żartu genialnego gówniarza powtórzonej przez Jasińskiego w miękkim domu klaunów Proteusza – mogłem zapytać, wskazując palcem zaludnioną malowniczymi istotami arenę: „Co to takiego...?". A gdyby matka zabrała mnie wcześniej, jesienią roku 1976, na ulicę Rydla 31 – dokładnie te same słowa niechybnie rzekłby chłopczyk we mnie, wskazując ciemną pustkę nad zdeptanym piaskiem, wiszące wysoko nad areną metalowe klatki i nieszczęśników w niby więziennych, niby szpitalnych uniformach koloru starego śniegu, które, jak teraz widzę, przyglądając się fotografiom z premiery zawrotnie cyrkowej powieści Michaiła Bułhakowa, miały ciemne kieszenie na wysokości serca, ciemne kołnierze i takie guziki. Lecz naprawdę smutna nie była monotonia biednych szat istot bez właściwości. Jak teraz widzę, naprawdę smutne były donikąd prowadzące ślady stóp wokół postaci bezwładnie leżącej na piasku. Znaki bezradnego kręcenia się w kółko, wydeptany schemat nieskończoności, krokami sklecony szyfr dla potomnych: „Nic więcej nie dało się zrobić...".

Czwartek

Tak, to była jesień roku 1976. Dwa lata po *Exodusie*, ostatniej części trylogii społecznie troskliwej, na otwarcie cyrkowego namiotu Jasiński daje widowisko buffo *Pacjenci*, seans na motywach *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa. W finale, tuż przed sceną wniebowstąpienia, tytułowi bohaterowie tańczyli walca, już zupełnie samotni, na dnie ogromnej ciemności, w ledwo żywym świetle. Cały czas słychać było szmer piasku pod nogami. A później, przez chwilę – już tylko sam szmer. Pamiętacie koniec *La Strady* Federica Felliniego, niezapomnianej elegii na odejście czułości? Gdy Gelsomina umiera, na powrót samotny Zampano pierwszy raz odkrywa w sobie płacz. Nie broni się. Pod jego zwierzęcym łkaniem słychać nocą monotonny szmer oceanu. Coś jakby brzmienie niepojętej wierności. Patrzę na jeszcze jedną fotografię bliską *Pacjentom*.

Sobota

Z lewej strony kadru – Krzysztof Jasiński. Czarne kręcone włosy do ramion, wąs czarny, oko lekko demoniczne. Z prawej – Federico Fellini w jasnej marynarce i czarnej koszuli. Szukam zdań, które pasowałyby do jego potężnej głowy. Są. Gilles Deleuze na kanwie siedmiu tomów Marcela Prousta. Ale niech te nazwiska nie płoszą. Wyciszam je. Niech starczą jedynie te słowa. „Dzieło sztuki znaczy więcej niż dzieło filozoficzne, gdyż to, co spowijają znaki, jest głębsze od wszelkich oczywistych znaczeń". I dalej: „To, co daje do myślenia, jest ważniejsze od samej myśli". Żeby znać to na wylot – Fellini nie musiał tego znać w ogóle. Jasiński – podobnie. Nie porównuję poziomu ich sztuki, to byłby idiotyzm czysty. Ja zestawiam tylko punkty wyjścia i dojścia. Chłopczyka z chłopczykiem. To znaczy – ciągłe zdumienie ze zdumieniem ciągłym. Zdumienia, o których tajemnice nie ma kogo pytać, więc pozostaje tylko tworzyć, próbować tworzyć ocalające znaki teatralne lub filmowe. Po prostu – opowieści, nie wykłady, wyjaśnienia, publicystyczne interwencje, referaty lub inne odezwy. Wracam do zdjęcia. Jest oto czerwiec roku 1977. Gorący Rzym. Właśnie skończył się seans *Pacjentów*, grany przez Teatr STU w Teatro Tenda – cyrkowym namiocie. Mistrz Bułhakowa przed chwilą poszedł do nieba, ulotnił się w szmerze piasku cyrkowej areny. Czy Felliniemu przypomniała się wtedy samotność jego Zampano, płaczącego wewnątrz mruku morza? Nie wiem. Nie wiem także, o czym po seansie *Pacjentów* rozmawiali w garderobie dwaj twórcy znaków. Pocieszam się tylko przeczuciem, że na dnie tej starej fotografii w jakiś nie do końca wytłumaczalny sposób skrywa się sedno proteuszowej natury Teatru STU. I raz jeszcze puszczam sobie film, który otwiera i zamyka opowieść.

Niedziela

Klauni. Tę przepiękną, cierpką elegię na odejście starej jak świat sztuki kuglarzy Fellini nakręcił ledwie siedem lat przed wieczorem, kiedy w Rzymie obejrzał w cyrku *Pacjentów* Teatru STU. Na początku jest chłopczyk i za oknem niepojęty zgiełk w środku nocy. Dalej – krzesło przy oknie, widok miękkiej wyspy, powoli rosnącej na placu pod oknami, bezradne zdumienie. Jeszcze dalej – pytanie o wyspę i odpowiedź pełna zarazem obawy i fascynacji. Po czym chłopczyk – wchodzi do cyrku na długo przed początkiem przedstawienia. Idzie między cudami iluzji, uczy się czystych znaków klauna, znaków tresera kucyków, znaków świateł, znaków sceny pustej i zaludnionej. Być może to miasto nazywa się Rimini, a filmowy chłopczyk nosi imię Federico i jeszcze nie wie, że kiedyś, już jako geniusz kina, nakręci film *Klauni* i inne, pełne ułomnej pamięci? Zostawmy to. Zostawmy resztę filmu, przywołajmy jedynie scenę ostatnią. Prezent dla Jasińskiego na urodziny jego długiej bajki.

Poniedziałek

Oto Fumagalli i Fru Fru, klauni starzy jak świat, w pustym cyrku spotykają się na środku areny, grając na trąbkach ciemną pieśń *Ebb Tide*. Każdy trąbi dla drugiego *requiem*, gdyż obu już nie ma. A nawet jeśli jeszcze, to niedługo. Po chwili znikają, prowadzeni smugą reflektora. Nie przestają grać. Zapada ciemność. *Requiem* chwilę jeszcze brzęczy.

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Tęcza nad Marienplatz

Tekst: Zbigniew Mentzel

Pod koniec roku 1981, kiedy komuniści za wszelką cenę postanowili bronić w Polsce swojej władzy przed „Solidarnością", Miłosz po raz pierwszy pojechał na Zachód.

Jurek, emigrant, aktor i reżyser teatralny, zaprosił go do Monachium. Mieszkał tam samotnie, niedaleko Marienplatz, w eleganckiej kamienicy, gdzie gość z Polski miał się na tydzień zatrzymać.

W trzydziestym roku życia Miłosz pierwszy raz leciał samolotem. Przed wyjazdem zadzwonił do kolegi ojca, wysłał mu upoważnienie i poprosił, żeby na konto Jurka w Deutsche Banku przelał tysiąc marek – pamiętne honorarium za reklamę Mercedesa we Włoszech.

Monachium go zachwyciło. Ponieważ Jurek, nocny marek, wstawał bardzo późno, Miłosz, jak mógł najciszej, wychodził z domu o szóstej rano popatrzeć na budzące się do życia miasto i dopiero po czterech godzinach wracał na śniadanie, które zawsze jedli we dwójkę.

Boże, jaki to Monachium miało zapach! Nie, nie jeden zapach. Różne strefy zapachów. Zapach benzyny, całkiem inny niż w Warszawie, delikatny, zapach kawy, zapach pomarańczy, zapach prażonych orzeszków, zapach świeżych ryb, zapach pieczonych kasztanów... Prawdziwa orgia zapachów odbywała się na Viktualienmarkt. Uśmiechnięte sprzedawczynie w kolorowych fartuchach rozkładały na stoiskach towary: różowe arbuzy i rabarbar, kosze pełne butelek wina, szwajcarskie sery, owoce Morza Północnego, rośliny ogrodowe, oliwki, grzyby... Pomiędzy stoiskami zachwycały Miłosza kamienne posągi, małe fontanny, wielki sztuczny krab, zdumiewające malowidła na ścianach pawilonów. No i sklepiki mięsne, których klienci mogli próbować po plasterku każdej wędliny świata.

Odurzony zapachami, jakie unosiły się nad Viktualienmarkt, Miłosz wracał do mieszkania Jurka, który już czekał na niego ze śniadaniem. Dopytywał się o życie teatralne w Polsce, tak mu kiedyś bliskie. Jakie spektakle były w ostatnich latach najlepsze, co grają w krakowskim Starym Teatrze?

Miłosz starał się zaspokoić jego ciekawość. Opowiadał o przedstawieniach Konrada Swinarskiego, który zginął w katastrofie samolotu pod Damaszkiem. Zwłaszcza o jednym przedstawieniu – porażającym, mówiącym o ludzkiej naturze rzeczy najbardziej bezwzględne. Po jego obejrzeniu Miłosz z przejęcia dostał w nocy silnej gorączki.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy Szekspira.

Rewelacyjny Wojciech Pszoniak w roli kapitana Parollesa, który schwytany podstępem przez żołnierzy własnego obozu udających bandę cudzoziemskich najemników nieprzyjaciela, podczas okrutnego przesłuchania zdradza haniebnie swoich przyjaciół, ale pociesza się szybko, bo uszedł z życiem. Wielki jego monolog, który Miłosz znał na pamięć: „Cóż, kapitanem nie będę już więcej, lecz pić, jeść będę i spać tak spokojnie jak ów kapitan (...) Mieczu mój, rdzewiej, rumieńce zblednijcie.

Dla wszystkich wszędzie jest miejsce i życie".

Swinarski słowami jednego z żołnierzy, którzy zaciągnęli się na wojnę, pyta: „Czy to możliwe, by wiedząc, kim jest, był tym, kim jest?".

– Wydaje mi się – mówił Miłosz – że w tym pytaniu chodzi nie tylko o Parollesa.

Po śniadaniu, w południe, kiedy Jurek zaczynał swoje wykłady dla studentów szkoły teatralnej, Miłosza czekał spacer do Ogrodu Angielskiego. Englischer Garten nad Izarą w samym środku miasta.

Cóż to było za miejsce! Miłosz nigdy w życiu nie widział zieleni tak intensywnej jak

Zbigniew Mentzel (urodzony w 1951 roku w Warszawie) – prozaik, eseista i felietonista (pisywał na łamach „Tygodnika Powszechnego" i „Skarpy Warszawskiej"). Opublikował między innymi *Niebezpieczne narzędzie w ustach* i *Spadający nóż*, powieść *Wszystkie języki świata* (finał Nagrody Nike), dwa tomy rozmów z Leszkiem Kołakowskim *Czas ciekawy, czas niespokojny* oraz biografię filozofa *Kołakowski. Czytanie świata*. Przez lata spekulował na rynkach finansowych – był laureatem Akademii Gry na Giełdzie z 1995 roku.

tam. Tarzał się w tej zieleni, kąpał, jak młodzi monachijczycy, w kilku bystrych potokach przecinających park.

No i sama Izara, piękna rzeka. Jurek uprzedził Miłosza, że nad Izarą może spotkać nudystów, ale nie jest to pewne, bo część mieszkańców miasta żąda, aby „zboczeńców" usunęła stamtąd policja. Już z daleka Miłosz zobaczył dwie starsze panie trzymające ogromny transparent z napisem:

NACKTE RAUS AUS DEM ENGLISCHEN GARTEN

Ale policji nie było. Szum Izary, która spływając ze skałek, tworzyła w zakolu rzeki niewielki wodospad, oszołomił Miłosza tak samo jak widok kilkudziesięciu nagich kobiet i mężczyzn oddających się wodzie. Był w ubraniu i nie chciał go zdejmować, ale nikt nie zwrócił mu uwagi, że zachowuje się niewłaściwie. Patrzył. Patrzył na piękną jak rasowa klacz czterdziestolatkę, która poczuła na sobie to spojrzenie i zrozumiała, że jest w nim podziw dla jej nóg, brzucha, piersi.

Uśmiechnęła się.

Miłosz odszedł w stronę chińskiej wieży, wypił tam ogromny kufel jasnego paulanera i zamówił bratwurst, białą smażoną kiełbasę, która smakowała mu tak bardzo, że mógłby jeść ją codziennie.

Zjadł, a potem zrobił sobie długi spacer na Marienplatz, gdzie usiadł obok fontanny ryb i zaczął obserwować ludzi, wielobarwny tłum turystów ze wszystkich krajów świata. Pomyślał o matce, o parku Praskim, do którego zabierała go, kiedy był jeszcze dzieckiem, o wypłowiałych trawnikach, obdrapanej koncertowej muszli, o brudnym kiosku Ruchu, i tak zrobiło mu się matki żal, że chcąc ukryć łzy, odwrócił głowę i spojrzał na rzygające wodą pyski ryb z fontanny.

Jednego dnia z sześciu spędzonych przez Miłosza w Monachium spadł deszcz, a po nim wyszło słońce i nad Marienplatz, nad Mariensäule, kolumną wzniesioną w siedemnastym wieku, pokazała się tęcza. Ludzie jak urzeczeni patrzyli w niebo na ten cud natury, długo, bardzo długo, aż zaczął się rozwiewać i w końcu zniknął. Miłoszowi zdarzało się co jakiś czas oglądać tęczę, ale tylko trzy razy zrobiło to na nim ogromne wrażenie: w dzieciństwie, nad Wisłą, kiedy srebrne brzany spławiały się pośrodku rzeki, w Monachium, na Marienplatz, a po raz trzeci w Auschwitz, gdy na kolanach modlić się tam będzie niemiecki papież Joseph Ratzinger, Benedykt XVI.

Zwiedzając Monachium, Miłosz nabrał przekonania, że Bawarczycy, a może wszyscy Niemcy, mają bzika na punkcie *perpetuum mobile*. Pierwszy prymitywny model takiego urządzenia, o którym słyszał, że porusza się wiecznie i samoczynnie, zobaczył jako dziecko na wystawie jakiegoś sklepu w Gdyni: żuraw bez końca połykał i wypluwał wodę do małego korytka; Miłosz nie mógł się od tego widoku uwolnić. Przeżył ogromne rozczarowanie, kiedy wujek Henryk wytłumaczył mu, że urządzenie napędzane jest elektrycznym silniczkiem; gdyby wyłączono prąd, żuraw zaryłby dziobem w korytko i już się nie podniósł. Czy Niemcy nie chcieli przyjąć do wiadomości, że zbudowanie *perpetuum mobile* jest niemożliwe?

Czy za nic mieli sobie entropię? Bo tam, w Monachium, tylko w samym centrum Miłosz natknął się na kilkanaście skomplikowanych modeli, w które wpatrywały się tłumy. *Perpetuum mobile* widywał we wnękach nad zabytkowymi bramami miasta, w parkach, na targu, wszędzie. Dlaczego Bawarczycy tak pokochali tę utopię? *Perpetuum mobile* – marzenie o nieśmiertelności, sen o potędze, która się nie skończy. A przecież ta potęga, jak każda inna, jest krucha, wystarczy chwila, żeby ją unicestwić, żeby w Monachium nie było już Marienplatz, fontanny rybnej, starego i nowego ratusza, Viktualienmarkt i Englischer Garten, żeby nie było tego całego pięknego miasta.

Na dwa dni przed powrotem Miłosza do Warszawy Jurek zabrał go pod Monachium do domu polskiej aktorki. Barbara w ogrodzie przez godzinę grała z Miłoszem w ping-ponga. A przy kolacji, którą przygotował jej przyjaciel, zdolny kompozytor jazzowy i saksofonista, zapytała:

– Po co ty właściwie wracasz do Polski. Mógłbyś zostać tutaj. Na stałe. Moja koleżanka pomogłaby ci się urządzić. Moglibyście nawet wziąć fikcyjny ślub. Musisz wracać?

– Nie będę brał żadnego fikcyjnego ślubu – powiedział Miłosz. – Wracam.

*

Kiedy późnym wieczorem Miłosz przyleciał do Warszawy z Monachium, jego rodzinne miasto było puste, ciche i ciemne.

W domu położył się do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć.

O ósmej rano poszedł w stronę placu Inwalidów kupić sobie coś do jedzenia. Szedł ulicą największego polskiego poety Adama Mickiewicza. Obok jatki, z której szczerzyły się puste haki, zobaczył na chodniku jakieś ulotki i podniósł jedną z nich. Spojrzał mu prosto w oczy roześmiany od ucha do ucha rzecznik rządu.

W spożywczym Miłosz kupił chleb, kawałek białego sera i herbatę. Wracając na Siemiradzkiego, przystanął pod sklepem z butami. Zajrzał do środka. Na półkach nie było ani jednej pary butów. Tylko na wystawie za brudną szybą stał samotny czarny but. Męski? A może jednak damski? Miał wysoki obcas i nie wiadomo dlaczego oblany był stearyną.

Ten but był ohydny i straszny. Tak ohydny i tak straszny jak stan wojenny, który za trzy miesiące wprowadzi w Polsce generał armii Wojciech Jaruzelski – syn tej ziemi z kainowym piętnem na łysinie.

„Cóżeś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie…”

(…)

Mieszkanie mieszkaniem, ale trzeba było z czegoś żyć. W stanie wojennym Miłosz odszedł z „Polityki” i nie miał pracy. Z rozwiązanego przez władze, ale działającego w podziemiu Związku Literatów Polskich dostał niewielkie stypendium. Choroba serca pozwoliła mu wystarać się o rentę inwalidzką trzeciego stopnia. Z dochodów, jakie mu to przynosiło, utrzymać się nie mógł. Wystarczały na czynsz i comiesięczne opłaty.

Zarabianie na życie piórem, do czego Miłosz podświadomie dążył, było w stanie wojennym marzeniem ściętej głowy. Redakcje czasopism pozamykano. Wydawnictwa odstępowały od zawartych wcześniej umów. Kto mógł z pisarzy i dziennikarzy próbował załatwić sobie licencję taksówkarza, kupował licznik, narażając się na szyderstwa reżimowych kolegów, że jedynym, co po sobie zostawi, będą ślady opon na polskich drogach.

Ale Miłosz uroił sobie, że napisze scenariusz filmu, którym zachwyci się cały świat. Pomysł naprawdę miał dobry: z Muzeum Narodowego w Oslo wykradzione zostało arcydzieło: *Krzyk* Edvarda Muncha. Kto mógł dokonać tej zuchwałej kradzieży? I w jakim celu, skoro tego obrazu, jednego z najbardziej rozpoznawalnych na świecie dzieł sztuki, niepodobna sprzedać?

(…)

Miłosz wolał swoją historię. Historię choroby dwóch osób: genialnego malarza, którego mania i lęki ujawniały się w burzliwych związkach z kobietami i narastającym problemie z alkoholem. I choroby złodzieja – człowieka pełnego udręki, rozpaczy, szaleństwa. Cóż z tego jednak, skoro temat Miłosza przerósł, nie mógł dać sobie z nim rady, nie potrafił go twórczo wykorzystać.

Dlaczego? Brakowało mu talentu? Z pewnością, ale problem krył się głębiej. Miłosz przekonany był o tym, że pisać – pisać dobrze – może tylko ktoś, kto żyje naprawdę, a nie na niby, kto ma związek z rzeczywistością, a nie – jak on – porusza się w jakiejś nierzeczywistości, no, może półrzeczywistości. Z marzeniami o pisaniu musiał pożegnać się na długo. Żeby zarabiać na życie, został korepetytorem.

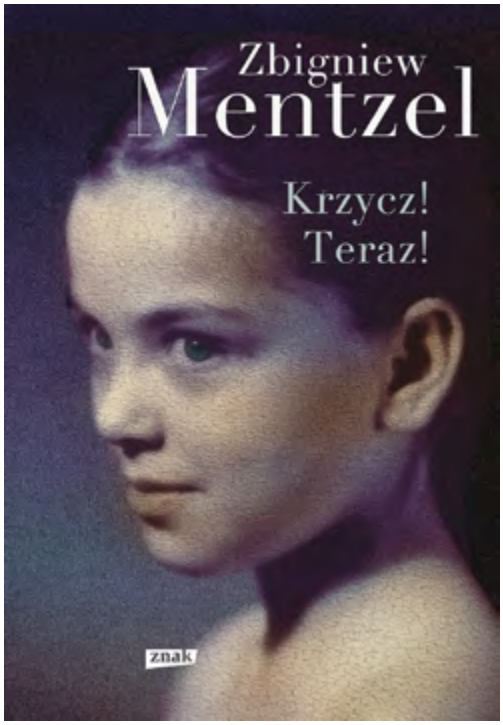

Fragmenty powieści *Krzycz! Teraz!*, która właśnie ukazuje się nakładem wydawnictwa Znak.

Moja piękna utopia

Tekst: Maria Malatyńska

Jakie będzie polskie kino po „złych czasach": po latach programowego populizmu, świadomego prymitywizowania każdej reakcji społecznej, niszczenia autorytetów, dzielenia, karania, odrzucania?

Jakie będzie po czasie pandemii, czasie wielu niepotrzebnych śmierci, bo medycyną zajmują się politycy, i po czasach „polityki", przeciwko której protestuje spora część społeczeństwa?

Czy kino powinno być kroniką naszej zapaści kulturowej i zdrowotnej, czy raczej antycypując głęboki regres w sferze relacji społecznych, powinno stwarzać obszar nadziei? Czy film, ten, który ma oddziaływać na naszą wyobraźnię, powinien być wizją czasu wciąż niewiadomego, czy też raczej ma być prostym powrotem do rzeczywistości, którą znaliśmy, przypomnieniem najprostszych uczuć: rodzinnego ciepła i bliskości? A może bajką? Może snem?

To poważne dylematy, bo nawet po „złych czasach" będziemy długo w stadium przejściowym. Będziemy „naprawiać" i „powracać", „przypominać" i „przepraszać" za lekkomyślność i pazerność tych, którzy wszystko zepsuli... A równocześnie po pandemii będziemy bez wątpienia inni. Będziemy inaczej patrzeć, inaczej odczuwać, innymi będziemy interesować się sprawami. Czy kino za nami nadąży?

Pytania te są zapewne przedwczesne, wszak „złe czasy" trzymają się jeszcze mocno, więc jakakolwiek wizja, którą tu spróbuję rozsnuć – będzie tylko utopią.

*

W ostatnich latach mocną stroną polskiej produkcji filmowej jest jej różnorodność zarówno tematyczna, jak i formalna, a co za tym idzie: oryginalność autorska. Świadomość bycia twórcą. Może dlatego trudno było u nas narzucać tematy i podstawiać sztucznych bohaterów. Tendencja polityczna, by tworzyć tylko filmy historyczne, wybiórcze, takie, jakie potrzebne są propagandzie państwowej, niemal nigdy się nie sprawdziła. Wymyślane i narzucane tematy rodziły filmy kiepskie, przypadkowe, sami twórcy się ich potem wstydzili. Tymczasem autorska różnorodność zawsze się sprawdza. Zwłaszcza teraz, gdy pandemia wstrzymała dystrybucję gotowych filmów i gdy wchodzą one obecnie na ekrany niemal wszystkie naraz. Widać, jak te nowe filmy potrafią się wzajemnie uzupełniać, jak wybrzmiewa w nich wielorakość emocji, jak odbijają stan umysłów, zakres zainteresowań, rzeczywiste i tłumione obawy.

Najgłośniej jest wokół dwóch tytułów.

Zeszłoroczny reżyserski debiut Jana Holoubka, czyli *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy* od początku był obsypywany nagrodami. Nadawał się. W dobie niszczonego oficjalnie prawa opowieść o dawnym wyroku za zbrodnię niepopełnioną musiała paraliżować, choć się dobrze kończyła. Jan Holoubek na zeszłorocznym festiwalu w Gdyni został nagrodzony za reżyserski debiut, zaś Piotr Trojan otrzymał nagrodę aktorską. A wśród publiczności pozostało cierpkie pytanie o istnienie w naszym kraju praworządności.

Siłą filmu opartego na faktach, gdzie fikcję zbudowano z ewidentnych motywów dokumentalnych, a rzeczywisty bohater zdarzeń pełnił przy produkcji funkcję konsultanta – co budziło niepokój, że sprawa jest zbyt świeża, zbyt medialna – była umiejętność pokazania problemu pozycji jednostki wobec prawa.

Kiedy dwa miesiące temu Jan Holoubek otrzymał liczne statuetki Orłów, czyli najwyższe polskie nagrody filmowe, oraz Nagrodę Perspektywa im. Janusza Morgensterna, w praktyce życia filmowego umocniło się przekonanie, że wierność faktom jest możliwa, a nawet konieczna, i może stać się zaczynem refleksji o prawdziwych problemach społecznych.

Taki film, funkcjonujący w głównym obiegu społecznym, wzbudza zainteresowanie innymi propozycjami reżysera. W tym wypadku jego emitowanym już w telewizji, ale obecnie kontynuowanym, kryminalnym serialem *Rojst* oraz nowym, będącym w realizacji, sześcioodcinkowym serialem o pamiętnej powodzi w Polsce w 1997 roku, zatytułowanym *Wielka woda*. Nagrody umacniają zainteresowania nie tylko reżyserem, ale są dowodem istnienia potencjału realizacyjnego, który tkwi w możliwościach kamery

filmowej. Ważne są tu wrażliwość, zdolność empatycznego reagowania i uważność.

Podobnie rzecz się ma z drugim zeszłorocznym łowcą laurów, czyli filmem Piotra Domalewskiego *Jak najdalej stąd*. W jego przypadku nagrody na festiwalu w Gdyni, Orły, a potem wyróżnienia zdobywane na zagranicznych festiwalach pokazują, że temat emigracji zarobkowych jest i będzie jeszcze, przynajmniej przez najbliższe lata, ważnym problemem społecznym, z którym polski film potrafi sobie poradzić, jak poradził sobie tu z mityczną Irlandią i ciężką robotą „na czarno" biednych Polaków. Pozwalają też na przekonanie, że i ten reżyser niejeden raz nas zaskoczy. Zresztą zaskoczył niemal natychmiast, gdy na zasadzie płodozmianu zrealizował serial o sprawach seksu zatytułowany *Sexify*. A w kolejce do kin ustawił film dziejący się w czasach PRL-u i opowiadający o wymierzonej w homoseksualistów haniebnej akcji SB o kryptonimie „Hiacynt".

Na wejście do kin czeka jeszcze trzydzieści innych gotowych dzieł, bo pandemia zatrzymała premiery, a zamknięte kina uniemożliwiły prezentacje. Ale to nie znaczy, że mamy kłopot nadmiaru. Dość powiedzieć, że jeden z tych oczekujących na premierę tytułów stał się właśnie filmem otwarcia Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. To obraz Jana P. Matuszyńskiego *Żeby nie było śladów* – rzecz o śmiertelnym pobiciu przez milicję Grzegorza Przemyka wiosną 1983 roku, oparta na reporterskiej i nagrodzonej Nagrodą Nike książce Cezarego Łazarewicza.

Te wszystkie filmy i mnóstwo innych będą istnieć. „Złe czasy" nie zabiorą ich ze sobą. Zwłaszcza że są chronione przez sprawnie działający system produkcyjno-dystrybucyjny, a także koprodukcyjny. Zresztą każde ogniwo tego łańcucha jest dobrze zorganizowane, począwszy od autorów filmowych. Już kilka lat temu nastąpiła zmiana pokoleniowa wśród twórców. Cały czas pojawiają się nowi twórcy. To nie wzięło się z niczego. Przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich znakomicie działa, na przykład, Studio Andrzeja Munka i jego system 30- oraz 60-minutowych filmów jako forma poprzedzająca pełnometrażowe już debiuty.

Osobną wartością są tak zwane filmy mikrobudżetowe. Sprawa stała się głośna rok temu, na poprzednim festiwalu w Gdyni, gdy takie właśnie formy pokazywane były na osobnym przeglądzie konkursowym. Nowe nazwiska twórców, nowe tematy, świeżość pomysłów i przede wszystkim całkiem nowi aktorzy – to wszystko było zapowiedzią dopływu nazwisk, tematów i filmów. Jeden z tych tytułów, wtedy nagrodzonych, wszedł teraz do oficjalnej dystrybucji. To *Ostatni komers* Dawida Nickela. Jeszcze pewnie o nim usłyszymy.

*

Pandemia pomogła jednej z ważnych dziedzin funkcjonowania kina: dystrybucji. Na zeszłorocznym festiwalu w Gdyni, który w całości odbywał się *online*, mówił o tym ówczesny szef jury, reżyser Lech Majewski.

W ostatnich latach mocną stroną polskiej produkcji filmowej jest jej różnorodność zarówno tematyczna, jak i formalna, a co za tym idzie: oryginalność autorska. Może dlatego trudno było u nas narzucać tematy i podstawiać sztucznych bohaterów.

Relacjonował, że nawet w Stanach Zjednoczonych, a więc sercu branży, zaczyna się brać pod uwagę możliwość równoczesnego rozpowszechniania filmów zarówno w kinach, jak i w sieci. I nie jest to walka między „salą" a „platformą", lecz zgoda na możliwość wyboru. Z pełną dbałością o najwyższą jakość utworu.

Ten temat pojawił się przy okazji walki z pandemią i z zamkniętymi kinami. Ale problem nie dotyczył tylko Hollywoodu, bo właśnie na tym festiwalu odbywającym się, powtórzmy, w sieci dystrybutor filmu *Śniegu już nigdy nie będzie* Małgorzaty Szumowskiej odmówił pokazania go *online* w czasie imprezy. Rezultat był taki, że tego konkursowego przecież filmu nie mógł obejrzeć nikt z festiwalowych gości i akredytowanych dziennikarzy. Zobaczyli go tylko jurorzy.

Ale i ta sytuacja już się zmienia. Pandemiczna rzeczywistość przynosi pod tym względem przełom. I dobrze. Przecież nie wiemy, ile jeszcze razy filmy w rzeczywistości kolejnych fal pandemii będzie można oglądać jedynie *online*.

*

Każdy film ma swojego autora – i to jemu przypisujemy sukcesy lub obarczamy go odpowiedzialnością za porażkę. To truizm, ale pomagający pamiętać, że kino jest sztuką specyficzną. Wszelkie określenie potrzeb odbiorcy, przekuwanie ich w temat, budowanie dramatu, znajdowanie formy przekazu – zależy od indywidualnej wrażliwości i od talentu twórcy. Ale potem zostaje to rozpisane na machinę działań technicznych i strukturę

licznych profesji filmowych, które składają się na całość dzieła. Na dodatek często decydująca jest kwestia wkładu finansowego, ułatwiająca lub wręcz umożliwiająca budowanie wymyślonej przez artystę rzeczywistości.

Kino jest więc sztuką drogą i to poniekąd zrozumiałe, że ktoś, kto wnosi finansowy wkład w powstanie dzieła, chce mieć wpływ także na jego ideowy, artystyczny czy jakikolwiek inny przekaz. Stąd – jeśli kasa pochodzi z kieszeni jednego „mecenasa" – płynie niebezpieczeństwo ulegania rozmaitym politycznym czy propagandowym naciskom.

Polskie kino będzie musiało przynajmniej częściowo zastąpić edukację, która upada, będzie musiało być czymś w rodzaju nowego „latającego uniwersytetu". Ale z tym film da sobie radę. Wszak od początku film był blisko ludzi, odpowiadał na ich niepokoje, przedstawiał im bohaterów, których mogli naśladować, był źródłem informacji, emocji, prawdy.

Czy polski film przyszłości będzie od tego zagrożenia wolny? W dużej mierze już jest, gdyż system finansowania kinematografii jest zorganizowany nieźle i się sprawdza. Wymarzonym mecenasem jest Polski Instytut Sztuki Filmowej. To wprawdzie urząd państwowy, ale jego fundusz przeznaczony na twórczość jest w dużym stopniu wkładem środowiskowym. I od początku funkcjonowania, czyli od 2005 roku, składa się z wpływów pochodzących także od dystrybutorów, bo z udziałów od każdego biletu kupionego w kinach w całej Polsce. Czyli w jakiejś mierze jest funduszem publicznym.

Jeszcze ciekawszą formą finansowania twórczości są tak zwane Regionalne Fundusze Filmowe. Powstało ich jak dotąd 11. Najstarszy działa w Łodzi już od 2007 roku, najmłodszy, warmińsko-mazurski jest o 10 lat młodszy. Dofinansowanie odbywa się ze środków samorządowych wyłącznie w drodze konkursu prowadzonego w bardzo przejrzysty sposób: komisja ocenia między innymi, czy projektowany film buduje pozytywny wizerunek regionu – w efekcie można dostać nawet połowę budżetu dzieła. Na dodatek fundusz czuje się potem odpowiedzialny za film, który współfinansował, liczy jego nagrody, promuje i tak dalej.

*

Cała ta struktura polskiej sztuki kina jest wypracowana i sprawdzona. Czy w jakiś sposób ją ogranicza? Może i tak. Ale przede wszystkim jest czytelnym zbiorem zasad, w ramach których jej osiągnięcia są łatwiej widoczne, a jej możliwości bardziej zrozumiałe. Wtedy można rzeczywiście uznać, że jest to sztuka prawdziwie wolna i że musi być wolna, nie należy jej czegokolwiek dyktować ani narzucać. Państwo powinno być dumne, że sztuka istnieje, że jest inteligentna i świadoma, bo to ona sama zna swoje obowiązki społeczne, patriotyczne i każde inne. W mojej utopii dojdą jej wkrótce nowe obowiązki: będzie musiała przynajmniej częściowo zastąpić edukację, która upada, będzie musiała być czymś w rodzaju nowego „latającego uniwersytetu". Ale z tym film da sobie radę. Wszak od początku istnienia był blisko ludzi, odpowiadał na ich niepokoje, przedstawiał im bohaterów, których mogli naśladować, był źródłem informacji, emocji, prawdy. Niektórzy mawiali, że potrafi również wychowywać czy kształtować świadomość społeczną – i też nie było w tym przesady. Wszak film zawsze był, jak to określił klasyk, sztuką „na wysokości oczu" człowieka. I mocno należał do swojego czasu.

*

Moja utopia męczy mnie, ponieważ prowokuje absurdalne skojarzenie. Plącze mi się w wyobraźni genialny, wysoko uplasowany w historii kina stary film (rok produkcji: 1925), stworzony w obcej rzeczywistości politycznej i historycznej. Wciąż widzę ostatnią jego scenę: gdy zbuntowani marynarze chcą wypłynąć z portu, ale uniemożliwia im to postawione naprzeciw, z bronią i z jednoznacznym, rozkazem wojsko. I wtedy pojawia się wielki napis: „Bracia!". Coraz większy, jak krzyk... I wojsko ustępuje. Gdy patrzyłam na niedawne, pokojowe marsze kobiet w obronie praw i wolności oraz postawione naprzeciw nich oddziały policyjne, to myślałam, czy choć jedna pałka by zadrżała, gdyby wszyscy krzyknęli to jedno słowo: „Bracia!"? Może więc kino nie ma aż takiej mocy, jakbyśmy chcieli? Nawet w ramach absurdalnej utopii?

Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Tomasz Kawecki, *Nie-miejsce no.11* (cykl *Przestrzeń biodegradowalna*)

Najmro. Kocha, kradnie, szanuje, reż. Mateusz Rakowicz

Tekst: Łukasz Maciejewski **Zdjęcie:** Łukasz Palka/za wiedzą i zgodą dystrybutora

„Ironia, kiedy zatracisz jej poczucie, ścina się w sarkazm. I co z niej wtedy? Sarkazm to ironia, która straciła duszę" – pisał Julian Barnes w *Zgiełku czasu*. *Najmro* Mateusza Rakowicza jest filmem ironicznym. Ironia wobec bohatera, wobec czasów, wobec sprawy. Ironia jako zamysł główny – ale ironia, a nie sarkazm. Idąc za myślą Barnesa, Najmro – chociaż kradnie, jest kochany. Ma duszę. Szacuneczek, panie Zdziśku.

Kino gatunkowe wciąż niektórym wydaje się mniej szlachetne. Co z tego, że horrory, kryminały czy melodramaty wygrywają światowe festiwale, zyskując przy okazji szeroką widownię? Na nieprzekonanych nie robi to większego wrażenia, nie zamierzam zatem domagać się nagłego zwrotu w postrzeganiu kina gatunkowego w Polsce. Wydaje się jednak, że *Najmro. Kocha, kradnie, szanuje* może przekonać również sceptyków. Debiut Rakowicza, którego bohaterem jest postać autentyczna – Zdzisław Najmrodzki, złodziej i przestępca, jest w istocie hybrydą kilku gatunków: komedią, kinem akcji i melodramatem w jednym.

Znamy te tytuły, Rakowicz nie zamierza ukrywać swoich fascynacji. *Wilk z Wall Street*, *Złap mnie, jeśli potrafisz*, *Porachunki*, *Ocean Eleven*. Niemożliwe staje się filmowo możliwe, a każdy kolejny dzień oznacza sto możliwości ucieczki, fantazji erotycznych, wygrania miliona i stracenia miliona. Kino daje taką szansę, ale tylko wtedy, kiedy postawi na właściwego bohatera. Taki był Frank Abagnale Jr w *Złap mnie...* czy Jordan Belfort w *Wilku z Wall Street*, taki jest również Najmro w interpretacji Dawida Ogrodnika. Przewodnik po ironii. Bez sarkazmu, proszę.

Najmro, Najmrodzki. Starszemu pokoleniu to nazwisko coś jeszcze powie, młodsi potraktują tę opowieść jako fantasmagorię z czasów PRL-u. I dobrze – film Rakowicza nie jest biografią (ani tym bardziej hagiografią) Najmrodzkiego, lecz fantazją na temat mechanizmu społecznego, w ramach którego spryt, wdzięk czy umiejętność pozyskiwania natychmiastowej sympatii ułatwiały większe lub mniejsze szwindle. Z reguły nie kończyło się to najlepiej dla zainteresowanego, ale obserwatorzy, w tym przypadku widzowie, będą usatysfakcjonowani. Perspektywa obserwatora jest przecież bezpieczna. Trochę zazdrościmy, wstydliwie kibicujemy oszustowi, ale w końcu nikt przy zdrowych zmysłach nie myśli o tym, żeby kopiować napady, szwindle i kradzieże.

Nazywano go „królem ucieczek". Dzisiaj o poczynaniach Najmrodzkiego pisałyby przede wszystkim tabloidy, gdzieś mignęło mi nawet trafne sformułowanie, że

był celebrytą półświatka kilka dekad zanim pierwszy raz usłyszeliśmy o celebrytach. W latach 70. i 80. ubiegłego wieku aż dwadzieścia dziewięć razy uciekał przed wymiarem sprawiedliwości. Jego wyczynami ekscytowała się cała Polska. Wyskakiwał z pociągu, korzystając z upojenia alkoholowego konwojentów, wymykał się z okratowanego pomieszczenia sądu w Gliwicach albo przebrany za milicjanta rejterował z warszawskiego pałacu Mostowskich. Kochał, kradł, czasami szanował, czasami był szanowany. Zwłaszcza przez tych, którzy w ucieczkach Najmrodzkiego dostrzegali wyrazistą paralelę polityczną: celowe ośmieszanie władzy. On sam uważał zresztą, że nie robi nic złego, okrada chory system. Nie był typowym przestępcą, nie używał środków przemocy, wolał lżejszy kaliber – obrabianie Pewexów, korzystanie z luk w zabezpieczeniach. Po jednym z procesów miał powiedzieć swojemu obrońcy: „Gdybym wiedział przed rozprawą, że jestem taki niewinny, jak mnie pan przedstawił w swoim przemówieniu, to bym w ogóle nie brał adwokata".

Zapomnijmy jednak o autentyku, film nie jest solenną biografią, ale mitem, a Najmro w wersji Ogrodnika i w wizji Rakowicza jest bohaterem romantycznym. Grzesznym, bo grzesznym, ale to wciąż romantyzm. Najmrodzki ma cel minimum oznaczający również maksimum: jak nie dać się złapać. A przy okazji, i to już jest kontekst widoczny przede wszystkim dla starszych widzów, Najmro jest buntownikiem. Funkcjonuje tak, jakby nie mieszkał w Polsce siermiężnej, skorumpowanej i szarej. Żyje brawurowo, stylem podejrzanym w folderach z RFN-u albo w amerykańskim filmie gangsterskim. Nie ma Ameryki w Polsce, to sam robi sobie tę Amerykę. Seks, kłamstwa i adrenalina.

Filmowy Najmrodzki kradnie, bo lubi. Dyskotekowy szał z piosenki Anny Jantar to również szaleństwo tamtych czasów. Z jednej strony bida, komuna i mundury wojskowe, z drugiej, rozgrzany do czerwoności parkiet, szelmowskie wąsiki Leôncia z *Niewolnicy Isaury*, dżinsy z Turcji, klepane fury, różowe mini spódniczki, fryzury *à la* „mokra Włoszka". Karuzela kręciła się w rytm hitów Izy Trojanowskiej i Maanamu, a im szarzej i smutniej było dookoła, tym bardziej była rozbujana. Najmrodzki chciał kolorów: oranże, żółcie, fiolety. Miał furę, miał koszulę, miał wąsa – a w końcu, jak twierdził Salvador Dalí, „bez wąsów mężczyzna nie jest dostatecznie ubrany". Zdzisiek był. Chciał żyć pełnią, chciał kochać – aż się zakochał. W kobiecie, nie w samochodzie. Dopiero wtedy jego życie zrobiło się zbyt już skomplikowane.

Prawie wszystko w filmie Rakowicza zagrało. Udane są zdjęcia Jacka Podgórskiego, wystylizowana muzyka Smolika, scenariusz Łukasza M. Maciejewskiego i samego Rakowicza, wreszcie aktorstwo. Ogrodnik jako Najmro bawi się rolą, baraszkuje ze swoim wizerunkiem, ale dotrzymują mu kroku i Jakub Gierszał, i Sandra Drzymalska, i Robert Więckiewicz, i Masza Wągrowska czy Rafał Zawierucha. A skoro to kino akcji, mamy także akcję: widowiskowo nakręcone sceny pościgów, ale w tym wszystkim także uśmiech, żart, czasami drwinę. To nie jest kino moralnego niepokoju ani krytyczna wiwisekcja ostatniej dekady PRL-u. Rakowicz wspólnie z operatorem Jacek Podgórskim podrasowują rzeczywistość. Szarość jest zbyt szara, trzeba ją pomazać fluorescencyjnymi pisakami z Pewexu. Bo to jest wizja Najmrodzkiego i jego kompanii. Tak widzieli Polskę, tak chcieli ją widzieć. Prawo młodości, każdej, również tej uwięzionej za klatkami cenzury, sklepów ogólnospożywczych i szpetnych dekatyzowanych kurtek dżinsopodobnych sprowadzanych z Turcji.

Filmowy Najmrodzki kochał, kradł, szanował, tworzył również poezję. W wierszu *Samotność* pisał: „Może na zawsze zginę z areny / Mój wzrok gaśnie w ponurym cieniu. / Przyjaciółkę niewierną miałem, / Dziś pogrążony jestem w milczeniu". To milczenie właśnie się kończy. O Najmrodzkim znowu będzie głośno. Nie zginął, arena należy do niego.

Reżyseria: Mateusz Rakowicz
Scenariusz: Łukasz M. Maciejewski i Mateusz Rakowicz
Zdjęcia: Jacek Podgórski
Muzyka: Andrzej Smolik
Montaż: Sebastian Mialik
Scenografia: Anna Anosowicz
Producent: Agnieszka Odorowicz
Obsada: Dawid Ogrodnik/Zdzisław Najmrodzki; Robert Więckiewicz/Barski; Rafał Zawierucha/Ujma; Marta Wągrocka/Tereska; Jakub Gierszał/Antos; Andrzej Andrzejewski/Teplic; Sandra Drzymalska/„Młoda"; Olga Bołądź/Gabi; Dorota Kolak/Mira; Artur Krajewski/Profesor; Mikołaj Cieślak/Negocjator; Paweł Koślik/Pantoflarz; Grzegorz Falkowski/„Apacz"
Polska 2021

Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach", kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film", członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

Rodzina polska w drodze nad morze, rys. Andrzej Zaręba

Piwnica i Jaszczury

Tekst: Mieczysław Czuma

Kabaret Piwnica pod Baranami i międzyuczelniany klub studencki Pod Jaszczurami. Dwa flagowe okręty na rozkołysanych falach pokoleniowych emocji, żeglujące po dwóch przeciwnych pierzejach krakowskiego Rynku.

Po jednej stronie numer 27. Ironia, przekora, kpina, odgradzanie się od zaokiennej rzeczywistości. Towarzystwo starannie wyselekcjonowane. To jakby zakon zaprzysiężonych i owładniętych potrzebą zadawania absurdalnych pytań. Przymierze indywidualistów zjednoczonych w chórze parodiowania codzienności. Poprzeczka postawiona wysoko. Kabaretowe występy to przepustka do popularności, sławy, a nawet nieśmiertelności.

Po drugiej stronie numer 8. Matecznik niekończących się sporów, gniazdo wylęgających się wciąż aspiracji, ciągłe pytania o drogi do przyszłości. Przewalające się zastępy pisarzy, artystów, ludzi kina i teatru, filozofów, uczonych, polityków. Pokazywanie się tu było oznaką przynależności do studenckiej arystokracji.

Przy wszystkich odmiennościach i różnicach te dwie instytucje w latach 60. i 70. tamtego czasu dopełniały się nawzajem. Ci spod numeru 27 mieli otwarte drzwi pod naszą ósemkę. I tak Wiesiek Dymny, najprawdziwszy filar Piwnicy, swój kabaret Remiza powołał do życia właśnie w Jaszczurach. W wystawionej tam *Operze strażackiej* absolutnym objawieniem były panienki (a wśród nich Basia Nawratowicz i Dorota Terakowska) fikające długimi nogami w czarnych rajstopach. W Zrzeszeniu Studentów Polskich startowałem jeszcze przy ulicy Floriańskiej – tam pod numerem 55 była siedziba Rady Okręgowej. Przed 600-leciem Uniwersytetu Jagiellońskiego magistrat obdarował nas prestiżowym lokalem przy Rynku 8. Stoły, krzesła, biurka i szafy z Floriańskiej do Rynku ze śpiewem i muzyką przeniosła zaprawiona w juwenaliowych maskaradach rozbawiona gromada studentów. Przed Jaszczurami powitał nas Dymny, podając na tacy bochenek chleba i pół litra wódki. Któregoś dnia wpadł potem do mnie i nalegał, aby pożyczyć mu 500 złotych. Miał oddać na drugi dzień. To była niemała suma, prawie połówka mojej pensji. Po miesiącu zjawił się z drewnianą rzeźbą diabła, niezwykłego, bo ponakłuwanego strzałami na wzór afrykańskiego woodoo. Postawił to na moim biurku i oświadczył, że jesteśmy kwita. Mam tego diabła do dziś. Ma zamiast serca werk zegarka.

U progu obchodów 600-lecia UJ w Jaszczurach wydarzyło się coś, co miało odmienić losy Piwnicy. W październiku 1963, na wielkim państwowym spędzie, w towarzystwie dostojników rządowych zebrała się w Krakowie wierchuszka polskiego szkolnictwa wyższego. Wszyscy rektorzy i sekretarze uczelnianych organizacji partyjnych. Moim zadaniem było zorganizowanie dla tych dostojności wieczoru w klubie Pod Jaszczurami. Udałem się do Kolorowej, kawiarni przy ul. Gołębiej, gdzie południową porą rezydował zawsze ze swoją świtą Piotr Skrzynecki. Piwnica demonstrowała w tym czasie najwyższe loty. To była galaktyka najpierwszej jasności gwiazd. Cała ta niepokorna plejada za swoje wyskoki miała wtedy szlaban na występy Pod Baranami i, usunięta ze swojej macierzystej siedziby, produkowała się gościnnie w stołówce domu literatów przy Krupniczej 22. Zaproszenie do Jaszczurów zostało ochoczo przyjęte.

To, co działo się tego wieczora w naszym studenckim mateczniku, przeszło najśmielsze ze wszystkich możliwych oczekiwań. Serwowane w tym gronie teksty nabierały niebywałej ostrości, a zabójczej pikanterii dodawała spektaklowi nieprawdopodobna oprawa widowiska. W stronę widowni szybowały ze sceny wszelkie możliwe rekwizyty i części garderoby. Cyrankiewicza oblano wodą, a Ewa Demarczyk usiadła na kolanach tego najważniejszego z widzów, podniosła z podłogi szmatę i starannie polerowała nią łysinę pana premiera. Dymny wywołał na scenę szefa rządu, kazał mu przykucnąć i szykował się do skoku przez jego grzbiet. Na ten widok zerwał się Henryk Golański, minister szkolnictwa wyższego, poprosił Cyrankiewicza o powrót na krzesło i sam podstawił Dymnemu swoje plecy.

U progu obchodów 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego w klubie pod Jaszczurami wydarzyło się coś, co miało odmienić losy Piwnicy pod Baranami.

W przerwie występów moje zwierzchnictwo, to z Rady Okręgowej i to z Naczelnej, pełne było absolutnie katastroficznych wizji. Podczas krótkiej nerwowej rozmowy padły słowa, że to wszystko, co tu się dzieje, jest końcem Zrzeszenia. Nie wiem, co było dalej, widziałem tylko kibitkę, która wiezie mnie na Sybir. Kiedy już wszystko się skończyło, Cyrankiewicz wstał i oznajmił całej sali, że w życiu jeszcze tak się nie ubawił.

Po tym spektaklu Piwnica powróciła do swojego lokum Pod Baranami.

Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Piosenka z podróży

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Lubię takie biografie. Nieoczywiste, rozpięte, gdzieś na drugim planie, a jednak tak ważne dla polskiej kultury. Warto wspomnieć tę szczególnie, gdy znowu przychodzi jesień w melodii jednej z najpiękniejszych polskich piosenek filmowych.

Jak będziemy pamiętać muzykę rozrywkową ostatnich dwóch dekad. Czy w ogóle i co będziemy nucić? Z czym się nam będą kojarzyć piosenki, tematy, które dziś wpadają na rynek tak szybko i równie szybko z niego wypadają? Jak zmieni się nasza wrażliwość na melodię? Czy będzie wciąż budować relację z naszymi wspomnieniami? Kim będą nasi muzyczni mistrzowie pierwszych dziesięcioleci XXI wieku?

Sama sobie te pytania zadaję i śledzę z uwagą pojawiające się regularnie wyniki badań świadczące o ogromnym związku tego, co słyszymy, z tym, co i jak czujemy. Naukowcy dowiedli, że muzyka, która się nam podoba, powoduje zwiększoną aktywność rejonu w mózgu wydzielającego hormon szczęścia. Może więc powodować odczucia podobne do tych, jakie się ma w przypadku uzależnień. Te jednak są zgubne z powodu swoich skutków. Muzyka – nigdy.

Pamiętasz, była jesień to piosenka, która powstała dosłownie na kolanie, w pociągu między Warszawą a Łodzią, w tamtych latach najbardziej filmowej trasie w kraju. Lucjan Kaszycki nie rozstawał się z zeszytem nutowym, więc i w przedziale, gdy przyszedł mu do głowy pomysł melodii, także go miał.

Jestem słuchaczem trwale uzależnionym od piękna i chociaż wiem, że może mieć różne oblicza i występuje często również we współczesnej sztuce, to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to, co dla muzycznego piękna najtrwalsze, powstało – jak najmocniejsze meble – dziesięciolecia temu. I myślę dziś ciepło o wrześniowym jubilacie, który nie dożył swoich 90. urodzin, jakie świętowałby w przyszłym roku. Odszedł wiosną, zostawiając nam jednak mnóstwo do słuchania – w tym tę jedną, najważniejszą dla polskiej jesieni piosenkę.

To jest coś więcej niż tylko piosenka sezonowa, ale faktycznie, jak w *Last Christmas*, zatrzymany jest w niej czas. Magicznie się to kompozytorom i tekściarzom udaje. Wystarczy już samo „pamiętasz...", wyśpiewane głosem Sławy Przybylskiej, aby wywołać jesienną, słodką tęsknotę za kimś i za czymś, co minęło. Mnie się to przytrafia każdej jesieni. Utwór powstał do filmu *Pożegnania* Wojciecha Jerzego Hasa z 1958 roku. Wcale nie jako piosenka, a jako motyw filmu, który jednak Hasowi tak się spodobał, że namówił swoich asystentów – Andrzeja Czekalskiego i Ryszarda Plucińskiego – aby dopisali słowa.

Kaszycki komponował z rozmachem, nawet gdy robił to intymnie. Był jedną z najwspanialszych dla polskiej muzyki rozrywkowej postaci, znał doskonale jej reguły i przekazywał je studentom w Warszawie, uczestnikom Warsztatów Jazzowych w Chodzieży i uczniom akademii, którą stworzył właśnie na potrzeby muzyki lekkiej i przyjemnej, choć na pewno niełatwej w tworzeniu. Studiował kompozycję w rodzinnym Krakowie, pisał potem dla teatru, radia, kina, a z Wojciechem Jerzym Hasem zbudował najtrwalszą relację filmową. Jego doskonałą, zapomnianą dzisiaj muzykę ma serial *Doktor Murek*. Chwała GAD Records – Kultowym Nagraniom za to, że odkurzają i wydają takie kompozycje. *Doktor Murek* ma muzyczny materiał zarejestrowany przez Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji pod batutą Jana Pruszaka w 1979 roku! Jak na wydawniczą nowość to dość szalone. Pamiętamy o Kaszyckim?

Pamiętasz, była jesień to piosenka, która powstała dosłownie na kolanie, w pociągu między Warszawą a Łodzią, w tamtych latach najbardziej filmowej trasie w kraju. Lucjan Kaszycki nie rozstawał się z zeszytem nutowym, więc i w przedziale, gdy przyszedł mu do głowy pomysł melodii, także go miał. Ale gdy łaskawa muza podpowiedziała mu na torach ten utwór, zadbała o to, aby nie był banalny. Jego muzyka nigdy taka nie była. Nie była też prosta do grania i śpiewania. Będzie miała w moim prywatnym rankingu zawsze poziom hollywoodzkiej twórczości, tylko lepszej, bo przyprawionej europejską melancholią.

Kiedy ponad trzy lata temu Witold Bereś zaprosił mnie do współpracy w miesięczniku „Kraków", a ja właśnie zostałam świeżo upieczoną warszawianką, powiedział, że nie wątpi w to, iż na tej krakowsko-warszawskiej linii jest sporo tematów i ludzi wartych słowa. Potem się okazało, że wszystkie drogi i tak do Krakowa prowadzą, nie tylko ze stolicy. Ciągle jestem zdziwiona, jak wiele. Zaczynam jesień z muzyką Lucjana Kaszyckiego, urodzonego w Krakowie artysty, który wart jest nie tylko słowa, ale przede wszystkim naszego ucha. Bo gdy się raz usłyszy *Pamiętasz...*, naprawdę trudno zapomnieć.

Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: Mordercze lato

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Tego lata Nina przysięgła sobie, że koniec z grzeszeniem. Wprawdzie wszystkie uśmierzające ból istnienia narkotyki już dawno poszły w odstawkę, bo w pandemii wiele sensownych straganów zwinięto, a na enigmatyczne wiadomości od kolegów, którzy biegają z tematem, Nina czuła się jednak zbyt leciwa.

Jedynym argumentem, który trochę ją ośmielał, była informacja, że TVN straci koncesję, a minister Czarnek przygotowuje zamach na szkoły. Potem jednak trochę się skrzywiła, wyrzucając sobie słabą wiarę w ideę walki do ostatniego posła ***.

Gdyby to wszystko, co dzieje się od 2015 roku od morza do Tatr, tak strasznie brać sobie do serca, to Nina stałaby się heroinistką albo sama zaczęłaby produkować crack. Przekonywała siebie codziennie, że to się kiedyś musi skończyć. Wraca Tusk, jest okazja do świętowania, ale alkohol też już nie spełnia swojej rozweselającej funkcji. Przy 40 stopniach w słońcu, powiedzmy sobie szczerze, wszystko smakuje jak gówno. I co tu robić?

Nina przewalała się z jednego końca wielkiego małżeńskiego łóżka na drugi, szukała jakiegoś zimnego skrawka prześcieradła i wiedziała już, że właśnie tak wygląda piekło. „Jeszcze parę lat i będzie wojna" – myślała i psikała sobie w twarz hydrolatem. W kolejce czekają kolejne koronawirusy, pod lodowcami kryją się pałeczki dżumy i cholery. W Afryce za dziesięć lat będzie już sto stopni w cieniu, padną wszystkie słonie i żyrafy, a mieszkańcy kontynentu uciekną przed spiekotą gdzie? No właśnie. Do Europy. Nagle wszystkie detale z obrazów Boscha stanęły Ninie przed oczami. Nasz peryferyjny kraik, dawno oderwany mentalnie od Europy, odgrodzi się murem, którego będzie pilnować straż dzienna i straż nocna, rekrutowana poprzez losowanie roczników na programie pierwszym. Wódz będzie słyszał nawet twoje myśli. A Ninie na pewno zabiją kota.

Losy ludzi i zwierząt łączą się nieprzypadkowo. Kot pochodził z ukraińskiej hodowli, przywiozła go miła para ze Lwowa. Dwa dni potem kot się zatkał i tak już mu zostało. Przez cały miesiąc Nina jeździła z nim po weterynarzach. Wywrócili kota na lewą stronę – USG, badanie krwi, robaki. Nic. Nie wiadomo, co się dzieje. Nina żartowała, że pewnie jak zobaczył polską flagę i posłuchał obrad sejmu, to dostał przewlekłego zatwardzenia. Zupełnie jak wielu polskich obywateli, którzy z pewnych rzeczy nie mogą opróżnić głowy, bo jakiś szczegół zawsze przypomni im, że mieszkają na Syberii tego, co można nazwać normalnością. Co z tego, że próbują to wyrzucić spod czaszki, zrobić pod nią jakiś remont. Zawsze gdzieś odłazi farba i skrzypią panele.

Nina w akcie desperacji pojechała do znajomego weterynarza do sąsiedniego miasta. Były dwa wyjścia: albo kota uda się wyleczyć, albo lwowiacy przywiozą nowego, a tego przeniosą do następnej planszy. Nina nie chciała nawet o tym słyszeć. Ale tego, co było przyczyną kocich dolegliwości, zupełnie się nie spodziewała.

W kolejce czekają kolejne koronawirusy, pod lodowcami kryją się pałeczki dżumy i cholery. W Afryce za dziesięć lat będzie już sto stopni w cieniu, padną wszystkie słonie i żyrafy, a mieszkańcy kontynentu uciekną przed spiekotą gdzie? No właśnie. Do Europy.

– Twój kot to ani chłopak, ani dziewczyna – zaczął Mateusz.

– Jak to? – Nina nie mogła pozbierać myśli.

– To kot interpłciowy. Ma cechy męskie i żeńskie.

Nina wciąż nie rozumiała.

– Kot LGBT+?

– Można tak powiedzieć. Problemy biorą się stąd, że ma nie do końca prawidłowo wykształcone narządy. Spróbujemy podawać mleko i olej parafinowy. Jak nie pomoże, to tu rozetniemy, tam przeszyjemy i będzie lepiej – wskazywał palcem pod kocim ogonem.

Olej parafinowy pomógł.

W sobotę w Poznaniu była parada równości. Kot dostał w prezencie tęczową wstążkę.

– Wszystkiego najlepszego! – darła się Nina znad pełnej kuwety.

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie", „Tygodniku Powszechnym", portalu Onet.pl. i „Codzienniku Feministycznym". Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

Nuala Ni Dhomhnaill to poetka irlandzka, laureatka Międzynarodowej Nagrody Literackiej imienia Zbigniewa Herberta. Wybór i przekład jej wierszy, dokonany przez Krystynę Dąbrowską, pozwala zrozumieć decyzję jury. To poezja tyleż realistyczna, ile mistyczna. Łączy przeciwieństwa – symbolizm czy baśniowość z dosadnością i erotyką. I nie tylko. Mamy tu całą gamę uczuć i emocji niepozbawionych jednak refleksji i ironii. Poetka nie unika też dosłowności i nie boi się możliwości obyczajowego skandalu. Nie boi się choćby obnażyć bezkompromisowo mitu macierzyńskiego. Choć równocześnie wszystko, co pisze, jest w jej wydaniu kruche i delikatne. Ten paradoks właśnie jest najmocniejszym wyznacznikiem tej poezji.

Poetka tworzy własne światy – w tym syreni, z którym się identyfikuje. Świat tyleż ludzki, ile nieludzki. Znajomy, a jednak niezrozumiały. Jakby trzeba się było wszystkiego uczyć od nowa. Także zwykłego zachwytu.

Nuala Ni Dhomhnaill jest prawdziwa i przekonująca. Oszczędna w wyrazie, choć cykl syreni to prawie poematy – i to kolejny paradoks. Duża w tym zasługa przekładu. Jak wspomina tłumaczka, w grę z tłumaczeniem z innych, angielskich przekładów irlandzkiej poetki wciągnęła ją między innymi uprawiana przez nią wyrafinowana gra słów. W tę grę gramy i my.

Elżbieta Wojnarowska

Nuala Ni Dhomhnaill *Cierń głogu*, wybór i tłumaczenie z angielskiego Krystyna Dąbrowska, Wydawnictwo a5, Kraków 2021.

„Jego żołnierze zaczęli strzelać, nie czekając na rozkaz. Zresztą nie miało to znaczenia. Cekaemy robiły tylko dużo hałasu. Borowy słyszał, jak pociski odbijają się od pancerzy. Nie był zdziwiony. Wiedział, że pocisk z browninga nie jest w stanie przebić pancerza niemieckiego czołgu. Miał to na szkoleniach w podchorążówce. Przemknęła mu przez głowę wściekła myśl, że w takim razie po co wysłano go tu z cholernymi browningami, podczas gdy najlepsze ponoć w świecie polskie karabiny przeciwpancerne tkwią zamknięte w skrzyniach z napisem »ściśle tajne«".

Pisać dziś powieść o II wojnie światowej, w tym o kampanii wrześniowej, to sprawa ryzykowna – może tylko powstanie styczniowe jest równie nudne: znowu ma być o złych Niemcach i dzielnych Polakach? Jednak Marek Harny wychodzi z tej pułapki, koncentrując się na losach pojedynczych ludzi, a za nimi umiejętnie przedstawiając wielowątkowe tło historyczne. Gdzieś obóz w Oświęcimiu. W Płaszowie. Przesłuchania na gestapo. Konspiracja. Zamachy na Niemców. Krwawe odwety okupantów. I zawsze w tle trudne ludzkie wybory.

A że układanie literek idzie mu w kolejności sprawiającej czytelnikowi przyjemność, więc czyta się płynnie i szybko.

Jednak czegoś w tej książce brakuje. Bo ja wiem? Ostrych przypraw, wyrazistości? Krwi, mordu i seksu? Mrocznych postaci? Strachu? Że zbyt letnio jest?

Tak – czytając tę książkę, nie boimy się. Ale może nie o to chodzi? (wb)

Marek Harny, *Dziecko września*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2021

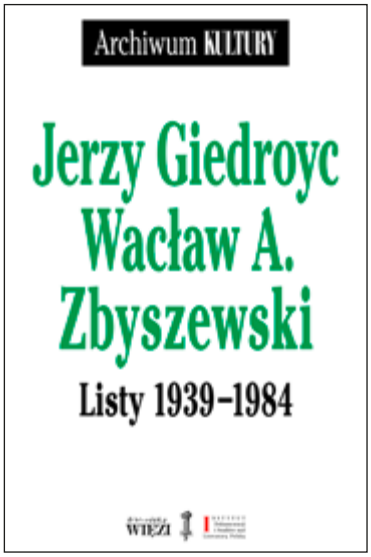

Naczelny paryskiej „Kultury" nie miał w zwyczaju przechodzić na „ty" nawet z najbliższymi współpracownikami. Dość powiedzieć, że formuły „Szanowny Panie" Jerzy Giedroyc używał nawet w listach do Juliusza Mieroszewskiego, najważniejszego publicysty politycznego swojego pisma. Z kolei Gustaw Herling-Grudziński – faktyczny współredaktor miesięcznika, a i jego wielki autor – dostąpił takiej fazy poufałości dopiero po... czterdziestu latach znajomości.

Już więc to, że listy Redaktora do Wacława A. Zbyszewskiego rozpoczyna zwrot „Drogi Wacku", a odpowiedzi tytułowane są „Kochany Jerzy", dowodzą szczególnego wymiaru tej korespondencji. Ale oczywiście najważniejsza jest jej zawartość. Wszak Zbyszewski był jednym z najoryginalniejszych, a zatem najciekawszych publicystów zarówno II RP (pisywał wtedy głównie dla krakowskiego „Czasu" oraz pierwszych pism Giedroycia, czyli „Buntu Młodych" i „Polityki"), jak i powojennej emigracji. Prócz zatem wielu wynikających z bliskiej znajomości wątków prywatnych czy po prostu plotek o znanych postaciach rodzimej kultury i polityki (oraz bezceremonialnych ich ocen) jest więc polityka czy wręcz historiozofia. Zbyszewski dowodził choćby proroczo – bo przecież ponad pół wieku temu! – że rozwiązanie geopolitycznych i wewnętrznych kłopotów Polski nastąpić może jedynie w ramach zjednoczonej Europy. Aktualne, nieprawdaż? kb

Jerzy Giedroyc, Wacław A. Zbyszewski, *Listy 1939–1984*, Biblioteka „Więzi", Warszawa 2021.

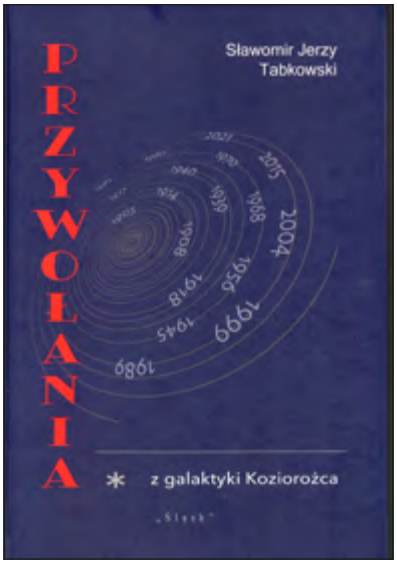

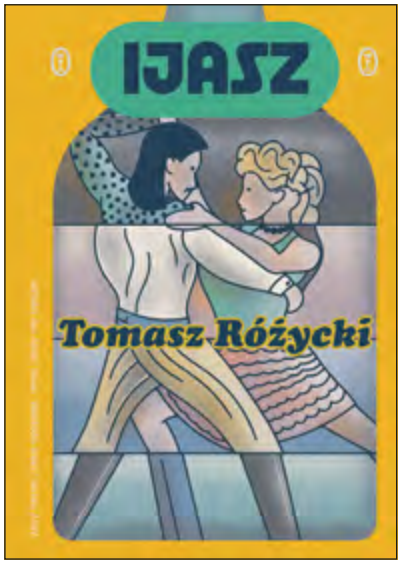

„Dla mnie OS [Okrągły Stół – wb] stanowił, podobnie jak dla wielu innych, potwierdzenie, że w długim procesie ewolucyjnym zmiany realnego socjalizmu będą jednak możliwe. (...) przyjęta dyrektywa o niekonfrontacyjnych wyborach (...) ograniczała lub wręcz uniemożliwiała aktywną i bezpardonową walkę polityczną, którą zresztą na ogół strona solidarnościowa prowadziła".

Do czasów wolnej Polski autor kojarzył mi się jak najgorzej: szef oddziału propagandowego monstrum (Krajowej Agencji Wydawniczej), po stanie wojennym – naczelny „Gazety Krakowskiej" (1983–88), a u schyłku PRL kierownik Wydziału Propagandy KC PZPR. A jeszcze jesienią 1988 wszedł w skład ferajny czczącej zglajszachtowanie życia politycznego i stworzenie PZPR z PPS i PPR. A jednak jego wspomnienia czytam z zaciekawieniem. Owszem, irytujący jest stopień nierozumienia zmieniających się czasów – on do dziś nie wie, za co „czerwonych" nie lubiano i że Okrągły Stół był dla władzy jedynym sposobem wyjścia z twarzą z czasów hańby. Co jednak nie znaczy, że Tabkowski to jakiś zamordysta. Przeciwnie, we wspomnieniach najchętniej opiera się na „Kuźnicy" – środowisku lewicy pezetperowskiej, dużo ciekawszej niż dominujący nurt zakapiorstwa. A że są i plotki, więc tym ciekawiej. Brakuje jednak pogłębionej refleksji na temat rzeczywistego społecznego sensu PRL.

Bo to jest temat na dziś: w jakim stopniu PRL odpowiadał potrzebom społeczeństwa. (wb)

Sławomir Jerzy Tabkowski, *Przywołania z galaktyki Koziorożca*, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 2021.

Książka stylizowana jest na poemat prozą – wysmakowany literacko i artystycznie. Znakomity język, balansujący pomiędzy groteską a liryką, śmiech przeplata się ze wzruszeniem, a przede wszystkim z wyrafinowanymi opisami przyrody. I głównie te malarskie wręcz obrazy-krajobrazy, pośród których wędrujemy wraz z bohaterami opowieści, zostają nam w pamięci. Błądzimy także pośród ważnych i istotnych pytań egzystencjalnych, zadawanych ze śmiertelna powagą, podczas wręcz kpiących z siebie nawzajem relacji z komicznych-tragicznych wydarzeń. Wszystko to tworzy mieszankę wybuchową. Czekamy więc na ten wybuch, który jednak nie następuje. I nie wiemy, jak w końcu kończy się ta historia. Tyleż zdań na ten temat oczywistych, ile sprzecznych ze sobą.

Ale czy o to chodzi, o jasność i wytłumaczenie wszystkiego? Czy to dramat, komedia czy tragikomedia? To bez znaczenia. Żonglowanie domysłami ma tę zaletę, że wszystko jest możliwe. Bo najważniejszy jest tu przecież ijasz – eliksir, którego produkcja jest tajemnicą rodzinną, a jego wypicie pozwala na doznanie innych wersji życia – ze wszystkimi ich konsekwencjami.

W dodatku, co najistotniejsze, choć wydaje się nieprawdopodobne, jest to historia... o miłości. Dobrej zabawy życzę.

Elżbieta Wojnarowska

Tomasz Różycki *Ijasz*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Ile jest psów w Krakowie, tego nie wie nikt. Zapewne jednak co najmniej kilkadziesiąt tysięcy. Już sama ta liczba sprawia, że to znacząca grupa mieszkańców miasta. Ważne zatem, by żyła w nim przyjemnie, spokojnie i bezpiecznie – a równocześnie, by i inni na nią nie narzekali. Kluczem – oprócz osobniczych cech każdego psa – jest to, by pomogli im w tym opiekunowie oraz wszyscy inni współmieszkańcy.

Dla psa bowiem miasto, życie w mieście oznacza często szkołę przetrwania w dżungli, a przynajmniej konieczność pokonania trudnego toru przeszkód. Każde wyjście z domu to przecież konieczność spokojnego wyminięcia sąsiada na korytarzu lub przejścia przez ruchliwe skrzyżowanie, zetknięcie się na ulicy z rykiem silnika stuningowanego samochodu bądź pędzącego motocykla, spotkania z wieloma – a często szczekającymi – przedstawicielami własnego gatunku czy wreszcie pokusy zjedzenia resztek wywalonych obok osiedlowego śmietnika. Wszystko to oznacza mnóstwo bodźców, z którymi pies musi każdego dnia się zmierzyć.

Jak mu to ułatwić w przystępny, acz nader profesjonalny sposób (i bez częstej w takich tytułach egzaltacji), radzą doświadczone trenerki (i autorki bloga „Co pies na to?"). Sugestie są tyleż praktyczne, ile oparte na współczesnej wiedzy kynologicznej – burzą więc przy okazji wiele stereotypów panujących na psi temat.

kb (opiekun psich obywateli Krakowa: Affy, Donka, a ostatnio Sary)

Magdalena Horodyska, Katarzyna Migdał, *Pies w mieście. Jak wypracować dobre nawyki, by spokojnie żyć z psem w miejskiej dżungli*, Znak, Kraków 2021.

Agnieszka Holland: Szanujmy Syzyfów

Notował (wb) **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Wizerunek wielkiego stosu gazet zalegających na podłodze pokoju Turowicza na Lenartowicza 3 – umocowany na prawdziwej klepce pochodzącej z tej podłogi. Jedna z piękniejszych statuetek – a cenna dodatkowo poprzez patrona. W lipcu jej laureatką została Agnieszka Holland za dwa ostatnie filmy (*Obywatela Jonesa* i *Szarlatana*), ale w gruncie rzeczy za całą piękną linię swych działań...

Reżyserka mówiła dobitnie:

– Sama statuetka jest jedną z fajniejszych, jakie mam, a muszę powiedzieć, że jestem, szczególnie w ostatnich latach, kolekcjonerką statuetek. Ich wygląd, estetyka, rozmiary i waga są bardzo zróżnicowane. Stoją w różnych punktach globu, wszędzie tam, gdzie mam jakieś swoje miejsce, w którym mieszkam. Właśnie patrzy na mnie moja przyjaciółka z Los Angeles, z którą targałyśmy obie jedną statuetkę z Meksyku, a która była tak ciężka, że trzeba było kupić osobną torbę, żeby w ogóle można było ją przewieźć. Jestem głęboko wdzięczna, że mimo solidności tych papierów, które nie są z papieru – ona jest taka, że mogę ją łatwo unieść. A jej estetyka i to, że jest piękna, mnie w ogóle nie dziwi – Krysia Zachwatowicz-Wajdowa ją wymyśliła, a wszystko czego się dotknie Krysia, jest piękne. (...)

Jest pięknie dostać nagrodę nie tylko za filmy, za te dwa filmy, ale też trochę za to, co robię, o czym mówię, jakiego typu wartości strzegę czy staram się – przynajmniej częściowo – być im wierną. I tutaj wzorem – jednym z ważnych wzorów – był właśnie patron tej nagrody, z którym spotkałam się tylko parę razy, ale którego zawsze działalność i osobowość, i wpływ na rzeczywistość śledziłam. Z tym większym wzruszeniem i szacunkiem, że należał do licznych w naszym kraju i w naszym regionie Syzyfów, to znaczy ludzi, którzy nie mieli złudzeń co do natury ludzkiej i co do mechanizmów rządzących społeczeństwem, narodem, historią, ale mimo to nieustannie i właściwie z równym entuzjazmem czy z równym przekonaniem podejmowali taki trud, żeby pchać ten głaz na ten szczyt, wiedząc doskonale, że kiedy już będą tego szczytu blisko, a może już na samym szczycie, i puszczą ten głaz po to, żeby pomachać: jesteśmy tu, zwyciężyliśmy! – to ten głaz znowu poleci w dół i czasem nawet ich zmiażdży. Można powiedzieć, patrząc na laureatów, że można założyć taki Klub Syzyfów.

Nie jestem fatalistką w tym sensie, żeby wydawało mi się, że żadne działanie artystyczne czy obywatelskie nic nie znaczy – ale jestem pesymistką co do ludzkości. Wydaje mi się, że ludzkość jest głupia, że ludzkość ma ogromną skłonność do zła, wydaje mi się, że kultura, która ma niejako korygować tę skłonność i walczyć z tą skłonnością, zbyt często jest leniwa i tchórzliwa albo w najlepszym razie oportunistyczna i że nie zawsze staje na wysokości zadania. Ale jednocześnie nie mamy niczego lepszego.

Lecz mimo że uważam, iż ta ludzkość może zasługuje na gorszy los, staram się i szanuję tych ludzi, którzy robią wszystko, żeby ten los był lepszy. I żebyśmy w świetle obecnych wyzwań (niektóre są stare i znane, i strasznie pokazał nam je wiek XX, a niektóre nowe i przez to groźniejsze – myślę o katastrofie klimatycznej i tym, że zabraliśmy przyszłość naszym dzieciom i wnukom) nie zapominali pchać te głazy pod górę, żebyśmy nie rezygnowali albo ulegali złudzeniu lekkości bytu.

*

Poprzednio wyróżnienie otrzymali: Joanna Olczak-Ronikier (*Korczak. Próba biografii*, 2013), Marcin Zaremba (*Wielka trwoga: Polska 1944–1947*, 2014), Andrzej Brzeziecki (*Tadeusz Mazowiecki. Biografia naszego premiera*, 2015), Paweł Machcewicz (za Muzeum II Wojny Światowej, 2017), Monika Sznajderman (*Fałszerze pieprzu. Historia rodzinna*, 2017), Ewa Lipska (*Pamięć operacyjna*, 2018), Basil Kerski (obrona Europejskiego Centrum Solidarności, 2020).

Nagroda im. Turowicza prowadzona jest od początku przez Fundację Jerzego Turowicza. W tym roku jednak, w związku z kłopotami organizatorów i pandemią, inicjatywę szczęśliwie wsparło Miasto Kraków i Krakowskie Biuro Festiwalowe, a sama uroczystość odbyła się w Pałacu Potockich/Zbaraskich.

Tylko podziękować bardzo!

Compagnie Basinga, *Lignes Ouvertes* © Christophe Stewart (z archiwum i za zgodą organizatorów)

Kraków klaunów, linoskoczków...

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Podczas wrześniowej odsłony Festiwalu Teatrów Ulicznych dojdzie do dziwnych zdarzeń.

Człowiek jest tak długo młody, jak długo potrafi marzyć – powiedział Kirk Douglas, wznosząc toast w dniu swoich 95. urodzin. Tę zasadę musi wyznawać też Jerzy Zoń, dyrektor Teatru KTO. Nie dość, że wciąż jest niepoprawnym marzycielem, to również człowiekiem, na twarzy którego często maluje się wyraz zdziwienia. – Dla mnie już chyba zawsze będzie dziwna kobieta, która przechodzi po linie nad rzeką bez zabezpieczeń. Dziwni będą ludzie, którzy swobodnie chodzą sobie na sześciometrowych szczudłach – mówi, a swój tegoroczny Festiwal Teatrów Ulicznych nazywa *Dziwne zdarzenia. Reaktywacja*. W tym roku ma on dwie odsłony, pierwsza była w lipcu, druga została zaplanowana na 5–6 września.

– Szczególnie polecam występ włoskiego komika Leo Bassiego. Ten wyjątkowy artysta, który jest Włochem mieszkającym w Hiszpanii, zdecydował się zaprezentować w Krakowie spektakl *Ja, Mussolini!* To nie będzie zwykła klaunada, ale pogłębiona refleksja nad współczesnymi radykalizmami i politycznymi manipulacjami – zapewnia Zoń.

Ciekawie zapowiada się też przedstawienie teatru Le G. Bistaki zatytułowane *Baïna[na]*. Francuscy artyści tworzą eksperymentalny cyrk choreograficzny, złożony z żonglerów, tancerzy i aktorów, którzy robią szalone rzeczy, używając zaskakujących przedmiotów. Znakiem rozpoznawczym teatru są łopaty i miotły oraz kilogramy zboża.

Ekscytującym przeżyciem, choć możliwe, że tylko dla ludzi o stalowych nerwach, będzie występ Tatiany Mosio Bongongi z francuskiego zespołu Basinga. Akrobatka przejdzie na linie zawieszonej 40 metrów nad Wisłą, bez zabezpieczeń. – Żeby to się mogło udać, stawiamy dwa dźwigi, na których będzie rozciągnięta lina. Naciągnie ją 32 statystów. To będzie piękny, powietrzny teatr. Widziałem go w Pradze, gdzie Tatiana przechodziła nad Wełtawą. Ludzie nie mogli oderwać od niej oczu, a ona szła uśmiechnięta i zadowolona z życia. Mówiła, że w ten sposób przekazuje swoją energię – zachwyca się dyrektor festiwalu, dodając, że widowisko to będzie symbolizować przeprowadzkę Teatru KTO do Podgórza.

Tam, przy ul. Zamoyskiego, we wrześniu otwarta zostanie nowa siedziba zespołu w wybudowanym niemal od nowa, nowoczesnym budynku po dawnym kinie Wrzos. O jego otwarciu i nowych premierach napiszemy w kolejnym numerze „Krakowa". I na pewno jeszcze nieraz przyjdzie nam się zdziwić razem z dyrektorem Zoniem.

34. KTO Ulica Festival *Dziwne zdarzenia. Reaktywacja*, 4–5.09.2021.

Jak oni śpiewają

Tekst: Łukasz Maciejewski **Ilustracja:** Teatr Bagatela

Bagatela zaśpiewała. W muzycznym spektaklu w reżyserii Krzysztofa Materny piosenka staje się remedium na zmęczenie i zniechęcenie po zbyt długim pandemicznym poście. Uśmiechamy się, a może odzyskujemy uśmiech.

W przedstawieniu Materny piosenka jest Krakowem. Lirycznym, satyrycznym, literackim. W spektaklu zbudowanym przede wszystkim z piosenek Piwnicy pod Baranami oraz z repertuaru Andrzeja Zauchy, Marka Grechuty i Zbigniewa Wodeckiego dawne przeboje zyskują nowy blask. Aktorzy Bagateli, udowadniający po raz kolejny, że są zespołem rozśpiewanym i dobrze czującym się w rozmaitych konwencjach muzycznych, dają tym niekiedy trochę zapomnianym utworom drugie życie, a chociaż rzecz nie ma określonej, nazwijmy to, fabuły, staje się swego rodzaju podróżą po muzycznym Krakowie – czyli po Polsce.

Muzyka Krakowa jest pewnie mniej istotna od zabytków miasta, jego architektury czy malarstwa, ale muzyka Krakowa istnieje. Jest piosenką, canzoną, pieśnią. Liryczny Grechuta, piórko w kapeluszu Skrzyneckiego, białe i czarne anioły, biały wiersz, czerwone wino. Litania, oda muzycznego Krakowa układa się sama, nie jest też szczególnie wyrafinowana, ale staje się fragmentem opowieści o mieście.

Słuchając klasycznych piosenek i pieśni krakowskich kompozytorów w wykonaniu artystów Bagateli oraz zespołu muzycznego pod kierunkiem Konrada Mastyły, czułem się uszczęśliwiony. W czasie postpandemicznych potworów będących chorobą złych intencji i strachu, a nie tylko efektem rozwibrowania chorobowego, spektakle takie jak *Bagatela śpiewa* sprawiają, że zdrowiejemy. Trochę dziennikarsko, trochę pensjonarsko przyglądałem się widzom wychodzącym z teatru. Byliśmy wszyscy uradowani, lepsi. Piosenka uszlachetnia, zwłaszcza ta ze znakiem jakości.

Znak jakości ma również spektakl Krzysztofa Materny. Nowy dyrektor artystyczny Bagateli wrócił do korzeni, wrócił do Krakowa, a na inaugurację reżyserskiej działalności w teatrze postawił na prywatną i zbiorową przeszłość. Udowodnił, że stare teksty, piosenki z Piwnicy pod Baranami, hity Wodeckiego czy Zauchy przetrwały w pamięci właśnie dlatego, że są poza czasem, dają nadzieję, nawet jeżeli mówią o sprawach smutnych, rozstaniach, rozterkach i samotnościach.

Piosenki liryczne, utwory dramatyczne, teksty satyryczne. Kraków muzyczny odkrywany przez Maternę był zawsze bardziej literacki, a w piosenkach liczył się tekst, ważna była interpretacja. Materna jako inscenizator zdaje sobie sprawę, że mniej znaczy więcej. Pokazuje artystów Bagateli, pozwalając im na błysk, i sam – jako reżyser, jako dyrektor – ów błysk wzmacnia dowcipnymi oraz błyskotliwymi dykteryjkami, wprowadzeniami do setów muzycznych. Branny, Kobierski, Klimczak, Szwichtenberg, Walden, Schneider i inni śpiewają, poruszają się i interpretują teksty znakomicie. Na smutno, na wesoło, w zgodzie z oryginałem, ale w niezgodzie na kalkę.

A na naiwne pytanie, o czym jest ten spektakl, odpowiedziałbym – o odrodzeniu. Odrodzeniu, które nigdy nie jest łatwe. Odrodzeniu z muzyką rozjaśniającą ciszę i ze słowem tę ciszę wypełniającym treścią. O odrodzeniu Bagateli po miesiącach nie tylko pandemicznego letargu, wreszcie o odrodzeniu widzów. Znowu uśmiech.

Bagatela śpiewa, reż. Krzysztof Materna, Teatr Bagatela 2021.

W czasie letnim triumfują nasi!

Maria Malatyńska, wieloletnia członkini Rady Programowej Krakowskiej Fundacji Filmowej, otrzymała Nagrodę Stowarzyszenia Autorów ZAiKS podczas 61. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Z kolei Łukaszowi Maciejewskiemu podczas uroczystego otwarcia 23. Kina na Granicy w Cieszynie wręczono order „Zasłużonego dla Kultury Polskiej" za budowanie mostów kulturowej przyjaźni między Polakami, Czechami i Słowakami, a także za tworzenie unikatowej marki „Kina na Granicy".

Pękamy z dumy, bo nagrodzeni są przecież także Autorami „Krakowa"!

Halka ma w nosie cnoty niewieście

Pan Moniuszko razem z panem Wolskim umyślili sobie napisać operę o góralskiej dziewczynie, która zaszła w ciążę z szlachcicem. Bogaty pan oczywiście ani myślał się z nią żenić, wolał równą sobie stanem pannę. Porzucona biedaczka popełniła więc samobójstwo. Dziś Janusz tak łatwo by sobie z problemem nie poradził, o czym możemy się przekonać, oglądając w Starym Teatrze współczesną wersję *Halki* napisaną przez Natalię Fiedorczuk i reżyserkę spektaklu Annę Smolar. Według autorek Halka (Aleksandra Nowosadko) nie zamierza wcale się topić ani samotnie wychowywać dzieciątka. Ba, nie daje się także namówić na aborcję Stolnikowi (Roman Gancarczyk), uświadamiając mu, że jej ciało to jej decyzja i że zrobi, co będzie chciała. No i robi, podrzucając niemowlę ojcu, który musi się nim zająć.

Dawno nie było w Krakowie tak dobrego spektaklu – zabawnego, mądrego, w którym aktorzy bez wyjątku grają jak z nut. Choć nie z nut Moniuszki, bo tych tu nie uświadczymy. Za to mamy fantastyczną muzykę duetu Enchanted Hunters, który szczególnie w pierwszej części przedstawienia oryginalnie komentuje akcję. W drugiej jest go nieco mniej, może dlatego że całość przybiera konwencję telenoweli. Janusz (Radosław Krzyżowski), czyli przedstawiciel heteroseksualnych mężczyzn po 50., sprawnie kąpie i przewija niemowlę, symbolizowane przez podobny rozmiarowo do dziecka plecak, a sekunduje mu w tym dzielnie teść. Zofia (Magda Grąziowska) przygląda się temu z ironią, choć może jako przedstawicielka klasy próżniaczej bardziej jest zainteresowana swoimi paznokciami. Za to w finale, kiedy pojawi się znów Halina, poczuje z nią siostrzane więzi i zacznie dostrzegać w niej przyjaciółkę. Bo w kobietach, szczególnie gdy przestają iść same, jest siła, z którą nie poradzą sobie nawet doradcy Ministerstwa Edukacji, marzący o właściwym ich wychowaniu i nawróceniu na cnoty niewieście.

Porzućmy wszelką nadzieję

I znowu będzie o Starym Teatrze, bo po pandemicznym przestoju dużo się dzieje przy Jagiellońskiej. Szczególnie że mamy tam ostatnio szansę oglądać spektakl w reżyserii Luka Percevala, jednej z największych gwiazd teatralnych Europy. Belgijski artysta na krakowskiej scenie, która weszła w koprodukcję z TR Warszawa, przygotował *3Siostry* oparte na sztuce Antoniego Czechowa. Jak można się domyślić po tytule, artysta nieco przepisał tekst autora, choć nie odszedł od jego przesłania. Za to stworzył spektakl przerażająco smutny, pozbawiony nadziei, w którym słynna fraza „Do Moskwy" brzmi nie jak tęsknota, ale ponury żart. To Czechow przeczytany przez *Teatr śmierci* Tadeusza Kantora, *Końcówkę* Becketta, w którym ludzkie kadłubki zwisają z krzeseł. To świat postarzałych ludzi, świat po apokalipsie, z którego nie ma ucieczki. Samotność bohaterów jest w nim tym bardziej dojmująca, że już niemal nie rozmawiają ze sobą, wygłaszają swoje kwestie do lustra, które stanowi główny element wybitnej scenografii Philipa Bussmanna. To lustro faluje, zniekształcając twarze i tak już wykoślawione cierpieniem. Decydując się obejrzeć *3Siostry*, musimy mieć świadomość, że wyjdziemy z niego potwornie poobijani. Za to zostanie nam przed oczami kilka scen, o których trudno zapomnieć.

Święty Krzysztof znów spogląda na Rynek

Dawno go tu nie było. 230 lat temu Jacek Kluszewski, ówczesny właściciel pałacu Krzysztofory, usunął figurę świętego Krzysztofa z fasady budynku, a niszę po niej kazał zamurować. Przy okazji trwającego ostatnich parę lat remontu dyrektor Muzeum Krakowa Michał Niezabitowski zdecydował, że patron budynku wróci na swoje miejsce. I tak się stało w lipcu, w dniu imienin świętego. Od tego czasu możemy zwiedzać pięknie odnowione wnętrza pałacowe i przyglądać się wydobytym na światło dzienne barokowym polichromiom.

Jedna z najbardziej reprezentacyjnych rezydencji Krakowa stanie się teraz nowoczesną, tętniącą życiem instytucją kultury, z czytelnią i salami edukacyjnymi. Na grudzień w odnowionych wnętrzach zapowiadane jest otwarcie wystawy muzealnej. Ażeby nam i św. Krzysztofowi się nie nudziło czekanie na zimowe wydarzenia, już niebawem będziemy mogli oglądać figurę przekupki krakowskiej, która znajdzie się na elewacji budynku od strony placu Szczepańskiego. Gdyby ktoś miał problem z tym, że jedna z takich pań pojawi się w pałacu, informujemy, iż mieszkańcy tego miejsca mieli z nią do czynienia codziennie, bo gdyby nie sprzedawane przez nią tuż obok płody rolne, nawet najbardziej arystokratyczne żołądki nie miałyby szansy przetrwać.

Zmarł prof. Stanisław Rodziński

Środowisko artystyczne Krakowa już nie będzie wyglądało tak samo. Prof. Stanisław Rodziński wnosił do niego wyjątkową twórczą energię, o czym na pewno nie zapomną chociażby artyści związani z Akademią Sztuk Pięknych, gdzie sprawował urząd rektora w latach 1996-2002. Nie zapomną o tym też wielbiciele sztuki malarza, nawiązującej do estetyki polskiego koloryzmu, między innymi spod znaku Józefa Czapskiego, któremu poświęcił zresztą niektóre swoje prace. Na pewno także jeszcze długo wrażenie na odbiorcach będą robiły jego sceny pasyjne. Bo choć Profesora już z nami nie ma, to zostają jego obrazy i rysunki o wartości artystycznej najwyższej próby.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

W następnym numerze między innymi:

Adam Bodnar o Polsce i prawie po Złych Czasach

Jerzy Surdykowski Skąd Zło

Magdalena Grzebałkowska o dzieciach czasu wojny

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków
Adres Redakcji i Wydawcy:
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,
e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

Naszemu Autorowi
Krzysztofowi Jakubowskimu
wielkie współczucie
po śmierci Mamy.

Trzymaj się, Przyjacielu.
Zespół „Krakowa”

Sprostowanie

Mój dziadek po kądzieli Kamil, pracownik firmy Hawełka, przewraca się w grobie, kiedy czytam w lipcowo-sierpniowym numerze „Krakowa” o Lucynie Ćwierczakiewiczowej, której nazwisko zmieniono (Autor książki? Redakcja? Korekta?) na „Ćwierciakiewiczowa”. Wypada sprostować, bo się utrwali...

Z poważaniem
Adam Wsiołkowski

Rys. Piotr Błachut

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski
Strona internetowa: Piotr Rachwaniec
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Dwutygodnik.com

Wakacje za nami. Pewnie dlatego serwis Dwutygodnik.com opublikował tekst traktujący o podróżach nie w formie poradnika lub ciekawostek ze świata, ale w ujęciu refleksyjno-filozoficznym.

https://www.dwutygodnik.com/artykul/9641-patrze-czekam.html

„Podróż narzuca się z wielką siłą jako metafora ludzkiego losu – antropologiczna figura życia jako wędrówki. Zakorzeniona w mitach greckich i judeochrześcijańskich, pielęgnowana w różnych formach we wszystkich epokach, na większą skalę wylansowana została dopiero w XIX wieku przez romantyków. Le Grand Tour – praktykowana przez arystokratów z Europy obowiązkowa podróż edukacyjna – rozszerzyła w romantyzmie swój poznawczy charakter, nabierając melancholijno-introwertycznej głębi.

(...) Podróżnicy, którzy rytualnie sarkają na turystów, potrzebują ich, żeby się od nich odróżnić. Potrzebują ciemnej masy wycieczkowiczów, żeby skanalizować swoją pogardę i zabłysnąć na tle miernoty. Wybierają miejsca trudno dostępne i rzadko odwiedzane, żeby ustanowić własną wyjątkowość, podczas gdy pozbawieni takich pretensji turyści szukają raczej okazji, by pójść śladem milionów i móc sobie powiedzieć: „Ja też tu byłam". Pragnienie lansu jest u jednych i drugich takie samo, różne są tylko gry, w których się ono wyraża: podróżnicy grają w arystokrację i wykluczanie, turyści – w demokrację i awans. Turysta cieszy się, że jest tam, gdzie wszyscy chcą być i wielu już było; podróżnik – że jest tam, gdzie mało kto poza nim postawił dotąd nogę".

KulturaLiberalna.pl

https://kulturaliberalna.pl/2021/08/10/atom-w-polsce-wielki-plan-czy-wielki-blad/

Temat źródeł energii, tych odnawialnych i tych naturalnych oraz energii atomowej, powraca jak bumerang – jeśli tylko przebije się przez newsy związane z pandemią. I dobrze, bo to sprawa niezmiennie ważna. Portal KulturaLiberalna.pl pisze, anonsując blok tekstów na ten temat:

„Atom pobudza wyobraźnię. Elektrownia jądrowa może wyprodukować olbrzymią ilość energii – a jednocześnie bywa źródłem głębokich obaw społecznych w kwestii bezpieczeństwa. Energetyka atomowa może pomóc w zielonej transformacji – ale budowa elektrowni jądrowej jest bardzo trudna i czasochłonna, a koszt finansowy ogromny. Jak na razie, polski rząd ogłosił zamiar wybudowania sześciu bloków. W teorii budowa miałaby rozpocząć się w 2026 roku, pierwszy blok miałby zacząć działać w 2033 roku, a kolejne powstawać w odstępach 2–3 lat.

(...) Nie wiadomo, czy rzeczywiście strach jest tym, co jest tutaj najważniejsze – a już na pewno nie chciałbym stawiać takiej opozycji »irracjonalny strach kontra racjonalny spokój«. Takie podejście do pewnego stopnia zakrzywia nam obraz rzeczywistości. Po pierwsze dlatego, że w 1986 roku, kiedy doszło do katastrofy w Czarnobylu i bezpośrednio po niej, strach rzeczywiście był bardzo realny. Dotyczył może nawet nie tyle samej katastrofy, ile tego, jak ogromnego zagrożenia udało się wtedy uniknąć. Łączył się też, w pewnym sensie, ze strachem związanym z zagładą jądrową, do której mogła doprowadzić zimna wojna".

Rys. Marek Braun

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Czułe H_2O

O tym, że z naszych krakowskich kranów płynie jedna z najzdrowszych, najczystszych i najsmaczniejszych wód na świecie, wie już chyba każdy. Jednak mało kto, przynajmniej do niedawna, wiedział, że nasza woda jest także...czuła. A wszystko to za sprawą utworu pod tytułem *Hymn Wodociągów Krakowskich*, który podbija sieć. Song ten wykonała znakomita krakowska artystka Jaga Wrońska podczas uroczystej mszy z okazji 120-lecia powstania Wodociągów Miasta Krakowa. Od maja, kiedy utwór wylał się na internetowe portale, stał się istnym hitem. Szczególnie komentowane są strofy refrenu: „Na początku była woda czułe H_2O / żeby miłość wstała z martwych / do młodości do urody / do rajskiego garden party / trzeba wiecznej żywej wody". Nam natomiast spodobał się pomysł, żeby każda instytucja użyteczności publicznej miała swój hymn. Skoro mamy już czułe H_2O, to może przyszedł czas na wrażliwe tramwaje, empatyczny gaz czy pieszczotliwy prąd. Zatem poeci do piór! A za natchnienie niech wam posłuży jeszcze jeden fragment *Hymnu Wodociągów Krakowskich*: „...I wędrówki bez gumiaków / Po tym modrym oceanie / Śladem wodno-błotnych ptaków / Śladem Boga, chodź kochanie (...) ".

Popłynął pochód lajkonika

Nie, to nie przejęzyczenie. W tym roku nasz poczciwy lajkonik, zamiast harcować ulicami Starego Miasta, wszedł na pokład galaru i popłynął Wisłą. Pochód, a właściwie rejs lub spływ, rozpoczął się spod klasztoru Norbertanek na Salwatorze, a skończył u stóp Wawelu, gdzie Konik Zwierzyniecki przyjął tradycyjny podarunek od prezydenta Krakowa. Lajkonikowi, którego ważący ponad 30 kilogramów kostium włożył już po raz 34 pan Zbigniew Glonek, towarzyszyły galary i jednostki flisackie. Nie mogło też zabraknąć kapeli mlaskotów i orszaku włóczków – dawnych wiślańskich żeglarzy. Muzeum Krakowa, które wydarzenie organizuje, decyzję o wybraniu w tym roku drogi wodnej, podjęło ze względów bezpieczeństwa. Zagorzałych obrońców tradycji spieszymy uspokoić, że już kiedyś zaistniał podobny przypadek. Otóż w roku 1813, kiedy miasto zalała powódź, lajkonik dopłynął galarami do ulicy Wiślnej. I właśnie na ten precedens powołano się przy podejmowaniu decyzji o tegorocznej zmianie trasy. I choć sam wodny „przemarsz" wyglądał malowniczo, mamy nadzieję, że w przyszłym roku lajkonik powróci na ulice miasta.

Felicjan Dulski dojdzie... na kopiec

Chciałoby się powiedzieć: nareszcie! Wszyscy wszak kibicowaliśmy spacerom Felicjana Dulskiego na kopiec Kościuszki, które odbywał w celach leczniczych, nie wychodząc z mieszkania. Jednak w tym roku pan Felicjan z mieszkania nie tylko wyjdzie, ale szczyt kopca na własnych nogach zdobędzie. A to za sprawą kolejnej edycji Narodowego Czytania zaplanowanej na 4 września. Wówczas to zostanie odczytana sztuka Gabrieli Zapolskiej *Moralność pani Dulskiej*. Tego dnia z inicjatywy Biblioteki Kraków, Muzeum kopca Kościuszki i Radia RMF spotykamy się wszyscy pod kopcem, by razem z Anielą Dulską, którą zagra Ewa Wachowicz, ze Zbyszkiem, w którego wcieli się rockman Tomasz Organek i z Felicjanem Dulskim, którego osoba będzie niespodzianką, usłyszeć fragmenty tego dzieła. A potem nastąpi ów sensacyjny spacer i krakowianie ujrzą, jak Felicjan wdrapuje się na kopiec Kościuszki. Tej historycznej chwili nie można przegapić.

Dama z gronostajem bez naszyjnika!

Nie powinno nikogo dziwić, że na Gmachu Głównym Muzeum Narodowego zawisł wielki baner z *Damą z gronostajem* Leonarda da Vinci. Przecież to nasza duma i jeden z powodów do odwiedzin miasta. Jednak jeśli ktoś uważnie wpatrzył się w ów baner, mógł z niepokojem dostrzec, że z szyi naszej damy zniknął naszyjnik. Co więcej, na jednym z portali społecznościowych Muzeum Narodowe pyta: „Kto się na to połasił?". Nam przypomniał się pewien incydent sprzed kilku lat, kiedy to w pewnym hiszpańskim miasteczku 80-letnia poczciwinka zamazała w kościele XIX-wieczny obraz Chrystusa, chcąc go nieco podczyścić i odświeżyć. Czyżby więc ktoś uznał, że bohaterka Leonarda lepiej będzie wyglądać bez biżuterii i poprawił arcydzieło? Na szczęście nic z tych rzeczy. Okazało się bowiem, że wmieszany jest w to wszystko sam... Arsen Lupin, dżentelmen i włamywacz w jednej osobie. A Muzeum Narodowe, w ten dowcipny sposób, wzięło udział w promocji kolejnego sezonu serialu kryminalnego *Lupin*, który bije rekordy oglądalności na Netflixie. Kreujący postać Arsena Lupin, francuski aktor Omar Sy, zamieścił z kolei w mediach społecznościowych swoje zdjęcie z rzekomym naszyjnikiem i podpisał „Lupin nie jest złodziejem. Jest twoim fanem, Madame". Nam ta forma promocyjnej współpracy przypadła do gustu. Bo jeśli dzięki temu ktoś zechce sprawdzić, czy precjoza na oryginalnym obrazie Leonarda wciąż zdobią szyję damy, to można mówić o sukcesie.

Janusz Stefaniak, *Duchy pustyni*, collage

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyla Góra
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Malwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston
Zofia Maciąga, Lędziny
Tomasz Wojtas, Kraków
Hanna Dunin-Łabędzka,
Jarosław Minałto, Wrocław
Józef Iskra, Dankowice
Irena Krzywiec, Kraków
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów
Elżbieta Grzeluszka-Grudnik, Opatówek
Halina Biernacka, Bolechowice
Jędrzej Krakowski, Katowice
Ewa Mańkowska-Grin, Kraków
Elżbieta Wełna, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Czapski z Kurozwęk

Tekst: Agnieszka Kosińska

Nie tak dawno temu, a jednak w zupełnie innym świecie, żyła sobie piękna Polka, którą wichry historii i namiętności rzuciły w świat daleki. Spotkała bajecznie bogatego francuskiego arystokratę, który się w niej nieprzytomnie zakochał. Pobrali się. Niestety, zmarła młodo i tragicznie.

Oto w SMS-owym skrócie historia twórców i fundatorów jednej z najciekawszych i największych kolekcji malarstwa Józefa Czapskiego na świecie. Jolanta z Wańkowiczów markiza de Boisgelin (1923–1964), zwana przez przyjaciół Jolą, córka Jolanty z Römerów i Witolda Wańkowicza, oraz Gilles markiz de Boisgelin (1919–1990), dyplomata, potomek jednego z najstarszych francuskich rodów arystokratycznych, wspierali artystę, kupując jego obrazy. Z pewnością sprężyną tego szczęśliwego protektoratu była przyjaźń Czapskiego z Jolą. „To była moja tu najserdeczniejsza przyjaciółka. (...) Miała sto wad, była bardzo piękna, agresywna, chciała namiętnie żyć" – pisał. Pochodziła z zasłużonych szlacheckich rodzin, z bliskich Czapskiemu stron (polskie Kresy), co tworzy tę jedyną niezastąpioną na „paryskim bruku" więź.

Gilles de Boisgelin nie zaprzestał, po śmierci żony, wspierać Czapskiego.

23 płótna olejne, najmłodsze powstałe w roku 1953 (*Zadumany fryzjer*), najstarsze w 1977 – *Klatka schodowa* (portret schodów prowadzących do pokoju Józefa w podparyskim Maisons-Laffitte), bardzo znane jak *Piesek w zielonym płaszczyku* (*Cierpliwy piesek*) czy *Autoportret z żarówką*, niespodziewanych – morskie pejzaże, a także rysunki i akwarele.

Jak Czapski znalazł się w Kurozwękach koło Staszowa w kieleckim? To osobna historia, związana z zasłużonym, również dla Krakowa, rodem Popielów. Gilles V markiz de Boisgelin, wicehrabia Pléhédel, zmarł bezpotomnie. Całą kolekcję, majątek i tytuł zapisał Michałowi Popielowi, synowi Jana Marcina Popiela, siostrzeńca Jolanty Wańkowicz. Popielowie herbu Sulima, ostatni i obecni właściciele Kurozwęk, w osobach wielu, bo ród to rozgałęziony niemiłosiernie, działają prężnie. Starczy mi miejsca, żeby wymienić tylko Michała, który zmienił swoje życie, żeby zaopiekować się spuścizną de Boisgelin w Bretanii (zamek i włości, w tym pole golfowe, w Pléhédel) i Kurozwękami (XIV-wieczne prywatne miasto szlacheckie z zamkiem rycerskim, przebudowywanym przez wieki w pałac). W 1996 roku sprowadził kolekcję do Polski. Obecnie Michał remontuje zespół pałacowy, a w nim galerię sztuki współczesnej (tu będzie Czapski). Bizony się mnożą, konie arabskie też się mają dobrze w Kurozwękach, a Browar Popiel, który prowadzi brat Michała, Andrzej, nawiązuje do znanych postaci rodu. Moje ulubione to *Pan Paweł*, bo to najpopularniejsze imię w rodzie Popielów, najsłynniejszy to pierwszy redaktor krakowskiego „Czasu" i prekursor konserwatyzmu na ziemiach polskich, a także oddany konserwator zabytków Krakowa. Ale trunek, o którym myślę, uwarzono na cześć Pawła urodzonego w 1870 roku w Ruszczy k. Krakowa, bezgranicznie przywiązanego do ziemi kurozwęckiej i koni. Czując, że zbliża się jego kres, chciał jeszcze raz stanąć na pastwisku i pożegnać się z przyjaciółmi.

I tak oto *Omnia vincit Amor: et nos cedamus Amori*, miłość wszystko zwycięża i my ulegamy miłości – jak pisze Wergiliusz, poeta pastwisk, wiejskiego życia i bojów.

Czapski z Kurozwęk wraz z wybranymi dziennikami i innymi cennymi obiektami z kolekcji Boisgelin-Popiel jest obecny do marca 2022 w Pawilonie Józefa Czapskiego, dokąd serdecznie zaprasza niżej podpisana kuratorka.

Cytat z listu J. Czapskiego do Ludwika Heringa, *Listy 1939–1982*, t. 2, s. 168, fundacja terytoria książki, 2017.

Wergiliusz w przekładzie Zofii Abramowiczówny, koleżanki Miłosza.

Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: https://kosinska-miloszwkrakowie.com

Wstąp do Klubu **nie wychodząc z domu.**

ZAPRASZAMY!

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłat prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA"):

BIBLIOTEKA KRAKÓW
pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:
www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakładka:
Klub Przyjaciół „Krakowa"
email: **redakcja@Biblioteka.Krakow.pl**

„Kraków"
– otwarty dla każdego. Zawsze

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK

Tomasz Kawecki, *Grzyb* (cykl *Przestrzeń biodegradowalna*)